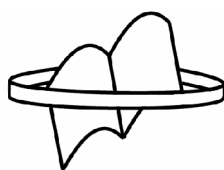


James Herbert

*Fuks*

Przełożył: Marek Mastalerz

Tytuł oryginału: *FLUKE*



*Kerry'emu, Emmie i Caseyowi*

# CZEŚĆ PIERWSZA

## Rozdział pierwszy

Ciepło słońca grzało moje powieki, domagając się, ale niezbyt natarczywie, bym je otworzył. Wciskające się w uszy dźwięki dotarły w końcu do mojej świadomości. Chaotyczny zgłęb przerywały przenikliwe piski.

Powoli, niemal niechętnie, otworzyłem zaspane oczy. Powieki rozkleiły mi się z trudnością do połowy. Jak przez mgłę dostrzegłem obok ciemne futrzaste ciało, równie duże jak ja. Żebra pogrążonej we śnie istoty unosiły się rytmicznie w górę i w dół. Otworzyłem usta, z których wydarło się ziewnięcie. Oczy rozwarły mi się do reszty. Dookoła mnie leżały inne istoty, szare i czarne. Niektóre miały krótkie i gładkie futerka, inne długie i zmierzwione. Błysnęło nade mną coś białego i poczułem skubnięcie w ucho. Odsunąłem się ze skowytem. Gdzie byłem? Kim, a może czym byłem?

Zrazu nieprzyjemne, po chwili dziwnie podniecające wonie dotarły do mych nozdrzy. Zmarszczyłem nos, wciągając te przenikliwe zapachy, i od razu poczułem się bezpiecznie. Przycisnąłem się do innych ciepłych ciał, byle dalej od energicznej białej paskudy, która w końcu dała mi spokój i skokami ruszyła w stronę barierki kojca. Wspięła się i przednimi łapami wsparła na siatce, z zapalem wymachując zadkiem i krótkim ogonem. Czyjaś wielka biaława dłoń opuściła się i wyniosła istotę poza zasięg mego wzroku.

Znów zaskowyczałem, tym razem wstrząśnięty, ponieważ dłoń była taka wielka i silna! A zapachy dobywające się z niej były kompletnie obce. Przeróżające, jednak... interesujące. Usiłowałem się wcisnąć jeszcze głębiej w kłęb włochatych stworzeń, starając się nawiązać z nimi jakiś kontakt. Dlaczego otaczały mnie te koszarne zwierzęta i dlaczego były mi takie bliskie?

Sen mnie opuścił całkowicie. Do reszty oprzytomniały zadygotałem. Znajdowałem się w czymś w rodzaju kojca (wydawał mi się bardzo duży), którego posadzka pokryta była słomą. Siatka kojca była bardzo wysoka, o wiele wyższa ode mnie. Moimi towarzyszami były psy. O ile pamiętam, w tym momencie wcale nie odczuwałem strachu, tylko najprawdopodobniej byłem całkowicie zdezorientowany. Pamiętam, że dyszałem gwałtownie i mimowolnie trochę się zmoczyłem. Nie było tego więcej niż nikły strumyczek. Przypominam sobie, że starałem się wcisnąć pomiędzy dwa pulchne ciała, z którymi niejasno odczuwałem jakieś pokrewieństwo, umykającą mi więź. Domyślałem się teraz, że poczucie bliskości wynikało z faktu, iż rzeczywiście byliśmy rodzeństwem. Wtedy jednak reagowałem wyłącznie instynktownie.

Rozejrzałem się dookoła, nie podnosząc zanadto głowy (łba?). Brodę wciąż miałem zakopaną w słomie. Wszystko było jakieś stłumione, odcienie barw wydawały się prawie niemożliwe do rozróżnienia, stanowiły jedynie rozmaite warianty szarości i brudnego brązu. Ale ja w umyśle dopowiadałem sobie barwy, ponieważ już je kiedyś widziałem... kiedyś... Kiedyś? Kiedy?

Byłem tak zdezorientowany, że już samo pytanie, nie mówiąc o odpowiedzi, było co najmniej dziwne.

Po chwili zacząłem rozróżniać kolory, sięgając po nie pamięcią jakby z przeszłości... Podejrzewam, że dar tej pamięci odróżniał mnie od pozostałych podobnych mi stworzeń. Powoli miękkie szarości zamieniły się w jasne brązy, szarości ciemniejsze w intensywniejszą brunatność. Czerni pozostała czernią, tyle że głębszą. Roztoczyła się nagle przede mną cała paleta barw tęczy, wypełniając głowę

zamętem, oślepiając intensywnością. To, co przedtem było czarne, stawało się ciemnoniebieskie, barwy indygo, setkami odcieni brązów. Fajerwerk kolorów tak ranił mi ślepią, że musiałem zacisnąć powieki. Mimo to barwy nadal przeciskały się przez nie. Wreszcie widmo ułożyło się we właściwym porządku, barwy odnalazły prawidłową równowagę. To, co było oślepiające, stało się przytłumione, odcienie zaczęły ze sobą harmonizować. Kiedy otworzyłem oczy, monochromatyczny obraz zamienił się w strojne, ruchome malowidło, w którym każda barwa była samoistna — ale jednak stąpała się z innymi — i występowała koło swoich przeciwieństw. Do dziś czuję zachwyt, kiedy nagle, bez ostrzeżenia, objawiają mi się nowe, zaskakujące barwy, które wydaje się są stworzone wyłącznie dla mnie, choć uświadamiam sobie, że istniały zawsze, tylko ja ich nie zauważałem. Są one teraz bardziej stłumione, ale świeższe i bardziej interesujące niż w przeszłości. Podejrzewam, że wynika to z tego, iż świat wówczas wydawał mi się większy, przebywanie zaś bliżej ziemi zbliża do natury.

Przeszedłszy przez to osobliwe stadium, którego ani nie rozumiałem, ani doceniałem, stałem się nieco śmielszy w moich badaniach. Podniosłem łeb ze słomy i wyciągnąłem szyję. Przede mną przesuwaly się twarze, na których widniały urocze, czule uśmiechy. Wówczas wyglądały dla mnie wszystkie jednakowo; nie potrafiłem odróżniać mężczyzn od kobiet, a tym bardziej poszczególnych osób. Nie zdawałem sobie również sprawy, czym były te olbrzymie istoty. Być może to trochę dziwne, ale od razu zacząłem odróżniać mniejsze olbrzymy i to nawet nie tylko od dorosłych, ale od siebie nawzajem. Kilkoro z nich patrzyło na mnie z góry i wydawało dziwne odgłosy, spoglądając wyczekująco na większe olbrzymy, które stały za nimi. Ponad gigantami dostrzegałem sterczące wysoko w niebo wielkie budynki z szarej cegły. Samo niebo zdawało się niezmiernie niebieskie, głębokie i przejrzyste. Niebo to najczystsza rzecz, jaką kiedykolwiek poznałem; bez względu na to, czy jest nim zimny lazur poranka, imponujący błękit kobaltowy w ciągu dnia, czy wydziergana srebrem czerń nocy. Nawet w najciemniejsze dni, gdy błękit zamaskowany jest przez posępne zwały chmur, najdrobniejsze jego przebliski sprawiają, że ścisną mi się serce. Wówczas miałem wrażenie, że widzę niebo po raz pierwszy. I w pewnym sensie tak było. Widziałem je pierwszy raz... innymi oczami.

Jak zakłęty wpatrywałem się przez kilka chwil w błękitny nieboskłon i słoneczne promienie, aż ślepią zaszyły mi mgłą. Zatrzepotałem gwałtownie powiekami. Nagle dotarło do mnie, czym jestem. Nie byłem tym odkryciem wstrząśnięty. Bez sprzeciwu zaakceptowałem fakt, czym jestem. Dopiero dużo później, kiedy odżyły dawne wspomnienia, zacząłem kwestionować swoje nowe wcielenie. Wówczas jednak to, że jestem psem, uważałem za całkowicie normalne.

## Rozdział drugi

Czyżbym wyczuwał u ciebie powątpiewanie, a może coś jeszcze? Może odrobinę strachu? Proszę jedynie, byś pozwolił swemu umysłowi słuchać, byś na razie zapomniał o swoich przekonaniach i uprzedzeniach; kiedy skończę opowieść, zdecydujesz, co o niej sądzić. Dla mnie też jest mnóstwo spraw niejasnych i wiem, że nigdy nie pojmem ich do końca — przynajmniej nie w tym wcieleniu. Niewykluczone jednak, że moje opowiadanie pomoże ci choć trochę zrozumieć to, co cię czeka. Może też dzięki temu będziesz się odrobinę mniej bał.

Gdy rozglądałem się dookoła całkowicie odmiennym od twojego wzrokiem, poczułem, że coś zaciska się na futrze na moim karku. Nagle zostałem uniesiony

w powietrze, rozpaczliwie wymachując nogami. Wielka, szorstka dłoń wsunęła się pod moje pośladki, przez co uścisk na karku trochę zelżał. Nie spodobała mi się ani twardość tych dłoni, ani ich zapach. Każda woń dobywająca się z nich była nowa i samoistna. Nie łączyły się w jeden zapach; każda miała własną tożsamość i dopiero wspólnie dawały pojęcie o mężczyźnie, który nimi pachniał. Trudno mi to wyjaśnić, ale tak jak ludzie rozpoznają innych przez łączenie w umyśle różnych cech — kształtu nosa, barwy włosów i oczu, karnacji skóry, układu warg i budowy ciała — tak my, zwierzęta, rozpoznajemy inne istoty przez połączenie ich zapachów. Można na nich o wiele bardziej polegać, ponieważ cechy fizyczne mogą zostać zamaskowane lub mogą się zmienić z upływem lat. Nie można jednak ukryć swojego zapachu. Stanowi on konglomerat powstały ze wszystkiego, co się w życiu robiło, i żadne szorowanie go nie usunie. Identyfikujemy cię dzięki jedzeniu, które spożyłeś, ubraniu, które nosiłeś, i miejscom, w których byłeś; żadna ocena wzrokowa nie jest pewniejsza.

Sądzę, że giganta, który mnie wyjął z kojca (nie rozporządzałem jeszcze wówczas pojęciem „człowiek”), czuć było tytoniem, trunkami, tłustym jedzeniem i zapachem — który, jak stwierdziłem, jest obecny zawsze i wszędzie — seksu. Zapachy te były dla mnie wtedy całkowicie nowe i, jak powiedziałem, przerażające. Nieprzyjemne, lecz interesujące. Jediną znajomą wonią był uspokajający zapach psa, którego uczepiłem się, by czerpać zeń otuchę. Ujrzałem, jak mi się wydawało, miliony dwunogich istot snujących się ulicą w jedną i drugą stronę. Wydawane przez nie hałasy raniły mi uszy i napełniały przerażeniem. Oczywiście byłem na ulicznym targu i nawet wówczas, w tym wczesnym stadium życia, niejasno to rozpoznawałem. Miejsce to było mi jakby znajome. Gdzieś blisko mego ucha rozległy się chrapliwe, burkliwe dźwięki. Nerwowo rzuciłem łbem w tę stronę. Dźwięki wydobywały się z ust trzymającej mnie istoty. Nie twierdzę, że rozpoznałem słowa, ale ogólnie pojąłem, o co chodzi mówiącemu.

Tuż obok usłyszałem drugi głos. Zostałem wepchnięty w inne ręce. Ich woń była całkowicie odmienna. Zdaje mi się, że i tu obecne były zapachy jedzenia i picia, brak jednak było fetoru nikotyny. Było też coś jeszcze — sprawiająca wrażenie perfum łagodność. Woń ta nie jest ciekawa, ale kojąca. Nie było jej wiele, lecz w porównaniu z dłońmi, które mnie właśnie puściły, poczułem się tak, jakbym został skąpany w najdelikatniejszym pachnidle. Zacząłem lizać te dłonie, wciąż bowiem czuć było na nich zapach jedzenia. Cudownie jest lizać ludzkie ręce i twarze. Wydzielany przez pory na całym ciele pot zawiera zapach ostatnio spożywanego jedzenia, a sól dodaje mu wyjątkowego smaku. Smak jest subtelny i ulotny, ale aromat ten w połączeniu z ekscytującym łaskotaniem języka o skórę wywołuje uwielbiana przez każdego psa przyjemność. Zrozum, to nie tyle pieszczota (choć po pewnym czasie znany smak staje się przyjemniejszy niż nowy, a lizanie staje się niemal dowodem miłości), ile rozkoszne doznanie dla kubków smakowych.

Olbrzym przyciskał mnie do piersi. Jego ręka przesunęła się po moim łbie i delikatnie poskrobała za uszami. Przyprawiło mnie to niemal o drgawki; spróbowałem skubnąć go w nos. Przekrzywił głowę z odgłosem, który zdołałem zinterpretować jako pomruk czystego zadowolenia, więc nasiliłem wysiłki, by jeszcze raz dostać się do tej sterczącej barylkowej cechy jego fizjonomii. W końcu udało mi się polizać jego szorstki podbródek. Zaskoczony chropowatością odsunąłem się na chwilę, przemogła jednak ekscytacja i ponowiłem atak. Tym razem zostałem zdecydowanie powstrzymany i z powrotem włożony do kojca. Natychmiast wspiałem się w górę, starając się dostać do przyjaznego olbrzyma. Oparłem się przednimi łapami o drewnianą barierkę kojca. Przyłączyła się do mnie biała istota, która

próbowała zepchnąć mnie z zajętego stanowiska. Udało mi się ją odsunąć. Kiedy zobaczyłem, że kilka zielonych kawałków papieru powędrowało do rumianej, szorstkiej dłoni olbrzyma trzymającego mnie w kojcu, poczułem, że za chwilę zdarzy się coś miłego. I faktycznie. Po chwili znów się znalazłem wysoko w powietrzu i przyjemnie pachnący olbrzym przycisnął mnie do piersi. Zaskomlałem cicho i próbowałem polizać mu wielką twarz. Instynkt mi podpowiadał, że lepiej będzie wyzwolić się spod opieki rumianego olbrzyma — właściciela kojca — ponieważ z jego cielska sączyła się złość. Spojrzawszy na pozostałe kłębki w kojcu, poczułem odrobinę żalu; w końcu byli to moi bracia, moi przyjaciele. Kiedy oddalałem się przytulony do piersi olbrzyma, przeniknęło mnie przejmujące uczucie smutku, a umysł wypełnił na moment obraz o wiele większego psa, prawdopodobnie mojej matki. Na dźwięk mojego skomlenia dłoń olbrzyma zaczęła mnie delikatnie gładzić, a z jego ust doszło mnie łagodne mruczenie.

Tłumy dwunogich istot wydały mi się jeszcze straszniejsze, kiedy zaczęliśmy się między nimi przeciskać. Dygotałem ze strachu. W panice wcisnąłem łeb w fałd skóry wielkiego zwierzęcia, które mnie niosło. Pozwoliło na to, okazując współczucie wobec mego przerażenia, i starało się mnie uspokoić. Co jakiś czas wytykałem łeb, ale zgiełk i rozmigotane barwy sprawiały, że natychmiast chowałem go z powrotem. Puls bijący w szerokiej klatce piersiowej olbrzyma uspokajał mnie. Wkrótce opuściliśmy targ i wyszliśmy na ulicę. Usłyszałem nowe, jeszcze bardziej przerażające dźwięki.

Wyszarpnąłem łeb z ukrycia. Szczeka opadła mi z przerażenia na widok olbrzymich potworów szarżujących wprost na nas. Mijały nas zaledwie o centymetry, pozostawiając za sobą wiry wzburzonego powietrza. Były to nie znane mi zwierzęta, o wiele dziwniejsze niż dwunogie istoty, w jakiś koszmarny sposób pozbawione wszelkich cech poza siłą i wielkością. Wydawany przez nie odór przyprawiał o mdłości, nie czuć też było od nich jada ani potu. Nie opodał pojawił się jeszcze okropniejszy potwór: był cały ogniście czerwony i cztery razy większy od innych. Ledwie miałem czas dostrzec, że miał okrągłe łapy, obracające się z niesamowitą prędkością. Pryskając kropelkami uryny, wyskoczyłem z ramion mojego pana na szary chodnik. Rzuciłem się w przeciwnym niż nadciągająca bestia kierunku. Z tyłu rozległy się krzyki, ale się nie zatrzymałem. Zanurkowałem między dwoma olbrzymami, którzy spróbowali zagrozić mi drogę. Przede mną wyciągnęła się czyjaś stopa, ale przeskoczyłem nad nią, nie zmieniając nawet tempa biegu. Skręciłem w bok, gdy wyciągnęły się ku mnie z góry wielkie ręce. Zeskoczyłem z chodnika i wpadłem w sam środek niknących potworów. Uszy wypełniały mi zgrzyty i piski, a przed oczami migały jedynie ogromne, niewyraźne kształty. Wciąż jednak gnałem, nie obracając łba na boki, nie korzystając w ogóle z nowo nabytej cechy, to znaczy z szerokiego kąta widzenia. W polu widzenia miałem przed sobą tylko czarną dziurę. Nagle w tym momencie coś poruszyło się w mojej pamięci: *Przez chwilę byłem kimś innym, wysoko nad ziemią, i odczuwałem ten sam strach co teraz. Coś się na mnie rzuciło, coś białego i oślepiającego. Potem nastąpiła eksplozja światła i wszystko zniknęło w bólu.*

Znów byłem psem, mknącym na wprost hamujących z piskiem opon samochodów i autobusów.

Pewnie wówczas zostały pobudzone — ale jeszcze nie przebudzone, nie odsłonięte — wspomnienia, uczucia, instynkty. Zaczęły żyć na nowo, ale mój psi mózg nie był przygotowany na ich przyjęcie.

Wpadłem do sklepu i zahamowałem z poślizgiem na posadzce, starając się nie

wpaść na coś wysokiego, na czym stały jaskrawo kolorowe przedmioty. Gdy rąbnąłem w to łbem, zakołysało się niebezpiecznie, ale przytrzymane zostało przez ręce dwunogich istot wykrzykujących coś w podnieceniu. Wpatrzyłem kolejną dziurę i pomknąłem ku niej, wpadając za zakrętem w przyjemny ciemny zakątek. Przycupnąłem tam, dygocząc, z otwartym szeroko pyskiem i wywieszonym jak poleć surowej wątroby językiem. W żołądku mi się kotłowało, gdy łapczywie wciągałem w płuca powietrze. Mój azyl nie okazał się na długo bezpieczny; czyjeś dłonie złapały mnie za skórę na karku i wyszarpnęły z zakątka. Ciągnięto mnie po posadzce wśród gniewnych pomruków. Całkowicie ignorowano moje protestujące skamlenie. Kilka razy przyłożono mi w łeb, ale nawet nie poczułem bólu. Gdy dociągnięto mnie do progu, spróbowałem wbić pazury w nie poddającą się, lśniąca posadzkę. Nie miałem żadnej ochoty znaleźć się znów wśród tamtych morderczych potworów.

W drzwiach pojawił się jakiś ciemny cień. Do mych nozdrzy dotarły znajome zapachy. Wciąż nie byłem pewny, czy mogę zaufać olbrzymowi, ale instynkt podpowiadał mi, że nie mam innego wyjścia. Kiedy więc olbrzym podszedł do mnie, bez protestu pozwoliłem mu się podnieść. Umościłem się na jego piersi, poszukałem uspokajającego bicia serca i przestałem zwracać uwagę na rozlegające się zewsząd gniewne głosy. Bicie serca miało teraz trochę inny rytm, było nieco szybsze, mimo to stanowiło dla mnie wielką pociechę. Awantura została zażegnana wbrew woli dążących do niej uczestników gniewnej dyskusji. Palce olbrzyma wpijały mi się w ciało jak stalowe kleszcze. Mojemu opiekunowi otwarły się gruczoły potowe. Wkrótce miałem się dowiedzieć, że świeży pot to oznaka gniewu lub niezadowolenia. Besztając mnie, wyszedł na ulicę. Byłem nieszczęśliwy.

Tempo bicia serca opiekuna stopniowo wróciło do normy, a uścisk na moim karku się rozluźnił. Po chwili zaczął mnie głaskać i skrobać za uchem. Wkrótce nabrałem tyle odwagi, by wysunąć nos spod marynarki i spojrzeć na niego. Gdy pochylił nade mną głowę, znów polizałem go po nosie i poczułem zapach ciepłego uczucia. Jego twarz nabrała osobliwego wyrazu. Wtedy właśnie zacząłem rozpoznawać mimikę i kojarzyć ją z nastrojami. Było to pierwsze odkrycie, które odróżniało mnie od innych przedstawicieli mego gatunku. Może wstrząs wywołany ogłuszającym hałasem na ulicy obudził we mnie wspomnienia i zaczęła funkcjonować inna świadomość, a może i tak by się to zdarzyło po jakimś czasie. Wówczas jednak docierało do mnie jedynie to, że błyskawicznie poruszających się na czterech okrągłych nogach stworzeń trzeba się bać i, jeśli o mnie chodzi, gardzić nimi.

Olbrzym nagle zmienił kierunek i skęcił w lewo, otwierając przed sobą wielką drewnianą płytę. Buchnęło zza niej stęchłe powietrze. Kontrast między jaskrawym światłem słońca na zewnątrz i zimną, mroczną, wypełnioną dymem jamą był zdumiewający. Zamknięty w czterech ścianach szmer głosów odbijał się od nich, ohydna woń była zastała i intensywna, a nad wszystkim unosił się wypełniający bez reszty zakątki pomieszczenia ciężki, gorzki zapach. Opiekun usadził mnie między swoimi nogami a gigantyczną drewnianą ścianą, o którą wsparł się tak, że górna połowa jego ciała zniknęła po drugiej stronie. Rozejrzałem się po wnętrzu. Stały tam grupki innych dwunogich stworzeń, wydających z siebie zróżnicowane, interesujące odgłosy, o wiele mniej nieprzyjemne niż na targu. Wszyscy trzymali w dłoniach przezroczyste naczynia z płynem. Podnosili je do ust i pili z nich. Był to fascynujący widok. Pod ścianami dostrzegłem inne grupy siedzące za swego rodzaju platformami, na których rozstawione były naczynia z różnobarwnymi płynami. Znów pojawiło się wspomnienie wywołane znajomym w nieokreślony sposób zapachem, nie potrafiłem jednak jeszcze podążyć jego tropem.



Coś wilgotnego trzepnęło mnie w łeb. Instynktownie się skuliłem. Na podłodze koło mnie rozchlapał się jakiś płyn. Przycisnąłem się do ściany. Nie mogłem się cofnąć, ponieważ zewsząd otaczały mnie górujące nade mną jak pnie drzew nogi. Ciekawość szybko przemogła ostrożność przed mokrymi, lśniącymi plamami. Węsząc, zacząłem posuwać się do przodu. Zapach okazał się mniej nieprzyjemny, niż się z początku wydawało. Powąchałem jedną z kałuż i przesunąłem się ku kolejnej. Spiesznie wetknąłem w nią pysk i wychłptałem płyn. Smak miał obrzydliwy, uświadomiłem sobie jednak, jak bardzo jestem spragniony. Błyskawicznie wylizałem pozostałe plamy. Doszczętne ich osuszenie zabrało mi chyba nie więcej niż trzy sekundy. Z wyczekiwaniem podniosłem łeb ku mężczyźnie, lecz ten ignorował mnie, zgarbiony tak, że jego głowa niknęła mi z pola widzenia. Wśród panującego zgiełku słyszałem wydawane przez niego znajome odgłosy. Skuliłem się, gdy obca dłoń pogładziła mnie po łbie. Zapach okazał się przyjazny i dobry.

Pod nos podstawiono mi okrągły, żółtobrazowy przedmiot. Woń soli pobudziła moje kubki smakowe tak, że ślinianki zaczęły wydzielać ślinę. Nie zastanawiając się dłużej, złapałem oferowane mi jadlo i przeżulem je na lepką papkę. Było chrupkie, lecz ciągnące się i pełne przemiłych zapachów. Było cudowne. Przełknąłem jedną po drugiej trzy sztuki i zakręciłem tylną połową ciała, licząc na więcej. Nie opuszczałem otwartego pyska, ale nie dostałem nic więcej, a pochylająca się nade mną sylwetka wyprostowała się, wydając z gardła dziwne, gulgoczące odgłosy. Rozczarowany, bacznie przyjrzałem się posadzce w poszukiwaniu okruchów, które mogły mi wypaść przy żuciu. Wkrótce podłoga dookoła zrobiła się bardzo czysta. Szczeknąłem cicho na mężczyznę nade mną, domagając się zwrócenia uwagi na mnie. Ten jednak ignorował mnie dalej, co wywołało moje rozdrażnienie. Pociągnąłem za miękką skórę, która zwisała nad jego twardą stopą. (Niedługo później zorientowałem się, że te stworzenia noszą skóry innych zwierząt i w rzeczywistości mogą je zrzucić, kiedy tylko przyjdzie im na to ochota.)

Natychmiast pojawiła się twarz człowieka. Zostałem podniesiony z podłogi. Okrągła twarz — tak wielka jak moje ciało — patrzyła na mnie z przeciwnej strony połąci lśniącego drewna. Usta rozchyliły się szeroko, obnażając zwarte zęby w różnych odcieniach żółci, zieleni i błękitu. Wydobywające się spomiędzy nich zapachy nakazywały być ostrożnym, nie wzbudzały jednak we mnie paniki. Istota wyciągnęła do mnie wielką, tłustą rękę, w której miękkim ciele zatopiłem zęby. Choć nie miałem jeszcze dość sił, by komukolwiek wyrządzić krzywdę, dłoń wyszarpnęła się z mojego pyska i zdzieliła mnie po łbie. Zacząłem wrzeszczeć na olbrzyma i spróbowałem jeszcze raz skubnąć rękę, która sprawiła mi ból; ta zaś zataczała koła, od czasu do czasu drażniąc klepiąc mnie po nosie. Nos u psa to rzeczywiście czułe miejsce, więc naprawdę się rozgniewałem. Krzyknąłem znów na człowieka, na co ten huknął na mnie żartobliwie i zwiększył siłę stuknięć w nos. Mój opiekun zdawał się czerpać zadowolenie z widoku drażniącego się ze mną obcego, ponieważ w ogóle nie wyczuwałem u niego zdenerwowania. Bardzo prędko cały mój świat skurczył się do dłoni zataczającej przed moim nosem kręgi. Licząc, że uda mi się ją ukąsić, wyrzuciłem naprzód głowę.

Tym razem spiczastym zębkiem udało się wbić w skórę. Zacisnąłem szczęki ze wszystkich sił. Smak był do niczego, ale przynajmniej miałem niezłą satysfakcję. Olbrzym natychmiast wyszarpnął rękę z mego pyska. Z zadowoleniem dostrzegłem na trzech palcach zgrabny rząd kropelek krwi. Krótki okrzyk bólu podniecił mnie jeszcze bardziej. Rozszczękałem się wyzywająco. Potrząsał ręką w powietrzu, by złagodzić ból. Gdy wykonał gest, jak gdyby chciał mi przyłożyć, mój opiekun schwycił mnie na

ręce. Znow znalazłem się na podłodze, bezradny wśród otaczających mnie ze wszystkich stron gigantów. Co najciekawsze, ostre grzmienie, które dochodziło z góry, zdawało się przyjazne w intencjach. Zacząłem odróżniać dźwięk śmiechu od innych odgłosów wydawanych przez wielkie zwierzęta.

Wciąż zdezorientowany wszystkim, co przydarzyło mi się tego dnia, dygocząc z podniecenia, rozstawiłem łapy i nasiusiałem na posadzkę. Kałuża się rozlewała pode mną; musiałem rozsunąć łapy jeszcze szerzej, by ich nie zamoczyć. Nagle poczułem uderzenie w bok i gniewne burczenie, po czym powleczono mnie za kark po podłodze ku wyjściu. Gdy promienie słońca trafiły w me źrenice po wynurzeniu się z półmroku, przycupnąłem oślepiiony. Olbrzym przykucnął koło mnie, wydając z siebie gniewne pomruki i wymachując palcem przed moim nosem. Oczywiście spróbowałem ugryźć go w palec, ale mocne łupnięcie w krzyż ostrzegło mnie, że nie było to właściwe zachowanie. Poczułem się niezmiernie żałośnie i podkuiliłem ogon pod siebie. Olbrzym widocznie wyczuł moją rozpacz, ponieważ ton jego głosu złagodniał. Znow znalazłem się wysoko, przytulony do jego piersi.

Kiedy ruszył z miejsca, dotarł do mych uszu nowy bodziec. Podniosłem z zaskoczeniem łeb. Olbrzym złożył usta w dziwne kółko i wydmuchiwał przez nie powietrze, wydając przywołujący, wysoki odgłos. Przyjrzałem mu się przez chwilę, po czym zawołałem do niego z zachętą. Olbrzym urwał natychmiast i spojrział na mnie. Poczułem, że jest zadowolony. Zaczął na nowo wydawać ten odgłos. Gwizdanie podziałało na mnie kojąco; wtuliłem się w zagłębienie jego ramienia, wsunawszy zad w zgięcie łokcia. Palce olbrzyma podtrzymywały mój mostek, a głowę przytuliłem do jego serca. Zaczynałem odczuwać senność.

Bardzo dobrze, że czułem zmęczenie, ponieważ kolejny etap mojej traumatyzującej podróży przebiegł we wnętrzu jednego z tych mamucich czerwonych stworzeń. Uświadomiłem sobie wtedy, że nie są one żywymi istotami jak olbrzym czy ja; były jednak przez to jeszcze bardziej niepokojące. Senność przemogła mój lęk. Przez większą część podróży drzemałem na kolanach olbrzyma.

W moim kolejnym wspomnieniu znajduje się długa, ponura droga z równie ponurymi domami po obydwu stronach. Naturalnie nie wiedziałem wtedy jeszcze, czym są domy lub droga. Świat był dla mnie pełen dziwnych, nie powiązanych ze sobą kształtów pozbawionych znaczenia. Ponieważ byłem wyjątkowym stworzeniem, szybko zacząłem się uczyć. Większość zwierząt zadowalała się akceptacją rzeczywistości, nie jej poznawaniem.

Olbrzym zatrzymał się i pchnął fragment drewnianego ogrodzenia, sięgającego mu do pasa. Przeszedł tedy na twardą, płaską powierzchnię, otoczoną z dwóch stron pięknym zielonym futrem. Natychmiast uświadomiłem sobie, że olśniewająca zieloność o wielu odcieniach to żyjąca, oddychająca istota. Olbrzym wsadził rękę w swoją skórę i wyciągnął z niej cienki przedmiot. Wetknął go w otwór w drewnianej płycie, przed którą się zatrzymaliśmy, i przekreślił szybkim ruchem. Prostokątny, ostrokanciasty, wyższy od nas obu, jaskrawobrunatny (nawet ciemny brąz może być jaskrawy, jeśli postrzega się rzeczy tak jak ja) przedmiot rozwarł się na oścież. Weszliśmy do środka pomieszczenia.

W moim psim życiu był to pierwszy prawdziwy mój dom.

## Rozdział trzeci

Nie zostałem w nim długo.

Pierwsze miesiące pobytu w nim stanowią dla mnie ciąg zlewających się ze sobą zdarzeń. Sądzę, że mój nowy mózg starał się wówczas przystosować do dziwnego sposobu egzystencji. Pamiętam, że byłem wsadzany do koszyka, w którym nie chciałem siedzieć, pamiętam białe, szeleszczące płachty, które rozkładano wokół mnie na podłodze, pamiętam ciemność nocy i samotność.

Pamiętam, jak na mnie krzyczano, jak wtykano mój nos w ohydnie śmierdzące kałuże i — jeszcze gorzej — w lepka, obrzydliwą maź, której zapachu nie mogłem się później pozbyć przez długie godziny. Pamiętam, jak wymachiwano przed moim nosem poszarpanymi i porozrywanyymi kawałkami materiału przy akompaniamencie histerycznego skrzeczenia towarzyszkii mojego opiekuna. Pamiętam również podniecająco pachnące miejsce, w którym mieszały się wonie wielu stworzeń, dając raj dla nozdrzy, ale gdzie jakieś monstrum w luźnej białej skórze ukuło mnie w grzbiet długim cienkim przedmiotem. Pamiętam, jak wiązano mi na szyi irytujący kawałek wyschniętej skóry, od czasu do czasu dołączając do niej jeszcze dłuższy kawałek, za pomocą którego mój opiekun przytrzymywał mnie lub ciągnął za sobą, gdy wychodziliśmy na spacer. Pamiętam lęk przed wielkimi stworzeniami, niezwierzętami, które nas ścigały. Rychło jednak traciły zainteresowanie i przemykały obok z rykiem, i nie miały chęci strataować nas na śmierć.

Jeśli to wszystko zabrzmiało tak, jak gdyby mój żywot szczeniaka był okropny, to widocznie nie wyraziłem się właściwie. Zdarzały się przecież także cudowne chwile spokoju i radości. Pamiętam błogie popołudnia spędzane na kolanach mojego opiekuna siedzącego w fotelu przed kosmykową gorącą istotą, która oparzyła mi nos, kiedy spróbowałem ją powąchać. Pamiętam, jak dłoń olbrzyma gładziła mnie od nosa do koniuszka ogona. Pamiętam, jak pierwszy raz wyprowadzono mnie na zielone, żywe i oddychające futro, którego zapach był tak wonny, tak pełen życia. Biegałem, skakałem, tarzałem się w tej miękkości; wachałem, żułem, dosłownie syciłem się jej obfitością. Pamiętam pościg za zabawną istotą o spiczastych uszach, mieszkającą ze stworzeniami po drugiej stronie muru. Futerko sterczało jej ze skóry jak tysiące igiełek, ogon miała wyprężony jak drut i chlastała mnie nieustającym potokiem obelg. Setnie się ubawiłem. Pamiętam, jak dokuczałem mojemu opiekunowi, zabierając mu śmieszne stare kawałki skóry, które nakładał na stopy, i uciekając przed nim, dopóki się nie poddał wyczerpany. Przysuwałem się wówczas w jego stronę, kładłem skóry przed nim ze szczęśliwym uśmiechem i zwiewałem z nimi ponownie, zanim miał szansę je chwycić. Pamiętani cudowne kąski, którymi mnie karmiono, jedzenie, którego kosztowania najpierw odmawiałem, ponieważ było niesmaczne, lecz kiedy skurcze głodowe przewycięzały mój wstręt, zjadałem je z rozkoszą, mlaskając głośno i śliniąc się obficie. Pamiętam koc, który dopóty gryzłem i deptałem, dopóki nie zamienił się w wystrzępioną starą ścierkę, ale z którym za nic nie chciałem się rozstać. Moją ulubioną kość, którą ukryłem pod krzewem rosnącym za łąką zieleni, tuż za naszą przezroczystą ścianą. Wszystko to przypominam sobie dość mglście, ale z nostalgią i czułością.

Podajrzewam, że byłem znerwicowanym szczeniakiem, ale i ty byłbyś taki, gdybyś przeszedł przez to co ja. Co, zresztą, może i tobie się przytrafić.

Nie jestem pewien, jak długo mieszkałem z olbrzymem i jego towarzyszką — sądę, że co najmniej trzy lub cztery miesiące. Był to zwyczajny psi żywot — moje ludzkie zmysły jeszcze się nie przebudziły, ale gotowe były przy najmniejszym impulsie przedrzeć się na powierzchnię psiej świadomości. Zadowolony jestem, że mogłem przyzwyczać się do mojej nowej powłoki, zanim poznałem przerażającą prawdę. Następne stadium nie było odległe, a ja, oczywiście, byłem na nie całkowicie

nie przygotowany.

\* \* \* \* \*

Przypuszczam, że pozbyto się mnie dlatego, iż nie sposób było ze mną wytrzymać. Wiem, że olbrzym lubił mnie, nawet kochał na swój sposób. Ciągle jeszcze pamiętam jego czułość, po dziś dzień czuję jego dobroć. W tamte pierwsze, wypełnione grozą, noce — gdy wyłem w ciemności z tęsknoty za rodzeństwem i matką — brał mnie do swego legowiska. Spałem na podłodze koło niego, ku wielkiemu niezadowoleniu jego towarzyszk, zwłaszcza gdy znajdowała rankiem mokre plamy i rozproszone miękkie, lepkie kopczyki na gąbczastej podłodze. Wydaje mi się, że to właśnie od początku nastawiło ją do mnie wrogo. Nasze stosunki nigdy nie wyszły poza fazę wzajemnej ostrożności. Myślę, że najtrafniejszym stwierdzeniem będzie, iż traktowała mnie po prostu jak psa.

Słowa były wówczas dla mnie jedynie pozbawionymi znaczenia dźwiękami, ale już wtedy wyczuwałem ich podkład emocjonalny. Nie kłopotząc się zrozumieniem, czułem, że stanowią w tej rodzinie namiastkę czegoś innego. Łatwo domyślić się, czego. O ile pamiętam, była to dojrzała, samotna para. Po odgłosach, które do siebie wydawali, można było stwierdzić, że olbrzymia przepelnia wstyd, a jego towarzyszka szydzi z niego. Jako szczeniakowi i tak nie było mi łatwo, a atmosfera panująca między nimi wcale nie pomagała w osiągnięciu równowagi emocjonalnej. Bez dwóch zdań, marnie sprawdzałem się jako namiastka. i dlatego pewnego dnia znów znalazłem się wśród swoich towarzyszy.

Moim drugim domem było schronisko dla psów.

Tam właśnie nastąpił przełom.

## Rozdział czwarty

Przebywałem w schronisku mniej więcej tydzień, całkiem szczęśliwy w towarzystwie moich nowych przyjaciół, choć niektórzy z nich byli dość obcesowi. Karmiony byłem w miarę nieźle (trzeba było jednak walczyć o pożywienie; klasyczny przykład walki o dominację w zwierzęcym stadzie) i bardzo dobrze o mnie dbano. Wielkie dwunogie zwierzęta przez większą część dnia przechadzały się przed nami, przywoływały nas, wydawały idiotyczne, gruchające głosy, po czym wskazywały na kogoś z nas. Pewien starszy pies powiedział mi, że stworzenia te nazywają się ludźmi i to one wszystkim rządzą. Władają całym światem. Kiedy zapytałem, czym jest świat, odwrócił się z niesmakiem i podbiegł do ludzi, wytykając nos przez siatkę ogrodzenia w wyrazie hołdu. Wkrótce dowiedziałem się, że to zawodowiec w grze o wybór psa do opieki, nie pierwszy raz bowiem znajdował się w schronisku. Dowiedziałem się również, że lepiej być wybranym przez ludzi, bo w przeciwnym wypadku w końcu mogą przyjść po ciebie białośkórzy, nad którymi wisiała woń śmierci.

Co bardziej doświadczone psy opowiadały mi, że ludzie potrafią w dowolnej chwili zrzucić z siebie skórę, ponieważ jest ona martwa jak ta, która wisiała na mojej szyi, że tak jak my dzielą się na samce i samice, a swoje szczeniaki nazywają dziećmi. Jeśli powtarzają do ciebie pewien dźwięk, czasami szorstko, a czasami łaskawie, jest to prawdopodobnie twoje imię. Jeśli jesteś posłuszny, potrafią żywić cię i opiekować się tobą. Bardzo dawno temu nauczyli się chodzić na dwóch łapach i od tamtego czasu czują się lepsi. Są trochę głupi, ale potrafią być bardzo dobrzy.

Potrafia zabić każde zwierzę, nawet większe od siebie. I to czyni ich panami świata.

Dowiedziałem się, że jestem mieszańcem, czyli inaczej mówiąc, kundlem. Psy naturalnie nie mają żadnego systemu klasowego, ale poszczególne rasy odznaczają się różnymi cechami. Labrador myśliwski jest na przykład łagodny i inteligentny, podczas gdy chart jest zazwyczaj porywczy i nieco neurotyczny, zawsze ma w pogotowiu ciętą replikę. Dziwne, że psy wiedzą, do jakiej rasy należą: terier wie, że jest terierem, a spaniel spanielem. Jednakże szkocki terier nie wyczuwa różnicy między sobą a airedalem, cocker–spaniel nie wie, że różni się od spaniela odmiany clumber. Nie są to różnice na tyle istotne, by zwracać na nie uwagę.

Nauczyłem się też, że im większy pies, tym z zasady jest łagodniejszy. Najwięcej hałasu robi zawsze psi drobiazg. Wówczas do niego właśnie, się zaliczałem.

Wyłem, by dostać swój jedyny w ciągu dnia posiłek, skamlałem przestraszony nocnymi ciemnościami, nękałem głupsze psy, chandryczyłem się z silniejszymi. Warczałem i zgrzytałem zębami na wszystko, co mnie denerwowało, a czasami bardzo rozgniewany gonilem za długą rzeczą, która zawijała się z tyłu mojego ciała (nigdy jej nie złapałem i dość długo trwało, nim pogodziłem się z tym, że nigdy mi się to nie powiedzie). Drażniły mnie nawet pchły i gdy widziałem, że jakaś skacze po grzbiecie towarzysza, rzucałem się za nią, przyszczypując mu skórę. Robił się zwykle wtedy niezły rejwach i białoskóry wylewał studzącą temperamenty zimną wodę na nasze kłębowisko.

Wkrótce zostałem zakwalifikowany jako rozrabiaka i często separowano mnie w oddzielnej klatce. Stawałem się przez to jeszcze bardziej ponury i drażliwy. Doszedłem do przekonania, że nikt mnie nie kocha. Ludzie sobie w ogóle nie uświadamiali, jakie mam problemy!

Problemy te oczywiście tkwiły we mnie zagrzebane bardzo głęboko. Toczył się tam niezwykły konflikt. Wiedziałem, że jestem psem, a jednocześnie zmysły, instynkty — nazwij to intuicją — podpowiadały mi, że kiedyś było inaczej. Uświadomiłem to sobie pewnej zimnej, wypełnionej snami nocy.

\* \* \* \* \*

Spałem na skraju grupy włochatych ciał, które spychały mnie od siebie — nie byłem wówczas najpopularniejszy wśród innych psów — a głowę przepelniały mi dziwne obrazy. Otóż byłem wysoki, niepewnie balansowałem na dwóch łapach, a głowę miałem na tym samym poziomie co ludzie. Widziałem, że idzie w moją stronę człowiecza samica, której twarz promieniowała ciepłem. Z jej ust wydobywały się miłe dźwięki. Zdawało mi się, że ją znam. Zamachałem ogonem, co sprawiło, że o mało się nie przewróciłem. Usłyszałem łagodny, znajomy mi dźwięk z jej ust ułożonych w osobliwe kółko. Jej głowa znajdowała się zaledwie o centymetry od mojej. Zbliżała się coraz bardziej. W końcu zetknęła się z moją. Wysunąłem język i polizałem ją po nosie.

Odsunęła się ode mnie, mimowolnie wydając cichy okrzyk. Po zapachu ciała, który nagle doszedł moich nozdrzy, stwierdziłem, że jest zaskoczona. Jeszcze bardziej się zdziwiła, gdy zacząłem ziając i szybciej wymachiwać ogonem. Cofnęła się, a ja podążyłem za nią niepewnie na dwóch łapach.

Zaczęła przede mną uciekać. Chcąc za nią pogonić, musiałem opaść na przednie

łapy. Głowę przepęłniała mi kakofonia dźwięków, feeria kolorów i kompozycja różnych zapachów. Wszystko było chaosem, wszystko pogrążone było w zamęcie. Przede mną pojawiły się inne ludzkie twarze. Jedna z nich należała do malutkiego, prześlicznego żeńskiego ludzka-dziecka. Potarła główkę o mój łeb, po czym wspięła mi się na grzbiet, kopiąc mnie po bokach. Zaczęliśmy baraszkować na zielonej istocie. Czułem, że pęknę z radości. Potem niebo zasnęła ciemność. Inna twarz. Płonął na niej gniew. Zniknąłem i znalazłem się w kojcu. Na targu. Potem znalazłem się wśród jakichś ciał, które zamarały i stały się lodowato zimne. Należały do psów, które pootwierały oczy i wpatrywały się we mnie.

Później zapadła absolutna ciemność.

Byłem jednak bezpieczny. Było mi ciepło. Niedaleko rozlegało się głośne, rytmiczne, kojące stukanie. Tak blisko, że niemal w moim wnętrzu. Zewsząd dobiegały inne, cichsze, ale bardzo natarczywe dźwięki. Wszystko, wszędzie, było miękkie; otaczał mnie dający i podtrzymujący życie płyn. Znajdowałem się w łonie matki i odczuwałem zadowolenie.

Potem coś zaczęło mnie pchać z tyłu — pojawiły się krótkie brutalne skurcze. Zostałem wypchnięty z mojego bezpiecznego gniazdko, wrzucony w długi czarny tunel prowadzący w surowe, zimne zewnątrz. Opierałem się. Chciałem tu zostać. Wiedziałem, jak jest na zewnątrz. Byłem tam kiedyś. Proszę, błagam, pozwólcie mi zostać! Nie wyrzucajcie mnie. Nie chcę żyć. Śmierć jest przyjemniejsza.

Działające na mnie siły były jednak potężne. Śmierć okazała się silniejsza, podobnie nowe życie.

Pierwsza wyszła głowa. Przez chwilę moje ciało pozostawało w pół drogi. W kolejce czekali inni, którzy zniecierpliwieni popchnęli mnie w błogości płynącej z ignorancji. Zadygotałem. Oczy nie chciały mi się otworzyć; rzeczywistość sama znajdzie sobie do mnie drogę. Czułem dookoła siebie inne lepkie, wilgotne ciała. Potem zaczął mnie osuszać szorstki jak papier ścierny język. Wylizany z lepkiej cieczy leżałem nieruchomo, pokorny i bezbronny.

Odrodzony.

Krzyknąłem; krzyk mnie obudził.

Czułem, że głowa rozleci mi się od naporu nowej wiedzy. Nie byłem psem, byłem człowiekiem. Egzystowałem przedtem jako człowiek i w jakiś sposób zostałem uwięziony w zwierzęcym ciele. Ciele psa. Jak? i dlaczego? Na szczęście nie przychodziła mi do głowy żadna odpowiedź. Gdyby tak się stało, gdyby objawiła mi się z całą ostrością w tej chwili, najprawdopodobniej bym oszalał.

Mój krzyk obudził pozostałe psy. Cała zagroda wypełniła się hałaśliwym szczekaniem. Psy kłapały szczękami i rzucały się w moją stronę, ja jednak stałem jak zamurowany, dygoczący, zbyt oszołomiony, by zareagować. Wiedziałem, że byłem człowiekiem, widziałem siebie. Widziałem swoją żonę i córkę. Przed oczami ukazywały mi się odtwarzane w pamięci rozmaite obrazy, stapiając się ze sobą, rozdzielając, łącząc ponownie, doprowadzając mnie do stanu krańcowej dezorientacji.

Nagle cała zagroda została zalana światłem. Zacisnąłem ślepią, by nie czuć bólu, i otworzyłem je znowu, gdy usłyszałem męskie głosy. Do środka weszło dwóch białoskórych, narzekając i pokrzykując na szczekające opętańczo psy.

— To znów ten mały popapraniec! — powiedział jeden z białoskórych. — Od kiedy tu jest, mamy z nim same kłopoty.

Dłoń jednego z nich zacisnęła się brutalnie na moim karku. Wyciągnięto mnie za obrozę i powleczono długim korytarzem koło podobnych klatek. We wszystkich czekały szaleńczo psy, czyniąc nieznośny hałas. Wrzucono mnie do ciemnego boksu — psiarni oddzielonej od pozostałych, w której izolowano szczególnie nieznośne osobniki. Kiedy zamykały się za mną drzwi, usłyszałem, jak jeden z mężczyzn powiedział: — Chyba trzeba go będzie jutro uspić. i tak nikt nie weźmie takiego kundla, a wprowadza tu tylko zamieszanie.

Nie słyszałem ściszonej odpowiedzi drugiego mężczyzny. Wydany przed chwilą brutalny wyrok przejął mnie taką grozą, że długo nie mogłem dojść do siebie. Znieruchomiały w ciemności, rozgorączkowany, zapłakałem. Co się ze mną stało? I dlaczego moje nowe życie okazało się tak krótkie? Zrozpaczony osunąłem się na posadzkę.

Wkrótce jednak zwyciężył instynkt samozachowawczy. Zacząłem dochodzić do ładu z nie uporządkowanymi myślami i uzalaniem się nad swoim losem. Byłem kiedyś człowiekiem, co do tego nie miałem żadnych wątpliwości. Obdarzony byłem ludzkim umysłem. Rozumiałem znaczenie słów wypowiedzianych przez dwóch mężczyzn. Czy mogłem mówić? Spróbowałem, ale z krtani wydobył się jedynie patetyczny pisk. Próbowałem zawołać, lecz było to jedynie psie wycie. Usiłowałem wrócić myślami do poprzedniego życia, jednakże gdy tylko zaczynałem się nad tym zastanawiać, obrazy umykały mi z pamięci. W jaki sposób stałem się psem? Czyżby wyjęto mój mózg z ludzkiego ciała i przeszczepiono do psiego organizmu? Czyżby jakiś szaleniec przeprowadzał eksperymenty z utrzymaniem przy życiu mózgu z umierającego ciała? Nie, to nie było możliwe, ponieważ pamiętałem ze snu swoje narodzenie pośród psiego miotu, pamiętałem, że suka oblizywała mnie z lepkich wód płodowych. Może jednak było to tylko złudzenie? Czyżbym rzeczywiście był rezultatem obłądnej operacji? Gdyby tak było, znajdowałbym się pod nieustanną opieką w jakimś wyśmienicie zaopatrzonym laboratorium. Ciało moje podłączone byłoby do aparatury, a nie wrzucone do mrocznego drewnianego lochu.

Musiało być jakieś wytłumaczenie. Nieważne, czy logiczne, czy absolutnie szalone. Przrzekłem sobie, że je odnajdę. Tajemnica ta ocaliła mi władze umysłowe, jak sądzę, ponieważ miałem przed sobą cel. Przeznaczenie, jeśli wolisz.

Przede wszystkim musiałem się uspokoić. Ze zdziwieniem wspominam teraz, jak logicznie zacząłem myśleć tamtej nocy i nie załamane się po odkryciu przerażającej paraliżującej prawdy. Czasami tak bywa, że wstrząsy psychiczne przytłumiają aktywność wrażliwych komórek mózgowych, pozwalając myśleć w logiczny sposób.

Nie zamierzałem zmusić swojej pamięci do wyjawienia mi wszystkich sekretów — jeszcze nie wtedy. Zresztą i tak nie byłoby to możliwe. Zamierzałem dać sobie czas na złożenie całości z fragmentów, na ukształtowanie się obrazów, na odnalezienie przeszłości.

Przede wszystkim jednak musiałem uciekać.

## Rozdział piąty

Ze snu zbudził mnie dźwięk odsuwanej rygla. Spałem twardo, nic mi się nie śniło. Sądzę, że mój wyczerpany mózg zawiesił na resztę nocy działalność, by dać mi szansę powrotu do równowagi po przebytych wstrząsach.

Ziewnąłem i przeciągnąłem się. Nagle zrobiłem się czujny. Musiałem wykorzystać

nadarzającą się szansę. Skoro miano mnie dziś uśmiercić, musiałem spróbować uciec już teraz, gdy jeszcze nie uważano na każdy mój ruch. Kiedy przychodzą, żeby zabrać cię do celi śmierci, zachowują się ostrożnie, wystrzegają się zrobienia czegoś, co by wskazywało, że mają poczucie winy, iż biorą udział w egzekucji. Wiedz jednak, że zwierzęta łatwo wyczuwają ludzkie stany emocjonalne, ponieważ aury ludzi mają tak samo duże natężenie jak fale radiowe. Nawet owady potrafią się do nich dostroić. Nawet rośliny. Zwierzę staje się wrażliwe na odczucia swojego kata i może zachowywać się rozmaicie: albo spokojnie, z przygnębieniem, albo histerycznie i wtedy trzeba użyć w stosunku do niego siły. Dobrzy weterynarze i hodowcy zwierząt wiedzą o tym, starają się więc ukryć swoje uczucia, by oszukać zwierzęta; zazwyczaj jednak im się to nie udaje i wtedy zaczynają się kłopoty.

Miałem nadzieję, że składana mi wizyta ma raczej towarzyski niż złowieszczy charakter. Do środka zajrzała znajoma osiemnasto- lub dziewiętnastoletnia dziewczyna z obsługi w białym fartuchu. Ledwie zdążyła powiedzieć: „Cześć, mały”, gdy wyczułem w niej woń smutku. Ruszyłem z miejsca jak wystrzelona kula. Dziewczyna nawet nie próbowała mnie łąpać, gdy przemknąłem koło niej. Była zbyt zaskoczona lub może nawet podświadomie zadowolona, że próbuję wyrwać się na wolność.

Pośliznąłem się, starając się skrócić przed przeciwnym boksem. Zaskrobałem pazurami po szorstkim cemencie. Błyskawicznie przemknąłem przez dziedziniec, szukając drogi na wolność. Dziewczyna ruszyła za mną bez specjalnego pośpiechu, a ja beładnie biegałem z kąta w kąt. Trafiłem na drzwi prowadzące na ulicę, ale w żaden sposób nie mogłem ich otworzyć. Przepelniała mnie rozpacz, że jestem psem; gdybym był człowiekiem, bez kłopotu odsunąłbym zasuwę i wy dostał się na zewnątrz. (Wówczas jednak, oczywiście, nie znalazłbym się w takiej sytuacji.)

Odwróciłem się i zacząłem warczeć na zbliżającą się dziewczynę, szepcząc do mnie ciche, uspokajające słowa. Zjeżyłem się i przywarowałem na przednich łapach, zbierając siły w dygoczące mięśnie ud. Dziewczyna zawahała się, jej niepewność i obawa docierała do mnie szybko następującymi po sobie falami.

Patrzyliśmy na siebie. Czulem, że jest jej mnie żal, ja również jej żałowałem. Żadne z nas nie chciało przestraszyć drugiego.

W drugim końcu dziedzińca otworzyły się drzwi prowadzące do wnętrza budynku i pojawił się mężczyzna o gniewnym wyrazie twarzy.

— Dlaczego się tak grzebiesz, Judith? Chyba wyraźnie kazałem ci, byś przyprowadziła kundla z dziewiątki.

Kiedy ujrzał, że pręzę się przed Judith, gniew na jego obliczu zastąpiła desperacja. Ruszył w moją stronę, mamrocząc pod nosem przekleństwa. Dostrzegłem swoją szansę — nie zamknął za sobą drzwi.

Przemknąłem koło dziewczyny i mężczyzny, który dotarł już na środek dziedzińca. Rozpostarł ręce i nogi, jak gdyby chciał się na mnie rzucić. Wpadłem mu między nogi; daremnie próbował zrobić nożyce i zawył z bólu, gdy uderzył kolanem o kolano. Zostawiłem go z tyłu i wskoczyłem w otwarte drzwi. Znalazłem się w długim, ciemnym korytarzu z drzwiami po obu stronach. Na końcu korytarza widniały wielkie, wspaniałe drzwi na ulicę. Wrzask za mną sprawił, że desperacko rzuciłem się w poszukiwaniu wyjścia.

Jedne z drzwi po lewej stronie były lekko uchylone. Nie zatrzymując się, wpadłem



do środka. Kobieta, która właśnie klęczała na podłodze i wtykała w kontakt sznur od elektrycznego czajnika, zobaczywszy mnie, zaskoczona, zastygła w bezruchu. Gdy wreszcie dźwignęła się na jedno kolano, w panice wpadłem pod stół. Wśród woni psów wyczułem w nozdrzach również zapach świeżego powietrza. Podniosłem łeb i ujrzałem otwarte okno. Kobieta wsunęła pod stół rękę. Zaczęła nawoływać mnie przyjaznym tonem. Błyskawicznie wskoczyłem na parapet i wyskoczyłem przez okno.

Świetnie. Znalazłem się z powrotem na dziedzińcu.

Dziewczyna o imieniu Judith dostrzegła mnie i zawołała mężczyznę, który wbiegł za mną do budynku. Na nic się to jednak zdało, bo jej wołanie zginęło w jazgocie, który podniosły inne psy. Nie zatrzymując się wpadłem z powrotem do budynku za ścigającym mnie mężczyzną.

Krzyknął zaskoczony, gdy przemknąłem koło niego, i natychmiast rzucił się za mną. Byłem pewny, że obsługa wykaże na tyle zdrowego rozsądku, aby odciąć mi wszystkie drogi ucieczki, zanim jeszcze raz powtórzę trasę drzwi—okno—drzwi, zignorowałem więc otwarte drzwi do gabinetu. Znalazłem inną drogę: po przeciwnej stronie wyjścia na ulicę pięły się na piętro szerokie, wykładane ciemnym drewnem schody. Niezgrabnie wyhamowałem i zawróciłem, po czym wbiegłem na stopnie, pracując niewielkimi łapami jak tłokami. Mężczyzna wpadł na schody za mną; nadzwyczaj długie nogi dawały mu nade mną przewagę. Pochylił się do przodu, wyciągnął ręce i nagle poczułem, że nie mogę już dalej biec, ponieważ bezlitośnie zacisnął dłonie na mojej prawej tylnej łapie. Zaskowyczałem z bólu, starając się pisać dalej w górę. Bezskutecznie... Nie miałem siły, by wyrwać się z potężnego uścisku.

Mężczyzna przyciągnął mnie ku sobie zdecydowanym szarpnięciem, a drugą ręką chwycił za kark. Podniósł do góry i mocno przycisnął do piersi. Miałem przynajmniej tę satysfakcję (aczkolwiek nie zamierzoną), że na niego nasikałem.

Na moje szczęście tę właśnie chwilę ktoś wybrał, by stawić się do pracy. Gdy przez uchylone drzwi do środka wszedł mężczyzna z aktówką, na korytarz wlało się jaskrawe słoneczne światło. Zaskoczony wpatrzył się w rozgrywającą się przed nim scenę. Dziewczyna i kobieta z gabinetu z lękiem przyglądały się podskakującemu, kłnącemu na potęgę pracownikowi, rozpaczliwie — ale bezskutecznie — starającemu się uchylić przed spadającym na niego żółtym strumieniem uryny.

Nadszedł czas na ugryzienie w rękę mego prześladowcę, co też uczyniłem. Nie miałem wprawdzie jeszcze dość silnych szczęk, ale moje zęby były ostre jak igły. Przebiły skórę i zatopiły się na tyle głęboko, na ile tylko miałem siły je zacisnąć. Przeszywający ból sprawił, że mężczyzna zawył i rozluźnił uścisk; jak sądzę, połączenie wilgoci z jednej strony i żądłacego ognia z drugiej nie pozostawiało mu żadnego wyboru. Spadłem na schody i stoczyłem się z nich, skowycząc raczej ze strachu niż z bólu. Kiedy sturlałem się do ich podnóża, niepewnie podniosłem się na łapy, potrząsnąłem lekko łbem i wypadłem na zalaną słonecznym światłem ulicę.

Poczułem się, jak gdybym przebił rozpiętą na kole papierową planszę i przedostał się z ciemnego, przygębającego świata do innego, pełnego jasności i nadziei. Niewątpliwie był to skutek zaznania wolności, kontrastu między mrocznym wnętrzem budynku a jaskrawym światłem słonecznym oraz przeróżnymi podniecającymi zapachami żywych istot na zewnątrz. Byłem wolny. I wolność dodawała skrzydeł moim młodym kończynom. Uciekałem, nie ścigany, zresztą i tak nic ani nikt na świecie nie byłby w stanie mnie dogonić. Rozkoszowałem się wolnością, a po głowie tłukły mi się niepokojące pytania.

## Rozdział szósty

Biegłem do kresu sił, umykając przed przejeżdżającymi samochodami, ignorując przywoływania zaciekawionych i krzyki przestraszonych, mając w głowie jedynie ucieczkę — wyrwanie się na wolność. Przebiegałem przez jezdnie, nie bacząc na niebezpieczeństwo, ponieważ silniejszy był strach przed schwyтaniem. Trafiłem w końcu na zaciszne tylne uliczki. Mimo to nie zwolniłem tempa biegu. W ciszy słyсhać było tylko stukot moich pazurów o cementowe chodniki. Wbiegłem na dziedziniec stareńkiej kamienicy z czerwonej cegły, pociemniałej od brudu nagromadzonego przez lata, i przycupnąłem w mrocznej klatce schodowej, drząc i dysząc z wywieszonym językiem. Oczy miałem wytrzeszczone ze strachu, który wciąż odczuwałem, a całe ciało dygotało ze skrajnego wyczerpania. Przebiegłem przynajmniej dwie mile bez odpoczynku. Dla młodego szczeniaka jest to pokazny dystans.

Osunąłem się na zimną kamienną posadzkę i usiłowałem zaprowadzić jaki taki ład w zmańonych myślach. Jak bezwładna kupka kości musiałem przeleżeć tam co najmniej godzinę, zbyt wyczerpany, by ruszyć się z miejsca, zbyt oszołomiony, by móc myśleć. Poprzednie uniesienie ustąpiło wraz z energią, którą zużyłem na bieg. W końcu poderwał mnie odgłos ciężkich kroków. Nastawiłem uszu, by zyskać więcej informacji. Dopiero wtedy uświadomiłem sobie, jak ostry mam słuch. Minęło kilka długich sekund, nim zbliżająca się osoba pojawiła się w moim polu widzenia. Olbrzymia sylwetka zasłoniła większość wpadającego na schody światła. Okazało się, że jest to potwornie gruba kobieta. Stwierdzenie, że oprócz niej nic nie widziałem, jest zapewne trochę przesadzone, ale tak właśnie wydawało mi się w tym momencie. To cielsko zawładnęło całkowicie moją wyobraźnią. Miałem wrażenie, że za chwilę mnie pochłonie, że grozi mi zgniecenie przez jej bok i że stanę się kolejną z mnóstwa warstw, z których się składała. Skuliłem się i zapiszczałem cicho, całkowicie wyzbyty dumy i godności. Męstwo nie było w stanie maskować mego tchórzostwa, bo nie byłem już mężczyzną. Moja narastająca panika ustąpiła na dźwięk słów tej kobiety.

— No, malutki, co tu robisz?

Głos kobiety był równie ekspansywny jak jej ciało, w dudniących i chrapliwych słowach brzmiała jednak dobroć i zadowolenie. Kobieta ze stęknieniem postawiła na posadzce wypchane siatki i pochyliła się nade mną.

— No jak, skąd się tu wziąłeś? Zgubiłeś się?

Jej gardłowy akcent sugerował, że pochodzi z Londynu, prawdopodobnie z East lub South Endu. Cofnąłem się przed wyciągniętą w moją stronę ręką, choć lęk ustąpił pod wpływem tonu jej głosu. Zdawałem sobie sprawę, że gdybym znalazł się w uścisku tych wielkich łapsk z serdelkowatymi palcami, żadną siłą nie mógłbym się z nich uwolnić. Kobieta wykazała cierpliwość i zrozumienie. Nie mogłem poza tym oprzeć się cudownemu aromatowi płynącemu z tych palców.

Kilkakrotnie na próbę wciągnąłem ukradkiem powietrze w nozdrza, potem nabrałem go w całe płuca. Zacząłem się ślinić. Wywaliłem jęzor na wierzch i omal nie zacząłem przewracać ślepiami z ekstazy. Czegóż ta kobieta nie jadła! Czuję boczek, fasolę, mięso z przyprawami (którego nie potrafiłem zidentyfikować), ser, chleb, masło — och, masło! — marmoladę (nieciekawy zapach), cebulę, ziemniaki, inny rodzaj mięsa (bodajże wołowinę) i mnóstwo innych potraw. Wszystko przesycone było zapachem przyziemności, prawie tak, jakby wyjadała kartofle prosto z gleby. Jednakże nie przeszkadzało mi to, a wprost przeciwnie, dodawało jeszcze kuszącego

aromatu. Oto była kobieta wierząca w jedzenie, wielbiąca je dłońmi i podniebieniem. Żadne sztucze z nierdzewnej stali nie opóźniały podróży do ochoczo pracujących szczęk, gdy mogła się ona dokonać szybciej i z mniejszym kłopotem przy wykorzystaniu rąk. Moje oddanie dla tej osoby narastało z każdym liźnięciem.

Dopiero gdy kompletnie wylizałem z zapachów tłuste dłonie, poświęciłem więcej uwagi reszcie kobiety.

Ciemnoniebieskie uśmiechnięte oczy spoglądały na mnie z rdzawej twarzy. Rdzawej? Och, byłbyś zdumiony wiedząc, jakie barwy potrafią przybierać ludzkie twarze, gdybyś postrzegał je tak jak ja. Tuż pod skórą pulchnych, zaczerwienionych policzków biegły szkarłatne i niebieskawe żyłki. Widać było i inne barwy — przeważnie żółte i pomarańczowe — bez przerwy zmieniające odcienie pod wpływem gry naczyńowej. Szare i brunatne włoski sterczały z podbródka jak kolce jeżozwierza. Całe oblicze przecinały głębokie bruzdy, biorące początek w kącikach oczu, ciągnące się przez policzki, na czole splatające się ze sobą, zlewające się, przecinające i stopniowo zanikające. Ta twarz była cudowna!

Pamiętaj, że to wszystko zobaczyłem w mrocznej klatce schodowej, przy nikłym świetle, które padało zza pleców kobiety. Tak doskonały był mój nowy wzrok, dopóki czas go nie osłabił.

Kobieta zacmokała i zaśmiała się krótko.

— Głodne jesteś, biedactwo, prawda? Ale nie boisz się mnie, co? Wiesz, że jestem twoją przyjaciółką.

Pozwoliłem jej przegarnąć dłonią sierść na moim grzbiecie. Podziałało to na mnie kojąco. Wywęszyłem woń świeżej żywności wydobywającą się z siatek z zakupami i przysunąłem się w ich stronę.

— Aha, czujesz jedzonko, co?

Kiwnąłem łbem. Konałem z głodu.

— Dobrze, rozejrzyjmy się, czy komuś nie zginąłeś.

Wyprostowała się i ciężko stąpając, skierowała w stronę wyjścia. Potruchtałem za nią. Obydwoje wystawiliśmy głowy na podwórze i rozejrzeliśmy się. Było całkowicie puste.

— No dobrze, chodź, zobaczymy, może uda się coś dla ciebie wykroić.

Stara kobieta zawróciła do mrocznej klatki schodowej. podniosła z głośnym stęknięciem siatki i skręciła w boczny korytarzyk za schodami, nawołując mnie zachęcająco. Poczłapałem za nią, orientując się po ruchu mięśni na zadzie, że merdam ogonem.

Postawiwszy siatki koło mocno zniszczonych zielonych drzwi, kobieta wyciągnęła z zakietu portmonetkę i pogrzebała w niej w poszukiwaniu kluczy, przeklinając zawodzący wzrok. Otworzyła zamek zdecydowanym ruchem, świadczącym o przyzwyczajeniu i znajomości kaprysów mechanizmu, podniosła znów siatki i zniknęła w środku. Ostrożnie podszedłem do drzwi i wystawiłem za nie nos. Stęchła woń, która do mnie doszła, nie była ani przyjemna, ani nieprzyjemna; świadczyła o ciągnącym się od dawna zaniedbaniu.

— Chodź, mały — zawołała kobieta. — Nie masz się czego bać, Bella nic ci nie zrobi.

Mimo to nie wchodziłem do środka. Moja nieufność nie ulotniła się jeszcze do reszty. Kobieta zachęcająco poklepała się po kolanie; nie było to proste przy jej proporcjach. Nie namyślając się dłużej, rzuciłem się w jej stronę, merdając ogonem tak, że dygotał mi cały zad.

— Świetnie, malutki — wychrypiała kobieta.

Nie tylko rozumiałem słowa, ale także rozumiałem dokładnie ich sens. Rzeczywiście, było świetnie.

Zapomniałem się i spróbowałem do niej przemówić; sądzę, że chciałem jej powiedzieć, że jest dobra i zapytać, dlaczego stałem się psem. Jednakże udało mi się tylko zaszczekać.

— No, co takiego? Głodny? Naturalnie! Zobaczmy, co uda się dla ciebie znaleźć.

Przeszła przez kolejne drzwi i po chwili dobiegły mnie odgłosy otwieranych i zamykanych szafek. Przez chwilę zastanawiałem się, dlaczego Bella wydaje przy tym niskie chrypliwe dźwięki. Dopiero potem uświadomiłem sobie, że śpiewa, wtrącając co chwila między „mmmm” i „lala” pojedyncze słowa.

Skupiłem uwagę na dźwięku skwierczącego tłuszczu. Wspaniała woń zaczynających się gotować serdelków wciągnęła mnie do kuchni jak pył do odkurzacza. Przyskoczyłem do Belli i wsparłem się o jej masywne udo. Frenetyczne wymachiwanie ogonem groziło mi przewróceniem się. Kobieta uśmiechnęła się, słysząc moje podniecone skomlenie i położyła wielką dłoń na moim łbie.

— Biedaczysko. Zaczekaj jeszcze minutkę. Pewnie zjadłbyś nawet surowe, co? Poczekaj jeszcze chwilkę. Zaraz podzielimy się serdelkami. No, bądź cierpliwy. — Odepchnęła mnie delikatnie. Ale smakowita woń była tak podniecająca, że skoczyłem na kuchenkę, starając się zajrzeć do patelni.

— Oparzysz się! — skarciła mnie Bella. — Chodź, posiedzisz na zewnątrz, żebyś sobie nie zrobił krzywdy.

Zgarnęła mnie z podłogi, kaczkowatym chodem podeszła do drzwi kuchennych i wystawiła mnie z niej ze stęknieniem. Usiłowałem wcisnąć głowę w zwiężającą się szczelinę w drzwiach. Cofnąłem się jednak, gdyż mój nos znalazł się w niebezpieczeństwie. Wstyd mi się przyznać, że skamlałem i skrobałem w drzwi kuchni, myśląc jedynie o napełnieniu brzucha przyprawiającymi o zawrót głowy kiełbaskami. Zapomniałem o pytaniach na temat obecnej mojej egzystencji, pokonany silniejszym pragnieniem zaspokojenia głodu.

W końcu, po wyczekiwaniu, które zdawało się trwać w nieskończoność, drzwi się otworzyły i pogodny głos zawołał mnie do środka. Nie trzeba było mi tego powtarzać; wpadłem do kuchni i rzuciłem się prosto do talerza, na którym leżały trzy cudownie pachnące serdelki. Zapiszczałem, gdy sparzyłem się pierwszym, który złapałem w pysk. Stara kobieta zachichotała na widok moich łapczywych usiłowań pożarcia skwierczącego mięsa. Znów oparzyłem sobie język i powtórnie byłem zmuszony upuścić serdelek na podłogę. Udało mi się przełknąć jego kęs, ale boleśnie oparzyłem sobie gardło. Bella doszła do wniosku, że lepiej będzie odebrać mi serdelki. Zacząłem na nią szczekać.

— Bądź cierpliwy — zgałiła mnie. — Zrobisz sobie tylko krzywde.

Zręcznie wzięła w palce serdelek, który nadgryzłem, i zaczęła nań dmuchać długo i dokładnie. Kiedy doszła do wniosku, że serdelek już ostygł, wrzuciła go w mój

podstawiony, zwrócony w górę pysk. Połknąłem go błyskawicznie w dwóch kęsach i zacząłem błagalnie dopraszać się o więcej. Bella powtórzyła rytuał dmuchania, ignorując me prośby. Drugi serdelek smakował mi jeszcze bardziej. Pyszne mięso wypełniało sokami mój pysk i mogę szczerze powiedzieć, że nigdy w życiu — ludzkim i psim — nie zachwyciłem się tak jedzeniem.

Kiedy połknąłem trzeci serdelek, stara kobieta wróciła do patelni. Nałożyła po dwa serdelki na dwie grube kroniki chleba leżące na stole. Niemal z czułością posmarowała je musztardą i nakryła kolejnymi kromkami, jak gdyby układała je do snu jak dzieci. Nie krępując się, rozwarła szczęki i ugryzła tak wielki kęs kanapki, jaki tylko mogła pomieścić w ustach. Zaciśnęła zęby i gdy odjęła od ust chleb, widniała w nim wielka, półkolista szczerba. Przypatrywałem się temu z zazdrością. Spróbowałem wskoczyć jej na kolana. Widok jej wielkich przeżuwiających szczęk doprowadzał mnie wprost do szaleństwa. Konałem z głodu! Czy nie miała nade mną litości?

Bella zaśmiała się i trzymając mnie na dystans, pogładziła po łbie, nie dopuszczając, bym dosięgnął kłapiącymi szczękami kanapki. Miałem szczęście, ponieważ reszta serdelka wypadła spomiędzy kromek chleba na podłogę. Rzuciłem się na niego natychmiast. Oblizalem się i podniosłem łeb, licząc na dokładkę.

— No dobrze, łotrzyku. Widocznie jesteś bardziej głodny ode mnie. — Uśmiechnęła się i położyła resztę kanapki na mój talerz na podłodze.

I tak ucztowaliśmy, ja i gruba kobieta, szczęśliwi w swoim towarzystwie. Obydwoje w ciągu kilku sekund unicestwiliśmy wszystkie serdelki, uśmiechając się do siebie z zadowoleniem i głośno mlaskając.

Wciąż byłem głodny, ale przynajmniej zaspokoilem pierwszy głód. Wypiłem trochę wody, którą Bella podsunęła mi na talerzu do zupy, po czym wylizalem z jej rąk resztki jedzenia. Prosiłem o więcej, ale mnie nie rozumiała. Dźwignęła się z krzesła i zaczęła rozpakowywać siatki z zakupami, podczas gdy ja bacznie pilnowałem, czy na podłogę nie spadną jakieś okruchy. Rzykując zgniecenie przemykałem się między jej zdumiewająco masywnymi nogami i choć nic jadalnego nie spadło na podłogę, bardzo mi się spodobała ta zabawa.

Bella wstawiła mój wylizany do czysta talerz do zlewu i zawołała, bym poszedł za nią. Poczłapałem do frontowego pokoju i wdrapałem się na starą wersalkę, którą czuć było stęchlizną. Bella także osunęła się na nią z westchnieniem. Skoczyłem jej na kolana, oparłem się przednimi łapami o olbrzymie piersi i zacząłem z wdzięcznością lizać jej twarz. Było to bardzo przyjemne uczucie. Bella głaskała mnie po grzbiecie. Po jakimś czasie głaskanie stało się wolniejsze i rzadsze, a jej oddech coraz płytszy i spokojniejszy.

Niedługo potem Bella dźwignęła przypominające pnie nogi na wersalkę i wsparła głowę na oparciu. Prawie natychmiast zasnęła. Jej chrapanie działało na mnie dziwnie uspokajająco. Wcisnąłem się między górujące brzuszysko i oparcie wersalki i niebawem sam zapadłem w sen.

Obudziłem się nagle z uczuciem strachu. Znieruchomiałem natychmiast, słysząc dźwięk przekręcanego w zamku klucza. Usiłowałem wstać, ale moje łapy zaklinowały się między starą kobietą a oparciem wersalki. Podniosłem łeb i zacząłem szczekać na całe gardło. Bella obudziła się przerażona. Przez chwilę rozglądała się wokół, nie mogąc sobie przypomnieć, gdzie się znajduje.

„Bella, ktoś próbuje dostać się do środka!”, powiedziałem.

Oczywiście nie rozumiała mnie i szorstko nakazała przestać czekać. Byłem jednak zbyt młody, zbyt pobudliwy, by się uspokoić. Szczekałem coraz głośniejsze, coraz bardziej wyzywająco.

Do środka wtoczył się mężczyzna, roztaczając wokół obrzydliwe wyziewy alkoholu. Byłem kilkakrotnie w barze z moim poprzednim panem i wprawdzie zapach alkoholu zawsze był dla mnie nieprzyjemny, ale nie niepokojący. Ten człowiek jednak miał złą, chorą woń.

— Co jest, do cholery?

Mężczyzna potykając się ruszył w naszą stronę. Był młody, miał jakieś trzydzieści, może trzydzieści pięć lat, zaczątki łysiny i rysy zapowiadające, że będzie wyglądać tak samo jak Bella. Miał nieporządne, ale nie wymięte ubranie, nie nosił koszuli, lecz luźny sweter pod marynarką. W odróżnieniu od grubokościstej, wylewnej Belli był niski i wstrętny. Dla mnie oczywiście był olbrzymem, ale małym, obrzydliwym olbrzymem.

— Znów nie byłeś w pracy? — spytała Bella, jeszcze ociężała od snu.

Mężczyzna zignorował ją i rzucił się, by mnie schwytać. Usta wykrzywił w okropnym uśmiechu. Zawarczałem i kłapałem zębami przed jego dłonią. Absolutnie nie spodobał mi się ten człowiek.

— Zostaw psiaka! — Bella odepchnęła jego rękę i spuściła nogi na podłogę, przez co zsunąłem się w opróżnione przez nią miejsce.

— I ty nazywasz to coś psem? — Mężczyzna trzepnął mnie po karku ze złośliwością imitującą żartobliwość. Ostrzegłem go, żeby nie robił tego więcej. — Skąd go wytrzasnęłaś? Wiesz, że w kamienicy nie wolno trzymać psów.

— Zostaw go w spokoju. Znalazłam go na dworze, umierał z głodu, biedaczek. — Bella podniosła się, górując nade mną i padalcem, który, jak podejrzewałem, był jej synem. — Śmierdzisz wódką — powiedziała. — Co z robotą? Nie możesz się tak bez końca objąć.

Padalec zaklął na robotę i swoją matkę.

— Gdzie mój obiad? — zapytał.

— Pies go zjadł.

Jęknąłem w duchu. Nie był to najlepszy sposób na zaskarwienie przychylności padalca.

— Nie powinien był tego robić, do cholery!

— Nie wiedziałam, że przyjdiesz do chałupy, nie? Myślałam, że poszłeś do roboty.

— Ale nie poszłem, więc dawaj mi tu coś do zarcia.

Sądzę, że Bella powinna złapać go za kark i wsadzić mu łeb do kubła z zimną wodą — była na to wystarczająco wielka. Zamiast tego pomaszerowała do kuchni. Wkrótce do naszych uszu dotarły odgłosy otwieranych i zamykanych szafek.

Mężczyzna popatrzył na mnie pogardliwie z góry. Z lękiem spojrzałem na niego.

— Won! — rozkazał, wykonując kciukiem gest nakazujący mi zejście z wersalki.

„Odczep się!” odpowiedziałem z większą dozą pewności siebie, niż rzeczywiście czułem.

— Powiedziałem won!! — Mężczyzna rzucił się na mnie i zmiotł z luksusowej grzędy z siłą, której się po nim nie spodziewałem. Bez przerwy musiałem sobie przypominać, że jestem tylko psem, na dodatek dość słabym. Zaskowyczałem ze strachu i pogalopowałem do kuchni, szukając ochrony u Belli.

— No dobrze, malutki, nie bój się. Nie zwracaj na niego uwagi. Damy mu obiad i zaraz walnie się do wyra, jak amen w pacierzu.

Bella krzątała się przy przygotowywaniu posiłku dla padalca, podczas gdy ja trzymałem się tak blisko niej, jak tylko mogłem. Zapachy jedzenia zaczęły od nowa drażnić moje podniebienie i wkrótce stwierdziłem, że znowu jestem tak samo głodny jak przedtem. Wsparłem łapy o jej tłuste udo i zacząłem błagać Bellę, żeby mnie nakarmiła.

— Złaż ze mnie, natychmiast. Nic nie dostaniesz! — Trzepnęła mnie po karku bardziej zdecydowanie niż przedtem. — Zjadłeś już obiad, teraz jego kolej.

Nie ustawałem w błaganiach, Bella jednak je ignorowała. Zaczęła mówić, być może do mnie, być może tylko po to, żeby się uspokoić: — Wdał się w ojca. Licho w nim siedzi, ale co zrobić? Niedaleko pada jabłko od jabłoni. Mógł wyrosnąć chłopak na porządnego człowieka, ale się zmarnował. Tak jak stary, niech mu Bóg da wieczne odpoczywanie. Widać od razu, że jego krew. Bóg mi świadkiem, że starałam się jak mogłam. Utrzymywałam go — utrzymywałam ich obu, kiedy nie mieli roboty. To przez nich się tak postarzałam.

Woń jedzenia doprowadzała mnie do szału.

— Poderwał parę razy niezłe dziewczyny, ale nie potrafił ich utrzymać — ciągnęła Bella. — Wiały, gdzie pieprz rośnie, gdy wychodziło na wierzch, co z niego za ziółko. Nigdy się nie zmieni. Arnold, już prawie gotowe! Nie kładź się spać!

Szynka, jaja, cała góra serdelków! Och, Boże!

Bella zaczęła smarować masłem kromki chleba, a ja sterczałem koło kuchenki jak wmurowany, całkowicie nie zwracając uwagi na pryskający od czasu do czasu z patelni gorący tłuszcz. Bella odepchnęła mnie nogą z drogi i przełożyła zawartość patelni na talerz. Postawiła go na stole i zaczęła grzebać w szufladzie w poszukiwaniu noża i widelca.

— Arnold! Obiad gotowy! — zawołała. Odpowiedzi nie było. Stęknąwszy z irytacją i przybrawszy zdeterminowany wyraz twarzy, Bella przeszła do frontowego pokoju.

Obiad na stole aż się prosił, żeby się do niego zabrać.

Na nieszczęście krzesło, na którym poprzednio siedziała Bella, stało koło kuchennego stołu. Wdrapałem się na nie, spadając przy pierwszej próbie i ponawiając wysiłki z desperacką gorliwością, po czym wsparłem łapy o skraj stołu. Bella wyszła z kuchni na nie dłużej niż parę sekund. wystarczyło mi to jednak, żeby pożreć dwa płatki boczku i półtora serdelka. Jaja zachowałem na koniec.

Mój krzyk strachu zabrzmiał równocześnie z okrzykiem grozy Belli. Do tego dołączył się kakofoniczny, gniewny wrzask padalca. Zeskoczyłem ze stołu w momencie, gdy syn wypadł z za matki. Wyciągał zakrzywione palce, by mnie zadusić. Na szczęście, Bella swoim masywnym ciałem częściowo zagroziła mu

drogę. Padalec potknął się o jej tłuste udo, stracił równowagę i wywalił na podłogę tak bezwładnie, jak to się zdarza tylko pijakom.

Bella też była na mnie zła. Zorientowałem się, że szykuje się do wymierzenia mi przypominającymi konary drzewa rękami srogiej kary, starałem się więc przez cały czas znajdować się po przeciwnej stronie stołu niż ona. Zaczęliśmy krążyć wokół miejsca mojego występku. Przypadłem do podłogi, wyprężywszy wysoko dygoczące pośladki. Kiedy Bella okrążyła stół, rzuciłem się pod niego i wyprysnąłem ku wyjściu z kuchni... prosto w ramiona padalca.

Obydwoma rękami podniósł mnie, mocno ściskając za kark. Jego wykrzywiona w demonicznym uśmiechu twarz znalazła się o kilka cali od mojego pyska. Moja szamotanina sprawiła, że Arnold niebezpiecznie się zachwiał i razem ze mną zwałił na stół. Rozpaczliwie skrobiąc po jego powierzchni zrzuciłem ze stołu żalosne resztki obiadu. Keczup, posmarowany masłem chleb i Bóg jeden wie co jeszcze wylądowało na podłodze.

— Zabiję! — zdążył wydusić z siebie padalec, nim zatopiłem zęby w jego spiczastym nosie. (Założę się, że po dziś dzień ma na nim dwa rzędy dołeczków.) — Ściobnij bgo! — wrzasnął do matki.

Poczułem, jak zaciskają się na mym karku przypominające banany palce. Bella szarpnęła mnie, a ja z przyjemnością zobaczyłem pojawiające się na nosie padalca równoległe krwawe pręgi. Padalec zawył z bólu, złapał się rękami za twarz i zaczął podskakiwać w miejscu, jakby stepował.

— O Jezusie! — jęknęła Bella. — Zmykaj, nie możesz tu zostać!

Wyniosła mnie z kuchni, osłaniając ciałem przed podskakującym synem, by nie wyszarpnął mnie z jej rąk. Nie sądzę, bym chciał tam dłużej zostać, więc prawie nie protestowałem, kiedy Bella otworzyła frontowe drzwi i wyrzuciła mnie na korytarz. Ciężką ręką klepnęła mnie po zadzie po raz ostatni.

— No, ruszaj w swoją drogę! — powiedziała ze współczuciem w głosie i zamknęła drzwi, zostawiając mnie samego na korytarzu.

Przez chwilę spoglądałem tęsknie na drzwi, kiedy jednak ponownie gwałtownie się otworzyły i pojawił się w nich trzęsący się z gniewu padalec z krwawiącym nosem, uświadomiłem sobie, że nie będzie zdrowo tu zostać. Pomknąłem więc do wyjścia, a padalec pogalopował za mną.

Sądzę, że strach jest silniejszym bodźcem niż gniew; w każdym razie bardzo szybko zostawiłem padalca daleko z tyłu.

Znów kolej na niejasne obrazy: samochody, ludzie, budynki, wszystko rozmyte, wszystko nie do końca rzeczywiste. Podczas ucieczki przystanąłem jedynie raz przy wydzielającym oszałamiający zapach słupie latarni. Zatrzymałem się z poślizgiem, zadnie łapy wyjechały mi przed przednie, i niezgrabnie zawróciłem. Potruchtałem do zroszonej nektarami kolumny, węsząc wyczulonymi do granic możliwości nozdrzami. Latarnia wydzieliała najciekawszy z zapachów, jakie ostatnio poznałem. Była psem, rozumiesz, psem w liczbie mnogiej. U podnóża tej betonowej struktury czuć było woń sześciu czy siedmiu osobników mojego gatunku, nie wspominając o zapachach kilku ludzi. Upajałem się nią niemal z zawrotem głowy. Wąchałem już przedtem drzewa i latarnie, teraz jednak czułem się tak, jak gdyby moje zmysły budziły się na nowo albo nabierały nowej ostrości. Niemalże w i d z i a ł e m psy, które odwiedziły ten strzelisty urynek, niemalże z nimi r o z m a w i a ł e m, jakby zostawiły dla mnie



nagrane wiadomości. Wyczuwałem nawet ich płęć, co, jak sądzę, miało związek z zainteresowaniem, jakie psy żywią wobec swego moczu, z rolą, jaką pełni on w realizacji instynktu seksualnego, w poszukiwaniach partnera. Młode psy i suki pozostawiły swoje wizytówki z informacją: „Byłem tu, to jest moja trasa; jeśli cię to obchodzi, może się zdarzyć, że będę przechodził tędy ponownie”. Byłem wówczas za młody, by wytrącały mnie z równowagi jakieś seksualne podteksty. Kwaśne, lecz aromatyczne wonie ciekawiły mnie z zupełnie innego powodu. Mówiły: „oto towarzystwo”.

Kiedy nasyciłem nozdrza zapachami spod latarni, zacząłem obwąchiwać krawężnik. Nie zwracałem uwagi na przechodniów, całkowicie pochłonięty podążaniem śladami interesujących zapachów. Nie minęło wiele czasu, gdy do moich uszu dotarło coś jeszcze bardziej interesującego. Zrazu był to jedynie zgiełk przypominający gęganie podekscytowanych gęsi, lecz gdy zbliżyłem się bardziej do jego źródła, okazało się, że są to bez wątpienia głosy wydawane przez ludzi. Przyspieszyłem kroku, zaczynając czuć uniesienie. Dźwięki zdawały się nieść ze sobą fale ekscytacji.

Dotarwszy do szerokiej jezdni, zawahałem się przez moment, ale na szczęście nie czyhały tu na mnie żadne smoki. Odgłosy były coraz głośniejsze i wreszcie po wykonaniu zakrętu natrafiłem na ich źródło: wielki plac pełen biegających, skaczących, krzyczących, wrzeszczących, chichoczących, płaczących, bawiących się dzieci. Trafiłem na szkołę. Mój ogon, jakby zupełnie ode mnie niezależna część ciała, zaczął kręcić się jak oszalały. Rzuciłem się do ogrodzenia boiska i wystawiłem przez nie nos.

Ujrzała mnie grupka małych dziewczynek. Podbiegły do mnie radośnie i wyciągnęły ręce przez pręty ogrodzenia, by pogłodzić mnie po grzbiecie. Pokrzykiwały z zachwytem, gdy próbowałem skubać je po palcach, starających się pogłodzić mnie po łbie; nie zamierzałem gryźć dziewczęcych rączek, chciałem jedynie spróbować smaku ich ciał, ich aromatu. Wkrótce koło mnie zebrała się duża grupa chłopców i dziewczynek. Co więksi chłopcy przepychali się do przodu. Łapczywie chwyciłem wciskane mi w pysk toffi, a dzieci błyskawicznie zabierały palce, gdy zdawało się, że je połknę razem z cukierkiem. Drobną dziewczynką z jasnoblonde włosami przysunęła twarz do mojego pyska. Polizałem jej nos i policzek. Nie odsunęła się, lecz objęła mnie za szyję.

Wtedy właśnie wróciły nawiedzające mnie ulotne wspomnienia. Kiedyś miałem taką dziewczynkę! Wydało mi się, że właśnie ta, która mnie teraz obejmowała, należała kiedyś do mnie. Przed oczyma pojawiły mi się jednak inne rysy. Moja córka miała takie same jasne włosy okalające urwisowatą twarzyczkę, ale niebieskie, nie brązowe, oczy. Wyrwał mi się okrzyk nadziei, lecz dziewczynka sądziła, że to jęk strachu. Usiłowała mnie uspokoić. Prosiła, bym się nie bał. Stałem jak sparaliżowany. Po głowie tłukła mi się jedna myśl: byłem człowiekiem! Dlaczego stałem się psem?!

Po chwili paraliż ustąpił, świadomość dawnego istnienia skryła się w zakątku, w którym stale przebywała, i znów stałem się tylko psem. (Choć pewność, że w rzeczywistości byłem człowiekiem, prawie mnie nie opuszczała przez pierwsze miesiące mojego życia, a poczucie człowieczeństwa w konflikcie z psią naturą odgrywało bardzo zmienną rolę.)

Znów zacząłem wymachiwać ogonem jak flagą. Z wdzięcznością przyjąłem od dzieci więcej cukierków. Dzieciaki hałasowały nade mną, usiłując metodą prób i błędów ustalić, jak się wabię. Za nic nie mogłem sobie przypomnieć, jak się

wcześniej nazywałem. Na mojej obroży chłopcy nie znaleźli żadnego imienia. Człaptuś, King, Reks, Dupogąb (D u p o g ą b! — co za popapraniec mógł to wymyślić) — na dźwięk tych wszystkich imion wymachiwałem ogonem jak szalony. Nie znaczyły dla mnie nic, tak samo zresztą jak dla wszystkich psów, które reagują wyłącznie na znany dźwięk. Byłem po prostu szczęśliwy, że znalazłem się wśród przyjaciół.

Nagle zabrzmiał ostry dźwięk dzwonka. Po kilku kolejnych dzwonek dzieci niechętnie oderwały się ode mnie. Wcisnąłem się z całych sił między pręty ogrodzenia, chcąc pobiec za nimi. Jasnowłosa odeszła ostatnia, uściskawszy mnie mocno na pożegnanie. Przywoływałem dzieci szczekaniem, lecz ustawiły się w szeregu, plecami do mnie. Co chwila któreś z nich rzucało na mnie ukradkowe spojrzenie, starając się stłumić chichot, który wyraźnie był widoczny po ich podskakujących barkach. Potem szeregiem podążyły do nędznego budynku. Drzwi zamknęły się bezapelacyjnie.

Pustym wzrokiem wpatrywałem się w boisko zrozpaczony, że straciłem moich nowych przyjaciół. Uśmiechnąłem się i wyprostowałem, gdy zobaczyłem w oknach małe twarzyczki. Wkrótce pojawiło się koło nich starsze, pomarszczone oblicze nauczyciela, który surowym głosem nakazywał dzieciom wrócić do ławek. Chłopcu, który się ociągał z wykonaniem polecenia, wykręcił ucho. Zostałem tam jeszcze przez kilka minut, mając nadzieję, że dzieci powrócą, w końcu jednak rozczarowany wyjąłem łeb pomiędzy prętów ogrodzenia.

Psy są w zasadzie stworzeniami o pogodnym usposobieniu. W ich naturze przeważa zachłanna ciekawość, gdy więc koło mnie przejechał stary mężczyzna na rowerze, z którego kierownicy zwisały się siatki z zakupami, zapomniałem o rozczarowaniu i pogalopowałem za nim. Z dziury w spodzie siatki wystawała jakaś zielona łodyga z liśćmi. Sądzę, że był to rabarbar — przypominam sobie słodką, przyprawiającą o ślinienie, woń. Łodyga wyglądała bardzo apetycznie. Wkrótce doścignąłem rowerzystę, był bowiem bardzo stary i pedałowal powoli. Nim miał szansę mnie zauważyć, skoczyłem i wyszarpnąłem intrygującą mnie łodygę. Miałem zarówno szczęście, jak i nieszczęście.

Wyciągając nagłym szarpnięciem łodygę przez dziurę w siatce, pozbawiłem rowerzystę równowagi. Zwalił się na mnie wraz z rowerem. Zabrakło mi tchu, więc zamiast zawyc, wydawałem z siebie tylko słabe skomlenie. Zakrztusiłem się, walcząc o złapanie powietrza, i przeprosiłem starca, że go przewróciłem. Lecz zamiast słów wyartykułowałem jedynie serię zdyszanych pomruków, których starzec nie pojął. Zaczął wymachiwać rękami, chcąc mnie uderzyć. Nawet nie współczuł mi, że byłem głodny. Klął i jęczał, jak gdyby został rzucony przez byka na łożo fakira pełne gwoździ. A przecież spadł na mnie, dzięki czemu mniej się potłukł!

Nie miało sensu, bym tu dłużej został — starzec i tak nie był w nastroju do ofiarowania mi czegokolwiek do jedzenia — spróbowałem więc wydobyć się spod roweru i mężczyzny. Znacznie pomogło mi w tym kilka solidnych szturchnięć. Z zachwytem stwierdziłem, że zawartość siatki wysypała się na jezdnię. Zignorowałem długie, czerwone łodygi, których smak nie zachwycił mnie specjalnie, i rzuciłem się na soczyste, czerwone jabłko. Zacisnąłem na nim szczęki, co było nie byle jakim wyczynem, zważywszy na jego rozmiary, po czym szybko wycofałem się poza zasięg pięści rozgniewanego starca, nie zwracając uwagi na miotane przez niego obelgi. Miałem szczęście, że nogi zaplątały mu się w ramę roweru, na pewno bowiem wykorzystałby je do nadania mi większego pędu. W bezpiecznej odległości

zatrzymałem się i położyłem jabłko na ziemię. Chciałem znów przeprosić starego mężczyznę za nieumyślne spowodowanie jego bolesnego upadku, lecz purpurowa twarz i wygrażająca pięść przekonały mnie, że nie da się ułagodzić. Podniosłem więc jabłko i ruszyłem dalej. Po chwili jeszcze raz się obejrzałem i zobaczyłem, że dwóch przechodniów podnosi starca z ziemi. Gdy prostował się i sprawdzał działanie starych nóg, stwierdziłem, że nic mu się nie stało i nie zatrzymywałem się więcej.

Znalazłem dość spokojną boczną uliczkę i przycupnąłem pod ścianą, by pożreć swój łup. W pierwszych miesiącach życia miałem wprost nienasycony apetyt. „Eksperci” twierdzący, że psa powinno się karmić raz dziennie, po prostu bredzą. Bez wątplenia pies może przeżyć cały dzień na jednym posiłku, ale tak samo jest z człowiekiem. Jak byś się czuł, gdybyś miał świadomość, że niczego więcej nie dostaniesz? A co powiedziałbyś na post przez jeden dzień w tygodniu, co również zalecają rzekomi „znawcy”? Jaki jest pożytek ze lśniącej sierści i wilgotnego nosa, jeśli żołądek ściska się z głodu? Pożarłem jabłko razem z szypułką. Tego dnia nie jadłem nic więcej. Oślepiające światło słońca przyprawiało mnie o senność, dzięki której zapomniałem o swoich problemach. Zasnąłem.

Przebudza mnie jeden z (tak typowych dla klimatu Anglii) letnich przelotnych deszczów. Automatycznie spojrzałem na nadgarstek, by dowiedzieć się, która godzina. Oprzytomniałem na widok owłosionej psiej łapy. Zerwałem się i otrząsałem, po czym rozejrzałem dookoła. Była mniej więcej piąta po południu, a w brzuchu ściskało mnie z głodu.

Ruszyłem wąską uliczką, z uwagą węsząc w poszukiwaniu nowych zapachów. Rzuciłem się za zukiem, który przeciął mi drogę, zawołałem na powitanie do psa, którego jakiś człowiek prowadził na smyczy po przeciwnej stronie ulicy. Pies, mały corgi, pogardliwie zignorował mnie, a ja nie interesowałem się nim na tyle, by kontynuować próby nawiązania rozmowy. Gdy tak biegłem, powoli zaświtało mi we łbie, że potrzebuję jakiegoś bezpiecznego schronienia, w którym mógłbym wypocząć i dojść do ładu z chaotycznymi myślami. Potrzebowałem jedzenia i opieki. Przydałoby mi się też trochę współczucia.

Tego dnia go jednak nie znalazłem.

\* \* \* \* \*

Wepchnąłem zad głębiej w bramę, chroniąc go przed mżawką ochlapującą mi nos i pysk. Całe popołudnie spędziłem na wędrówkach i ciągłym dziwieniu się czemuś lub komuś. W końcu słońce zasnuła opończa mżawki, a ludzie stali się jeszcze bardziej nieprzystępni. Nieco wcześniej ulice zrobiły się na jakiś czas tak zatłoczone, że zrozpaczony poszukałem schronienia pod wiaduktem kolejowym. Pod wieczór tłumy przeredziły się, wyszedłem więc na ulicę. Łaziłem ze zwieszonym ogonem, nie odrywając oczu od chodnika. W miarę ściemniania się uczucie osamotnienia stało się tak dotkliwe, że kusilo mnie, by wrócić do przytułku dla psów: Powrót Syna Marnotrawnego, Lassie Znów w Domu. Nie odstraszała mnie już myśl, że zostałem uśpiony — to znaczy zamordowany. Byłbym dobry, korzyłbym się nawet przed najpodlejszym psem, a opiekunowie przebaczyliby mi, daliby mi jeszcze jedną szansę, bym dowiódł, że jestem godny być niegodnym stworzeniem, zwyczajnym psem. Lecz nie mogłem sobie przypomnieć, gdzie znajdował się przytułek.

Z tęsknotą wpatrywałem się w oświetlone okna, rozpaczliwie pragnąc towarzystwa. Na ulicy było zimno i pusto. Syciłem się zapraszającymi zapachami,

deszcz gnał mnie jednak dalej, szukającego i nie znajdującego.

Było już późno, po ulicach przemykały jedynie sporadycznie samotne wozy. Skuliłem się w jakiejś bramie, a moja znękana dusza skuliła się we mnie. Ze zmęczenia opadły mi powieki, ale głód nie pozwalał mi zasnąć. Zrozpaczony zacząłem się trapić pytaniami bez odpowiedzi.

Nie znałem tego miejsca, lecz wiedziałem, że jestem w Londynie. Czy pochodziłem z Londynu? Nie, nie stąd. Skąd to wiedziałem? Po prostu wiedziałem. Przypominałem sobie zielone pola, otwartą przestrzeń, jakieś niezbyt duże miasteczko, w którym przeżyłem większą część mojego życia. Gdzie się ono znajdowało? Gdybym tylko potrafił je odnaleźć! Mimo to znałem Londyn, a przecież nigdy do tej pory nie byłem jako pies w tych okolicach. Czyżbym kiedyś tu pracował? Nagle przed oczami stanął mi obraz dobiegającej sześćdziesiątki kobiety, pulchnej, lecz nie otyłej. Uśmiechała się ciepło i wyciągała przed siebie ręce — zdawało mi się, że do mnie. Bezgłośnie przyzywała mnie do siebie. Wtem jej twarz przemieniła się w psi pysk także pełen miłości, ciepła i troskliwości. Po chwili obie moje matki zniknęły i ukazała się postać mężczyzny. Był przystojny, ale poza tym niczym się specjalnie nie wyróżniał. Poczułem do niego dziwną nienawiść. Czy to byłem ja? Moje znużone myśli kotłowały się dalej bez ładu i składu. Przypominałem sobie dziecko — miałem pewność, że jest moje — oraz dziewczynę, młodą kobietę, moją żonę, dom, ulicę, błotnistą ścieżkę, miasteczko. Prawie przypominałem sobie nazwę miasteczka, natomiast imiona kobiety i dziecka krążyły jeszcze gdzieś na skraju świadomości, za cienką jak bańka mydlana barierą. Moja twarz wynurzała się z dna oceanu pamięci i już–już właśnie miała się pojawić na jego powierzchni, kiedy koło mnie przejechał samochód i twarze rozpięchły się jak wystraszone ryby.

Patrzyłem, jak światła samochodu znikają w oddali. Wraz z nimi niknęły ich odbicia na mokrej jezdni. Nagle dołączyły do nich odbicia świateł hamowania, zanim pojazd skręcił za róg (nawet to wydawało mi się znajome). Byłem sam, z pustą głową, w pustym świecie. Potem ujrzałem ducha.

\*                    \*                    \*                    \*                    \*

Czy widziałeś kiedyś ducha? Prawdopodobnie nie. Na pewno jednak widziałeś kiedyś, jak pies pozornie bez powodu staje się czujny, nastawia uszu i jeży sierść? Bez wątplenia myślałeś wtedy, że dosłyszał coś, czego ty nie usłyszałeś, kogoś przechodzącego koło domu lub innego psa szczekającego gdzieś w oddali. Wielokrotnie miałeś rację, lecz częstokroć działo się tak dlatego, że pies wyczuł obecność ducha. Nie zawsze wpadał z tego powodu w panikę, czasem był tylko zaniepokojony. Zależy to od natury ducha, który może być przyjazny lub nie.

Myślisz, że ja się zagalopowałem? Posłuchaj zatem dalej!

Składająca się wyłącznie z cienia, rozmyta sylwetka ducha podплыnęła do mnie z przeciwnej strony ulicy. Duch mnie nie widział, a nawet jeśli widział, to nie zwracał na mnie uwagi. Gdy się przybliżył, udało mi się rozróżnić jego twarz, barki i część korpusu. Zdawało mi się, że widmo ma na sobie marynarkę, a na pewno dostrzegałem kołnierzyk koszuli i krawat. Dlaczego nie był nagi? Dlaczego ciała astralne zawsze są ubrane? Nie zadawaj mi takich pytań, jestem tylko psem.

Przyznaję, że byłem zaniepokojony. Jestem pewien, że duch nie emanował złem, było to jednak pierwsze widmo, które widziałem w obydwu moich wcieleniach. Nagle zaschło mi w pysku. Byłem zbyt przerażony, żeby choć zaskomleć. Całkowicie

opuściła mnie władza w łapach.

Duch miał najsmutniejsze oblicze, jakie przyszło mi kiedykolwiek oglądać. Jego twarz świadczyła o tym, że człowiek ten zaznał wszelkiego zła, jakie jest udziałem ludzkości, że przyswoił sobie pierwszą lekcję śmierci. Duch minął mnie tak blisko, że mógłbym go dotknąć. Widziałem poprzez niego siąpiącą mżawkę. Po chwili zniknął wśród nocy, a ja zacząłem się zastanawiać, czy nie wyobraziłem sobie tego wszystkiego. Na pewno nie, widziałem bowiem później jeszcze mnóstwo innych wędrujących duchów. Większość z nich pogrążona była w takim samym smutku, ponieważ nie zdawały sobie sprawy, że była to jedynie przejściowa faza ich egzystencji. Minęło jednak wiele czasu, zanim dowiedziałem się, co znaczy ich obecność wśród żywych.

Przeżycie to pozbawiło mnie resztek sił. Zapadłem w głęboki, niczym nie zakłócony sen.

## Rozdział siódmy

Obudziło mnie łagodne poszturchiwanie.

Zmieniłem pozycję ciała, ułożyłem się wygodniej i spróbowałem je zignorować. Było jednak zbyt zimno, by ponownie zapaść w sen. Otworzyłem więc ślepia i ujrzałem pochylającego się nade mną wielkiego, czarnego psa.

„Chodź, mały, niech cię tu nie znajdą śpiącego.”

Zamrugalem raptownie ślepiami, całkiem już przebudzony.

„Skąd się urwałeś? Uciekleś z domu, czy się ciebie pozbyli?” — Wielki pies uśmiechnął się do mnie.

Zadrzałem i podniosłem się chwiejnie na równe łapy.

„Kim jesteś?”, spytałem, nie mogąc stłumić ziewnięcia. Przeciągnąłem się energicznie. Wygiąłem zeszywniały grzbiet, wypiąłem zad, po czym z rozmachem wyprostowałem po kolei tylne łapy.

„Wołają na mnie Rumbo. Nazywasz się jakoś?”

Potrząsnąłem łbem.

„Może. W każdym razie nie przypominam sobie tego.”

Pies przyglądał mi się w milczeniu przez parę chwil, po czym obwąchał mnie ze wszystkich stron.

„Jest w tobie coś dziwnego”, skonstatował w końcu.

Przełknąłem głośno ślinę, zdumiony tym eufemizmem.

„Ty też nie jesteś podobny do innych psów, które znałem”, powiedziałem.

I rzeczywiście tak było. Wyczułem to od razu. Był w pewien sposób bardziej rozgarnięty. Mniej, by tak rzec, psi czy też... bardziej ludzki.

„Wszyscy jesteśmy do siebie podobni. Niektórzy są tylko bardziej tępi od reszty, to wszystko. Z tobą jednak jest inaczej. Na pewno jesteś psem, co?”

O mało co nie zwierzyłem mu się wtedy ze wszystkich swoich problemów, ale wielki pies stracił nagle zainteresowanie tego rodzaju rozważaniami i wrócił do

bardziej przyziemnych spraw.

„Jesteś głodny?”, spytał.

Tak bardzo, że mógłbym zjeść wołu z kopytami, pomyślałem, energicznie kiwając łbem.

„No to chodź, znajdziemy coś do jedzenia.” Odwrócił się i ruszył rażno ulicą. Musiałem przejść w klus, by za nim nadążyć.

Był to mniej więcej pięcio- czy sześćioletni kościsty „wielorasowiec”. Wyobraź sobie pozbawionego cętek dalmatyńczyka, pokrytego w całości czarną sierścią, pozbawionego też elegancji linii, z zadkiem jak krowa, nadmiernym wygięciem w tył tylnych łap i słabymi pęciami, a będziesz miał w miarę pełny obraz Rumba. Na pewno nie był szpetny — przynajmniej nie dla mnie — ale też nie zdobyłby na psiej wystawie żadnej nagrody.

„Chodź, szczeniaku! — zawołał przez ramię. — Nie możemy się spóźnić na śniadanie.”

Przyspieszyłem, by dorównać mu kroku i powiedziałem bez tchu:

„Jak myślisz, możemy się zatrzymać na chwilę? Muszę coś zrobić.”

„Co? A, to. Dobrze.”

Zatrzymał się. Rozkraczyłem się koło niego. Odwrócił się z niesmakiem i potruchtał do najbliższego słupa latarni. Podniósł łapę i ulżył sobie w fachowy sposób.

„Unikniesz wpadek, jeśli będziesz to robił w ten sposób”, zawołał do mnie, gdy z wysiłkiem przesuwalam łapę, której zagroziło, że znajdzie się w powiększającej się kałuży.

Uśmiechnąłem się do niego z zakłopotaniem zadowolony, że ulice były zupełnie puste i żaden człowiek nie mógł mnie zobaczyć w tej pozbawionej godności pozie. Czułem wstyd, że jestem zmuszony do takiej czynności. Był to znak toczącej się we mnie walki między psią i ludzką naturą.

Rumbo podbiegł do mnie i powąchał kałużę, której byłem sprawcą, a ja zrobiłem to samo koło latarni. Nasyciwszy zapachami swe nozdrza, ruszyliśmy dalej.

„Dokąd idziemy?”, spytałem Rumba. Ten jednak zignorował moje pytanie.

Przyspieszał, wyraźnie coraz bardziej podekscytowany. Wtedy właśnie wyczułem zapach jedzenia i wybiłem sobie z głowy wszelkie pytania.

Trafiliśmy na bardziej ruchliwe ulice. Rumbo sprawiał wrażenie, jakby zgiełk i ruch wcale go nie niepokoił. Trzymałem się go tak blisko, jak tylko mogłem, co parę chwil objając się barkiem o jego udo. Wciąż bałem się ulic. Autobusy wydawały mi się ruchomymi kamienicami, a samochody szarżującymi słoniami. Mój nadczuły wzrok jedynie pogarszał sytuację; oślepiające barwy sprawiały, że odczuwałem jeszcze większy strach. Rumbo natomiast wydawał się niczym nie przejmować. Zręcznie wymijał przechodniów i po pasach pokonywał niebezpieczne jezdnie, zawsze czekając, aż jakiś człowiek przejdzie po nich pierwszy. Podążałem za nim, starając się być ruchomym przedłużeniem jego ciała.

Dotarliśmy do hałaśliwego miejsca, w którym mimo wczesnej pory było mnóstwo ludzi, krzątających się, śpieszących, krzyczących, niespokojnych. Zgiełk czyniony

przez wrzeszczących ludzi, skrzypiące na betonie koła ręcznych wózków i klaksony furgonetek był ogłuszający. W powietrzu unosiła się ciężka woń mnóstwa różnych owoców, zalatujących ziemią warzyw i surowych kartofli. Gdyby nie panujący tu bezład, wydawałoby mi się, że znalazłem się w raju.

Znajdowaliśmy się na targu, a właściwie nie na targu ulicznym, lecz w krytej hali targowej, do której przyszli restauratorzy, sprzedawcy z zieloniaków, handlarze uliczni — wszyscy, którzy handlowali owocami, warzywami czy kwiatami — by hurtem zakupić towar. Przyjeżdżały tu ciężarówki z egzotycznymi owocami przywożonymi na statkach do londyńskiego portu. Pełne po brzegi samochody jechały stąd do najrozmaitszych miejscowości kraju lub z powrotem do portu, gdzie kontenery z towarami ładowano na statki handlowe. Wyklócano się tu grubiańsko przy zawieraniu transakcji i zaciągano kredyty — oczywiście jeżeli spłacone były wcześniejsze długi.

Zwalisty mężczyzna z czerwoną twarzą i byczym karkiem, w nie pierwszej świeżości białym niegdyś fartuchu pchał koło nas wózek załadowany do pełna niebezpiecznie chwiejącymi się pudłami zielonkawożółtych bananów. Śpiewał na cały głos, przestając jedynie po to, by przyjaźnie rzucić jakieś niewybredne słówko do spotykanych znajomków. Nie orientował się, że kiść bananów balansuje niepewnie na wierzchu pudła. Gdy tylko to dostrzegłem, ruszyłem za nim, lecz zatrzymałem się po ostrym warknięciu Rumba.

„Ani mi się waż — ostrzegł mnie. — Obedrą cię tu ze skóry, jeśli złapią na kradzieży.”

Wesoły mężczyzna z wózkami zatrzymał się, obejrzał i zauważył chyboczącą się na wierzchu kiść bananów. Okrążył wózek i wrzucił banany do środka pudła. Zobaczył nas i wracając do rączek wózka, przystanął, by poklepać Rumba po grzbiecie. Stwierdziłem, że takie klepnięcie złamałoby mi kręgosłup. Mój nowy przyjaciel zamachał ogonem i spróbował polizać dłoń mężczyzny.

— Cześć, stary. Widzę, że przyprowadziłeś dziś ze sobą kumpla, co? — spytał tragarz, wyciągając do mnie rękę.

Cofnąłem się. Moje nowe ciało było zbyt delikatne na tak obcesowe traktowanie. Mężczyzna zachichotał, wrócił do wózka i zaczął znów śpiewać fałszując.

Byłem zaskoczony zachowaniem Rumba. Dlaczego zjawiliśmy się tutaj, jeśli nie mogliśmy zdobyć jedzenia?

„Chodź”, powiedział, jak gdyby odpowiadając na moje pytanie. Ruszyliśmy dalej, okrążając sprzedawców, tragarzy i kupujących, torując sobie drogę w panującym tu tłoku.

Co parę metrów ludzie przyjaźnie klepali Rumba po grzbiecie. Tu i ówdzie przeganiali go, a raz musieliśmy wyminąć jakiegoś złośliwego dziadygę, który chciał nas kopnąć. W zasadzie jednak wydawało się, że mój towarzysz jest tu dobrze znany i akceptowany. Rumbo musiał nad tym długo pracować, ponieważ na ogół zwierzęta — z wyjątkiem łapiących szczury kotów — nie są tolerowane na targach z żywnością, zwłaszcza kiedy są bezpańskie.

Do moich nozdrzy dotarł nowy cudowny zapach, bez trudu zagłuszający wonie warzyw i owoców. Wywierał piorunujący efekt na mój burczący żołądek. Była to woń smażącego się mięsa. Zorientowałem się, w którą stronę zdąża Rumbo i wysforowałem się przed niego, skacząc prawie na blat przewoźnego barku

z przekąskami. Był dla mnie za wysoki, zdołałem się więc tylko wspiąć na niego i z nadzieją wystawić łeb. Nic nie widziałem. Jedyne do mych nozdrzy dochodziła smakowita woń.

Kiedy Rumbo dołączył do mnie, wydawało mi się, że jest porządnie zdenerwowany.

„Spadaj stąd, kurdupłu — syknął przez zaciśnięte zęby. — Wszystko zepsujesz.”

Posłusznie spuściłem łapy ze ścianki barku, nie chcąc wytrącić z równowagi nowego przyjaciela. Rumbo przeszedł koło mnie i zajął pozycję, z której był widoczny dla człowieka stojącego za kontuarem, po czym szczeknął kilkakrotnie. Nad białym pojawiła się pomarszczona stara twarz mężczyzny, który uśmiechnął się, obnażając żółtawe pieńki zębów.

— Cześć, Rumbo. Jak se radzisz? Coś by się wtrząchnęło, nie? Może da się coś wyskrobać.

Głowa starego mężczyzny zniknęła z pola widzenia. Przyskoczyłem do Rumba, zachwycony perspektywą jedzenia.

„Siedź spokojnie, szczeniaku. Nie naprzykrzaj się, bo nic nie dostaniemy”, poinstruował mnie Rumbo karcącym tonem.

Usiłowałem ze wszystkich sił zachować spokój, gdy jednak człowiek zza lady pochylił się ku nam z soczystym serdelkiem w dłoni, tego było dla mnie za wiele. Zacząłem skakać z radości, licząc na poczęstunek.

— No co, ściągnąłeś swojego kumpla? To nie psia jadłodajnia, Rumbo. Nie mogę karmić wszystkich twoich koleżków. — Człowiek z dezaprobatą pokręcił głową, ale rzucił nam serdelek. Skoczyłem w jego stronę, mój towarzysz był jednak szybszy. Pożerając serdelek, jednocześnie warczał na mnie, co nie jest tak proste, jak się wydaje. Przełknął ostatni kęs, oblizał pysk jęzorem i burknął:

„Nie pozwalaj sobie, pętaku. Dostaniesz swoje, bądź tylko cierpliwy.”

Podniósł wzrok na człowieka, który śmiał się z naszej dwójki, i zapytał: „A szczeniaku dostanie coś?”

— Coś mi się zdaje, że chcesz wydebić poczęstunek dla tego psiaka, he? — spytał mężczyzna.

Na twarzy wykwitł mu szeroki uśmiech, powieki starych oczu uniosły się marszcząc, a haczykowaty nos jakby zakrzywił się jeszcze bardziej. Jego twarz miała ciekawą barwę: żółtą, z ciemnymi mahoniowymi kreskami biegnącymi równolegle ze zmarszczkami. Cerę miał tłustą, lecz równocześnie suchą; oliwkowa opalenizna dotyczyła jak gdyby wyłącznie naskórka.

— No dobra, zobaczymy. — Gdy się odwrócił i już miał coś dla mnie wygrzebać, za nami rozległ się głos:

— Kubek herbaty, Bert. — Jeden z tragarzy oparł się o kontuar i ziewnął. Spojrzał na nas z góry i cmoknął językiem na powitanie. — Lepiej uważaj, Bert, bo kontrol czepi się, że dokarmiasz za dużo kundli.

Bert napełnił kubek ciemnobrazową herbatą z metalowego czajnika i powiedział: — Ta jest. Zwykle przyłazi tylko ten większy. Dzisiaj ściągnął drugiego. Kto wie, może ten mały to jego robotą, w każdym razie na to wygląda, no nie?



— Nieee... — odparł tragarz. — Duży to kundel pełną gębą, a młodziak to tylko mieszaniec. Sporo w nim z labradora, do tego... no, niech ja się przyjrę... trochę z teriera. Ładny maluch.

Zadowolony z komplementu zamachałem ogonem i spojrzałem na Berta,

— No dobra, dobra, wiem, czego chcesz. Masz serdelka. Zjedz i zmykaj, bo mi zabiorą pozwolenie.

Rzucił mi serdelek, który udało mi się chwycić w locie. Musiałem go jednak natychmiast wypuścić, ponieważ sparzyłem sobie język. Rumbo złapał go, odgryzł połowę i połknął. Rzuciłem się na resztę i zeżarłem ją łapczywie. Rumbo odsunął się na bok, nie przeszkadzając mi w jedzeniu. Oczy zaszyły mi wilgocią od żaru, poczułem ciepłą kulę przesuwającą się wzdłuż przełyku.

„Przykro mi, kurduplu, ale znalazłeś się tu tylko dlatego, że cię przyprowadziłem. Musisz nauczyć się szacunku”. Rumbo podniósł wzrok na starego sprzedawcę, warknął tytułem podziękowania i truchtem ruszył z powrotem.

Popatrzyłem na dwóch chichoczących mężczyzn, podziękowałem i pobiegłem za Rumbem.

„Dokąd teraz, Rumbo?”, krzyknąłem za nim.

„Nie podnoś głosu — skarcił mnie, czekając, aż do niego dołączę. — Dowcip polega na tym, by w takim miejscu jak to nie rzucać się w oczy. Dlatego właśnie jestem tutaj tolerowany, że zachowuję się porządnie, nie włączę ludziom w drogę i... — spojrzał na mnie znacząco, ponieważ zauważył, że mam ochotę pogonić za pomarańczą, która stoczyła się ze stoiska — ...n i g d y nic nie biorę, jeśli mi ktoś tego nie zaoferuje.”

Dałem sobie spokój z pomarańczą.

Opuściliśmy halę, dostając po drodze do spółki czarnego rozmiękłego banana. W podskokach wymknęliśmy się na mniej uczęszczane uliczki.

„Dokąd teraz?”, zapytałem.

„Teraz ukradniemy trochę jedzenia”, odpowiedział Rumbo.

„Ale sam powiedziałeś w hali, że...”

„Tam byliśmy gośćmi.”

„Aha.”

Znaleźliśmy jatkę przy ruchliwej głównej ulicy. Rumbo zahamował i zajrzał przez otwarte wejście.

„Musimy tu uważać. Obrobiłem ją w zeszłym tygodniu”, wyszeptał.

„Hmm, posłuchaj, Rumbo, nie sądzę, że...”

Rumbo uciszył mnie: „Masz wleźć w tamten róg. i żeby cię sprzedawca nie zauważył, dopóki się tam nie znajdziesz.”

„Słuchaj, ja...”

„Kiedy się tam znajdziesz, pokaż mu się, a później wiesz, co masz robić.”

„Co?”

„Wiesz.”

„Nie wiem. O co ci chodzi?”

Rumbo jęknął na głos.

„Chrońcie mnie przed tępymi bachorami — powiedział. — Rób co do ciebie należy.”

„Nie mogę. Nie mogę tam wleźć i zrobić tego, o czym myślisz.”

„Oczywiście, że możesz i zrobisz to.”

„Ale nie jestem w nastroju.”

Jednak myśl o niebezpieczeństwie natychmiast wprawiła mnie we właściwy nastrój.

„Dasz sobie radę”, powiedział wesoło Rumbo.

Znów zapuścił żurawia do sklepu.

„Ruszaj, teraz jest odpowiednia chwila! Facet rąbie mięso na pniaku. Do środka, natychmiast!”

Wepchnął mnie do środka, dla zachęty szczypiąc potężnymi szczękami w kark. Jestem pewien, że nigdy nie widziałeś, jak dwa psy planują skok przed sklepem rzeźnickim, a w dodatku tak dobrana para jak Rumbo i ja. Na pewno jednak zdarzało ci się widzieć psy kradnące dzieciom lody i lizaki, pewny też jestem, że od czasu do czasu łapałeś własnego psa na kradzieży. Zapewne nie widziałeś też (a może nie zwróciłeś uwagi) zorganizowanej psiej przestępczości. Choć większość psów jest na to za głupia, zapewniam cię, że ona istnieje.

Wsunąłem się do sklepu i przywarowałem pod ladą, gdzie rąbiący mięso rzeźnik nie mógł mnie dostrzec; błagalnie wyglądałem na zewnątrz na mojego partnera. W jego ciemnobrązowych ślepiach nie było zmiłowania. Dotarłszy do końca lady wyrząłem zza niej ostrożnie. Każdy dźwięk spadającego tasaka sprawiał, że nerwowo podskakiwałem. Rzuciłem się w róg, skuliłem i starałem się wycisnąć coś z jelit. Na szczęście był wczesny ranek i w sklepie nie było klientów. Po kilku stęknieniach moje wysiłki zostały uwieńczone niejakim powodzeniem. Niestety, zapomniałem o tym, że mam zwrócić na siebie uwagę. Mógłbym tak siedzieć jeszcze długo, gdyby Rumbo nie zdenerwował się na mnie i nie zaczął szczekać.

Rzeźnik znieruchomiał z uniesionym do połowy tasakiem i spojrzał w stronę drzwi.

— Och, to znowu ty? Poczekaj, niech no cię tylko dorwę! — zagroził.

Pospiesznie położył tasak na pniaku i ruszył dookoła lady w stronę wyjścia. W tym momencie zauważył mnie.

Nasze spojrzenia się spotkały: jego zdziwione i nieufne, moje również zdziwione i aż za dobrze świadome, co się za chwilę wydarzy.

— Oj!!! — wrzasnął rzeźnik, zaczynając poruszać się w zupełnie innym tempie.

Uniosłem się do połowy i zamiast rzucić się w tej chwili do ucieczki, poczłapałem w stronę otwartych drzwi powłócząc nogami i kołysząc się jak kaczka. Całą uwagę rzeźnik skupił na mnie, podczas gdy Rumbo natychmiast wpadł do środka i zaczął szukać wśród mięsa najsmaczniejszego kaska. Purpurowy ze złości sklepikarz złapał po drodze masywną szczotkę, którą wykorzystuje się zarówno do zamiatania, jak i do zmywania posadzek. Zaczął nią wymachiwać w powietrzu jak rycerską lancą, mierząc

w mój grzbiet. Nie miałem gdzie się przed nią schować, a słabość kończyn jedynie pogarszała moje położenie.

Na szczęście szczotka pokryta była długą szczecina. Wprawdzie twardą, ale o wiele bardziej miękką niż trzonek.

Zaskowyczałem, gdy szczecina zderzyła się z moim zadkiem. Rzeźnik zadał mi cios z pełnego rozmachu; potoczyłem się jak postrzelony królik po posadzce, w końcu jednak poderwałem się i rzuciłem do wyjścia. Rumbo biegł niedaleko za mną z przynajmniej półkilowym kawałem surowego steku zwieszającym mu się z pyska.

— Ojjjj! — usłyszałem jedynie, gdy wypadliśmy z jatki na ulicę. Mój wspólnik dotrzymywał mi tempa, chichocząc z dumy nad własnym sprytem.

Na nasz widok mężczyźni i kobiety spiesznie usuwali się z drogi. Tylko jeden człowiek z głupoty postanowił spróbować wyrwać mięso dyndające z pyska Rumba. Rumbo był na to za chytry; zgrabnie uskokzył przed wyciągniętą ręką i mężczyzna wyłożył się za nim na kolana. Pobiegliśmy dalej; Rumbo miarowo i spokojnie, rozbawiony moją paniką. W końcu zawołał przez zaciśnięte zęby:

„Tędy, kurduplu, do parku!”

Bardzo mnie korciło, by pobiec w swoją stronę, zostawić tego złodzieja, ale głód był silniejszy. Poza tym zasłużyłem sobie na udział w łupie. Wpadłem za nim przez zardzewiałą żelazną bramę do parku, sprawiającego na mnie wrażenie nieskończoności zielonych drzew i zarośli. W rzeczywistości jednak musiał być niewielki. Rumbo zniknął za kępą krzaków. Podążyłem za nim. Zdyszany, wywracając ślepiami ze zmęczenia padłem jak zabity obok niego na zieloną trawę. Patrzył na mnie uśmiechając się kącikami pyska, gdy łapałem wielkie hausty powietrza, i z zadowoleniem pokiwał łbem.

„Dobrze się spisałeś, szczeniaku — powiedział. — Może coś z ciebie wyrośnie, jeśli ktoś tobą pokieruje. Jesteś inny niż zwykłe durne psy.”

Doskonale wiedziałem o tym, ale jego pochwała sprawiła mi przyjemność. Mimo to burknąłem:

„Ten człowiek mógł zrobić mi krzywdę. Nie potrafię biec tak szybko jak ty.”

„Pies zawsze prześcignie człowieka. Nigdy by cię nie złapał.”

„Uderzył mnie”. — Zawierciłem tyłkiem, by się upewnić, czy nie wyrządził mi krzywdy.

Rumbo uśmiechnął się.

„Nauczysz się znosić w życiu nie takie przykrości, szczeniaku. Ludzie to dziwaczne stworzenia”.

Zwrócił uwagę na mięso leżące między jego przednimi łapami. Poszturchał je nosem, śliniąc przy okazji.

„Chodź, dostaniesz swoją porcję.”

Podniosłem się i otrząsałem.

„Muszę najpierw coś dokończyć”, powiedziałem półgłosem i pobiegłem w gęste krzaki.

Kiedy wróciłem parę minut później, Rumbo porządnie już napoczął surowy stek, mlaskając i cmokając w odrazający sposób. Przyskoczyłem do niego spiesznie

i dobrałem się do mięsa w równie obrzydliwy sposób. Był to wyśmienity posiłek, najlepszy, jaki jadłem do tej pory. Być może podniecenie spowodowane ucieczką i napięciem podczas kradzieży zaostriły mój apetyt, bo nawet serdelki u Belli tak mi nie smakowały.

Rozłożyliśmy się w krzakach, oblizując z zadowoleniem pyski, w których wciąż czuliśmy rozkoszny smak krwi. Po chwili odwróciłem się do mojego towarzysza i zapytałem, czy często kradnie mięso w ten sposób.

„Kradnę? Co to znaczy, kradnę? Pies musi jeść, żeby żyć, trzeba więc zdobywać pożywienie, gdzie się da. Nie można polegać na tym, co się dostanie od człowieka. Zdechłoby się z głodu. Trzeba się więc bez przerwy rozglądać i łapać, co pod pysk popadnie.”

„Tak ściśle rzecz biorąc, to my napadliśmy na tę jatkę i ukradliśmy mięso”, upierałem się.

„My nie popełniamy takich czynów jak kradzież, ponieważ jesteśmy tylko zwierzętami.”

Rumbo popatrzył na mnie znacząco.

Wzruszyłem ramionami nie mając ochoty na razie na dalsze roztrząsanie tej kwestii. Zastanawiałem się, skąd i co naprawdę Rumbo wie na ten temat.

Rumbo poderwał się nagle z ziemi.

„Chodź, szczeniaku, zabawimy się!”, krzyknął i rzucił się pędem przez krzaki na otwarty teren porośnięty trawą.

Raptem nabrałem energii, jak gdyby ktoś przekręcił we mnie przełącznik. Pomknąłem z wyprostowanym ogonem i błyszczącymi ślepiami za starszym psem, radośnie naszczekując. Ścigaliśmy się, tarzaliśmy po trawie, mocowaliśmy się. Rumbo dokuczał mi niemiłosiernie, demonstrując swoją siłę, szybkość i zwrotność. Poddawał się moim dzikim atakom, by po chwili bez wysiłku odrzucić mnie na bok minimalnym ruchem barków, gdy tylko zaczynałem myśleć, że go pokonałem. Byłem zachwycony.

Cudownie było tarzać się w trawie, szorować o nią grzbietem, wdychać jej uderzającą do głowy woń. Byłbym szczęśliwy, mogąc tu zostać przez resztę dnia. Po około dziesięciu minutach zjawił się jednak ponury dozorca parku i przegonił nas. Z początku szydziliśmy z niego, dokuczaliśmy mu, podchodząc do niego i zmykając, gdy się na nas zamierzał. Rumbo był o wiele śmielszy, skakał wtedy na dozorcę, popychając go przednimi łapami w plecy, gdy jego uwaga była skoncentrowana na mnie. Gniewne przekleństwa stróża sprawiały, że tarzaliśmy się ze śmiechu. Wkrótce Rumbo znudził się zabawą i bez słowa wybiegł przez bramę, nie czekając, aż do niego dołączę.

„Zaczekaj, Rumbo!”, zawołałem. Rumbo przeszedł w trucht pozwalając mi się dogonić.

„Dokąd teraz?”, spytałem.

„Na śniadanie”, odrzekł.

\* \* \* \* \*

Rumbo prowadził zawikłaną trasą bocznymi uliczkami. W końcu dotarliśmy do

ogrodzenia z blachy falistej, ciągnącego się przez całą przecznicę. Znaleźliśmy dziurę w blaszanym płocie i Rumbo wlaźł przez nią do środka, węsząc w poszukiwaniu jakiegoś znajomego zapachu.

„Dobrze — powiedział do mnie. — Jest w biurze. Słuchaj mnie teraz uważnie, szczeniaku, masz zachowywać się grzecznie i cicho. Szef nie ma za dużo cierpliwości do psów, więc mu się nie naprzykrzaj. Jeśli się do ciebie odezwie, masz machać ogonem i rznąć idiotę. Nie udawaj cwaniaka. Jeśli jest w złym nastroju, kiwnę ci łbem i wtedy zejdziesz mu z oczu. Spróbujemy później coś z niego wydebić. Zrozumiałeś?”

Skinąłem łbem, zaczynając obawiać się spotkania z „Szefem”. Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że znajdujemy się na wielkim placu pełnym porozbijanych i rozłożonych na części starych samochodów, spiętrzonych w sterty wyglądające tak, jakby miały się za chwilę wywrócić. Wokół wielkich stert gdzieś stały mniejsze, które, jak zauważyłem, składały się głównie z rdzewiejących części i akcesoriów samochodowych. W końcu dziedzińca stał wyglądający na ledwie działający żuraw. Zorientowałem się, że trafiliśmy na cmentarzysko samochodów.

Rumbo ruszył w stronę rozwalającego się drewnianego baraku stojącego w centrum królestwa rdzewiejącego metalu. Zatrzymał się pod drzwiami, skrobiąc w nie i szczekając cicho. Lśniący nowy rover zaparkowany koło baraku wyglądał wśród rozpadających się wraków jak perła na stercie gnoju. W jaskrawym świetle poranka błyszczał, rzekłbyś, pogardliwie.

Drzwi baraku się otwarły i ze środka wyszedł Szef.

— O, Rumbo! Cześć, stary! — uśmiechnął się promiennie do wymachującego ogonem swojego przyjaciela. Widać było, że jest w dobrym nastroju. — Znów wybyłeś na całą noc? Wiesz chyba, że robisz tu za stróża, więc skończ z tym łazikowaniem, bo mnie już od tego boli głowa.

Przykucnął przed Rumbem i pogłaskał go. Dodatkowo na przywitanie dał mu kuksańca w bok. Rumbo był bardzo dobrym psem: zamachał ogonem i szurnał łapami, przez cały czas uśmiechając się do Szefa, ale nie rzucając mu się w ramiona. Wywiesił luźno jęzor, co chwila starając się polizać twarz mężczyzny. Szef był masywnej postury, długa skórzana marynarka wybrzuszała mu się na barach. Wyglądał na twardego człowieka, zahartowanego przez przeciwności losu, ale i nawykłego do kosztowania dobrych stron życia — wytrawnych trunków i smakowitych kasków. Z ust sterczało mu grube cygareto, sprawiające wrażenie przedłużenia spłaszczonego nosa; bez któregośkolwiek z tych elementów wyglądałby głupio. Zaczynające rzednieć włosy okrywały uszy i falami spływały na kark. Na jednej ręce miał wykwintny sygnet z dukatowego złota, a na drugiej przewyższający go wystawnością duży pierścień z diamentem.

— Kogo przyprowadziłeś ze sobą? — Szef spojrział na mnie z zaskoczeniem malującym się na twarzy. — Przygruchałeś sobie przyjaciółkę, co?

Zjeżyłem się obrażony. Na szczęście Szef za chwilę sam się poprawił: — Ach, nie, widać, że to przyjaciel. No co, chłopcze, podejdź tu. — Wyciągnął do mnie rękę, ale cofnąłem się przed nią z obawą.

„Podejdź bliżej, kurdupłu”, powiedział cicho Rumbo, ostrzegając mnie z irytacją.

Podpełzłem powoli do przodu, przepelniony lękiem przed tym mężczyzną, wyczuwałem w nim bowiem dziwną mieszaninę łagodności i okrucieństwa. Na ogół psy wyczuwają w ludziach połączenie obu tych cech, jednak któraś z nich zwykle

znacznie przeważa. U Szefa obydwie te cechy się równoważyły. Dopiero później zorientowałem się, że u ludzi jego pokroju to bardzo częste zjawisko. Polizałem mu palce, gotów czmychnąć przy pierwszej oznace agresywnych zamiarów. Kiedy poniosło mnie i znęcony pysznym smakiem zacząłem łapczywie lizać jego dłoń, powstrzymał mnie, zaciskając rękę na moich szczękach.

— Jak się wabisz, co? — Szef szarpnął moją obrozę. Wystraszony spróbowałem się wyrwać. „Spokojnie, szczeniaku, nic ci nie zrobi. Jeśli się tylko właściwie zachowasz”, zwrócił się do mnie Rumbo.

— Nie ma imienia ani adresu? Komuś nie bardzo na tobie zależało. — Szef puścił mnie i żartobliwie popchnął w stronę Rumba. Gdy się wyprostował, poczułem, że już zapomniał o mnie.

— No dobrze, Rumbo, zobaczymy, co ci przysyła moja kobita. — Szef podszedł do bagażnika rovera i wyciągnął z niego interesująco się zapowiadającą plastikową torbę: interesującą, ponieważ wybrzuszoną się od — jak podpowiadały nam nosy — jedzenia. Zaczęliśmy tańczyć wokół nóg Szefa, który trzymał torbę poza naszym zasięgiem. — No już dobrze, dobrze. Ktoś mógłby pomyśleć, że nie mieliście nic w pyskach od tygodnia.

Rumbo uśmiechnął się do mnie.

Szef przeszedł na tył drewnianego baraku, gdzie leżała stara plastikowa miednica i wytrząsnął do niej zawartość torby. Posypała się bogata mieszanka resztek: pokryta mięsem kość, przemoknięte płatki kukurydziane, kawałki tłuszczu z boczku i pół tabliczki czekolady. Gdybym był człowiekiem, zrobiłoby mi się na ten widok niedobrze; dla psa jednak były to gastronomiczne delicje. Natychmiast z Rumbem wetknęliśmy pyski w mieszaninę odpadków i przez jakiś czas pochłonięci byliśmy wyłącznie napełnianiem brzuchów. Naturalnie Rumbo wybierał co smaczniejsze kąski, ale i mnie nie powiodło się najgorzej.

Kiedy już miska została wylizana do czysta, mój przyjaciel przeszedł do drugiej, podstawionej pod kran, z którego kapiała woda. Zaczął łapczywie chleptać wodę. Ja z brzuchem pękającym od żarcia uczyniłem to samo. Potem osunęliśmy się na ziemię zbyt nażarci, by się ruszyć.

„Każdego dnia tak jadasz, Rumbo?”, spytałem.

„Nie, nie zawsze. Bywa, że Szef niczego nie przynosi. Czasami trwa to nawet parę dni. I nie zawsze udaje mi się coś ukraść. Sklepikarze w okolicy nauczyli się już na mnie uważać.”

Szef zniknął w baraku. Słychać było hałaśliwą muzykę z radia.

„Zawsze należałeś do Szefa?”

„Mówiąc szczerze, nie pamiętam. Znam go, odkąd sięgam pamięcią. — Rumbo zamyślił się głęboko, po czym powiedział: — Nie, to na nic. Maci mi się w głowie, gdy zbyt mocno się nad czymś zastanawiam. Czasami, kiedy wącham pewnych ludzi, przypominam sobie zapachy, które wydają mi się znajome. Nie mogę sobie jednak przypomnieć, bym kiedyś nie znał Szefa. Chyba jestem z nim od początku.”

„Jest dobry dla ciebie?”

„Przeważnie. Czasem mnie wiąże, kiedy chce, żebym został na miejscu przez całą noc, a czasami porządnie mnie skopie, kiedy szczekam za głośno, ale nic na to nie poradzę. Ma kilkoro wrednych przyjaciół. Ponoś mnie, kiedy się zjawiają.”

„Co robią?”

„Przeważnie gadają. Siedzą przez parę godzin w baraku, kłócąc się i głośno rechocąc. Jest paru stałych pracowników, którzy robią przy tych wrakach, wyciągają z nich części oraz ściągają pomocników. Nigdy nie ma tu za wiele ruchu.”

„A SzeF co robi?”

„Nie jesteś zbyt ciekawy, kurduplu?”

„Przepraszam, interesuje mnie to po prostu.”

Rumbo przyglądał mi się przez chwilę podejrzliwie.

„Jesteś odmienny od reszty psów, zgadza się? Jesteś... no, inny niż ja. Chociaż trochę podobny. Większość psów to skończeni idioci. Też jesteś głupi, ale w inny sposób. Skąd właściwie jesteś, szczeniaku?”

Opowiedziałem mu wszystko, co pamiętałem. Odkryłem, że również zaczynam zapominać o swojej przeszłości. Pamiętałem jeszcze targ, na którym zostałem sprzedany, ale niewiele z tego, co się wydarzyło później, zanim trafiłem do przytułku dla psów. Coś takiego przydarza mi się coraz częściej: miewam przebłyski, podczas których przypominam sobie wszystko, po czym mój umysł znów staje się czystą, nie zapisaną kartą. Pozostaje jedynie mgliste, rozmazane wspomnienie mojej przeszłości oraz pochodzenia. Często zapominam nawet, że byłem człowiekiem.

Nie zwierzyłem się wówczas Rumbowi z lęków i podejrzeń dotyczących mojego ludzkiego pochodzenia, bo nie chciałem go do siebie zrazić. Potrzebowałem go, by utrzymać się przy życiu jako pies. Widzisz, zwierzętom jest łatwiej pogodzić się z sytuacją, w jakiej się znajdują, i właśnie zwierzęca część mojej natury pomagała mi wytrzymać obecność doprowadzających do szaleństwa myśli.

„Miałeś wielkie szczęście, że uciekłeś ze schroniska, szczeniaku. Mnóstwo psów tam zginęło”, powiedział Rumbo.

„Byłeś w nim kiedyś?”

„Nie, ja nie. Jak długo starczy mi sił, by uciekać, tak długo mnie nie złapią.”

„Rumbo, dlaczego nie wszystkie psy są takie jak my? To znaczy, dlaczego nie mówią jak my, dlaczego nie myślą tak jak my?”

Rumbo wzruszył ramionami.

„Po prostu jesteśmy inni.”

„Rumbo, czy kiedyś byłeś... czy pamiętasz, że byłeś... hmm, czy zawsze byłeś psem?”

Rumbo poderwał łeb do góry.

„O czym ty gadasz? Oczywiście, że zawsze byłem psem. A czym innym mógłbym być?”

„Och, tak tylko zapytałem. — Opuściłem łeb na łapy, byłem nieszczęśliwy. — Wyobraziłem sobie coś bez sensu.”

„Dziwny z ciebie szczeniaku. Uważaj, żebyś nie wpakował mnie w tarapaty, bo się pożegnamy. i przestań zadawać głupie pytania.”

„Przepraszam, Rumbo — powiedziałem i szybko zmieniłem temat. — Czym zajmuje się SzeF?”, spytałem ponownie.

Wrogie spojrzenie Rumba i jego wyszczerzone zęby na jakiś czas pohamowały moją ciekawość. Zdecydowałem się na krótką drzemkę, ale zanim zapadłem w sen, przyszła mi do głowy dziwna myśl.

„Dlaczego ludzie nas nie rozumieją, kiedy mówimy, Rumbo?”

„Nie wiem — zabrzmiała jego senna odpowiedź. — Szef czasami rozumie, kiedy coś do niego mówię, przeważnie jednak nie zwraca na mnie uwagi. Najwyżej każe mi przestać czekać. Ludzie czasami są równie głupi jak najgłupsze psy. Daj mi teraz spokój, jestem zmęczony.”

Właśnie wtedy uświadomiłem sobie, że nie porozumiewamy się przy użyciu słów; komunikowaliśmy się za pomocą umysłów. Wszystkie zwierzęta i owady — a nawet ryby — potrafią się porozumiewać albo za pomocą dźwięków, zapachów, albo ruchów. Później dowiedziałem się, że nawet najbardziej tępe stworzenia potrafią nawiązywać taką czy inną myślową więź z innymi przedstawicielami własnego lub innego gatunku. Nie da się tego wyjaśnić wyłącznie fizycznym kontaktem, jak bowiem wytłumaczyć zbieranie się pojedynczych owadów w chmurę szarańczy, co sprawia, że mrówki — wojowniczkami dokonują wspólnych marszów, w jaki sposób lemingi podejmują decyzję o skoku do morza? Instynkt, komunikowanie się za pomocą wydzielin, zmysł przetrwania gatunku — to wszystko spełnia swoją rolę, ale istota sprawy jest o wiele głębsza. Jestem psem i wiem coś na ten temat.

Nie wiedziałem jednak o tym, będąc szczeniakiem, w którego łbie na dodatek panował zamęt. Znalazłem przyjaciela, z którym mogłem porozumiewać się myślami, kogoś, kto był bardziej podobny do mnie niż do innych napotkanych psów. Od tamtego czasu miałem jeszcze kilku druhów, ale żadnego takiego jak stary Rumbo. Przyglądałem mu się z czułością zamglonym wzrokiem, dopóki nie zapadłem w sen.

## Rozdział ósmy

Tamte dni z Rumbem były wspaniałe. Pierwszy poranek stanowił jedynie wprowadzenie do dalszej edukacji. Większość czasu spędzaliśmy na uganianiu się za jedzeniem. Prawie każdego ranka składaliśmy wizytę w hali targowej, gdzie handlowano warzywami (powoli zaświtało mi, że była to Nine Elms, którą bezmyślnie przeniesiono z okolicy Covent Garden w mało znane miejsce w południowym biegu Tamizy; pojąłem, że znajduję się w Londynie, gdzieś w okolicy Vauxhall), a później wpadaliśmy do sklepów, rozglądając się, czy można z nich coś ukraść. Wkrótce nauczyłem się być równie szybki i przebiegły jak Rumbo, lecz nigdy nie stałem się tak śmiały. Rumbo znikał w otwartych drzwiach i po chwili pojawiał się, niosąc w pysku paczkę herbatników, bochenek chleba czy cokolwiek, w co dawało się wbić zęby. Kiedyś wyrwał się ze sklepu z nogą jagnięcia, ale nie zawędrowaliśmy z nią daleko; za nami wypadła ciemnoskóra kobieta i tak przestraszyła Rumba, że upuścił mięso i zwiął, nim na chodniku rozbiła się ciśnięta przez kobietę butelka po mleku.

Pewnego razu trafiliśmy na dostawczą furgonetkę z cukierni. Pełna była tac ze słodko pachnącymi bułeczkami i ciastami, nie wspominając o świeżo wypieczonym chlebie. Rumbo odczekał, aż kierowca wniesie do sklepu wielką tacę z wyrobami, po czym wskoczył na otwarty tył furgonetki. Oczywiście tchórzliwie zostałem z tyłu i z zazdrością przyglądałem się, jak Rumbo wyskakuje ze środka z cudowną słodką bułką lepiącą się do zębów. Przycupnął pod samochodem i pożarł bułkę. Kiedy kierowca z następną tacą ruszył do sklepu, Rumbo znowu wskoczył do furgonetki,



przetykając jeszcze resztki swego łupu. Tym razem dobrał się do czekoladowego ptysia z drugiej tacy. Powtórzył swój wyczyn trzykrotnie, za każdym razem kryjąc się, kiedy wracał kierowca, pod samochodem. W końcu dureń (czyli ja) postanowił też spróbować szczęścia. Odczekałem, aż mężczyzna zniknie we wnętrzu sklepu, wdrapałem się na furgonetkę (nie miały wyczyn dla szczeniaka) i gorączkowo zacząłem obwąchiwać wonne tace pełne wypieków. Nie muszę dodawać, że Rumbo wpadał i wypadał w jednej chwili, ja zaś musiałem marudzić i przebierać. W końcu zdecydowałem się na smakowicie wyglądającą cytrynową bezę, przedkładając ją nad czekoladowego ptysia, ociekającego kremem. W tym momencie w tylnych drzwiach furgonetki pojawił się cień.

Zaskowyczałem ze strachu, a człowiek krzyknął ze zdziwienia. Jego zaskoczenie zmieniło się w agresywność, a mój strach w przerażenie. Usiłowałem mu wyjaśnić, że konałem z głodu, ale kierowca nawet nie chciał o tym słyszeć. Rzucił się do przodu, starając się złapać mnie za obrozę. Cofnąłem się w głąb furgonetki. Mężczyzna zaklął i wlaź do środka, kucając, by nie uderzyć się głową o niski dach. Cofnąłem się jeszcze głębiej, jak tylko było można, przed nacierającym mężczyzną. Okazało się, że niewystarczająco. To niemiłe uczucie, gdy wiesz, że za chwilę stanie ci się krzywda. Muszę przyznać, że wpadłem w pełną prostrację z powodu nieszczęścia, jakie stało się moim udziałem. Dlaczego pozwoliłem się skorumpować temu złodziejowi Rumbowi, łotrowi w psiej postaci? Dlaczego pozwoliłem się namówić temu obrzydliwemu kundlowi na prowadzenie nędznego żywota pospolitego złodziejaszka?

Stary dobry Rumbo jednak natychmiast znalazł się przy furgonie, warcząc za plecami kierowcy. Był wspaniały! Mężczyzna odwrócił się z przerażeniem w oczach, rąbnął głową w dach, stracił równowagę i przewrócił się na tace z kruchą zawartością. Pośliznął się i zwałił na podłogę ciężarówki, nurzając łokcie w kremie i lukrze.

Wyminąłem jego sterczące w górę stopy i zeskoczyłem z pomostu, natychmiast zrywając się do ucieczki. Rumbo wstrzymał się jeszcze chwilę, by porwać ostatnie ciasteczko, po czym rzucił się za mną. Kiedy zatrzymaliśmy się mniej więcej sto mil dalej, oblizywał się z zadowoleniem. Wydyszałem podziękowania, a Rumbo uśmiechnął się z wyższością.

„Czasami, kurduplu, jesteś równie głupi jak inne szczeniaki. Może nawet jeszcze głupszy. Sądzę jednak, że na nauczanie psa niezbędnych sztuczek zawsze potrzeba trochę czasu.”

Nie wiadomo, dlaczego wydało mu się to bardzo śmieszne. Powtarzał to później przez resztę dnia.

Inną sztuczką Rumba była taktyka dywersji — wykorzystywanie mnie w charakterze przynęty. Podbiegałem do dźwigającej siatki z zakupami niczego nie podejrzewającej gospodyni i roztaczałem przed nią moje wdzięki szczenięcia, by postawiła swoje brzemień na ziemi i zaczęła się ze mną bawić. Czasami już wtedy dostawałem jakiś kąsek. Było to łatwiejsze, jeśli kobieta z zakupami miała przy sobie dzieci, zmuszały ją bowiem do zajęcia się mną. Jeśli nie miała na to ochoty, musiała odciągać ode mnie dzieciaki siłą. Kiedy cała uwaga kobiety skupiała się na mnie, liżącym ją po twarzy lub przewracającym się przed nią na grzbiet, by mnie pogłaskała, Rumbo plądrował nie strzeżone siatki. Zmykał, gdy trafił na coś pysznego, zdając się na mój własny spryt. Wówczas przepraszałem kobietę i oddalałem się statecznie. Często nasze nieczne zamiary były odkrywane, zanim je zrealizowaliśmy, nie psuło nam to jednak zabawy.

Inną wspaniałą zabawą było odbieranie słodyczy dzieciom. Matki krzyczały, a dzieciaki płakały, gdy uciekaliśmy z naszym łupem. Niespodziewane rajdy na dzieci gromadzące się wokół sprzedawców lodów zawsze kończyły się sukcesem, a dzwonki ich wózków wskazywały nam nieomylnie, gdzie się znajdują. Na nieszczęście zbliżanie się zimy zmusiło nas do zakończenia tego rodzaju działalności, parki bowiem opustoszały, a i sprzedawcy lodów zapadli w zimowy sen.

Rumbo uwielbiał dokuczać psom. Wszystkie inne zwierzęta traktował jak pośledniejsze od siebie. Gardził zwłaszcza psią głupotą; przedstawiciele tego gatunku traktował jako bardziej upośledzone na umyśle od wszystkich innych stworzeń. Nie wiem, dlaczego żywił takie przekonanie; być może dlatego, że było mu za nie wstyd, za to, że nie były obdarzone jego inteligencją, jego godnością. Tak, mimo iż był łotrzykiem, Rumbo zachowywał się z wielką godnością. Na przykład nigdy nie błagał, nie dopraszał się; kradł jedzenie i prosił o nie, ale nigdy się przy tym nie poniżał. Czasami parodiował psy dopraszające się o jedzenie albo czułość, czynił to zawsze z cynizmu i dla zabawy. Nauczył mnie, że istoty żywe wykorzystują siebie nawzajem; aby istnieć w całym tego słowa znaczeniu, trzeba korzystać z życia. W jego opinii psy same uczyniły się niewolnikami człowieka. Rumbo nie był własnością Szefa, tylko pracował dla niego, strzegąc złomowiska, za co zarabiał na swoje utrzymanie, choć było ono zaiste psie. Szef to rozumiał i ich stosunek opierał się na wzajemnym szacunku. Nie byłem pewny, czy Szef był obdarzony uczuciami wyższymi, zachowywałem jednak swoje zdanie dla siebie, ponieważ byłem jedynie podopiecznym mojego mistrza i nauczyciela — Rumba.

W każdym razie Rumbo nie przepuszczał żadnej okazji, by uświadomić innym psom ich głupotę. Najdotkliwiej szydził z pudli, niemiłosiernie wyśmiewając ich przystrzygane loki. Zaśmiewał się też do rozpuku z biednych jamników. Nie dbał, kto padał ofiarą jego złośliwości, alzatek czy chihuahua. Przypominam sobie, że kiedyś pogrążył się w głębokim zamyśleniu, gdy spotkaliśmy dobermana.

Często wpadaliśmy wspólnie albo oddzielnie w nie byle jakie opałki. Inne psy wyczuwały, że się różnimy od nich i dochodziło na tym tle do bijatyk. Cierpiałem, bo byłem tylko szczeniakiem, niewątpliwie mnie to jednak zahartowało. Nauczyłem się o wiele szybciej biegać.

Rumbo z łatwością mógłby zostać przywódcą psiej zgrai, był bowiem równocześnie silny i inteligentny, co w psim świecie jest pożądanym połączeniem. Lecz przede wszystkim był samotnikiem, podążał własnymi ścieżkami i nie zawracał sobie głowy myślami o innych. Do dziś nie wiem, dlaczego mnie przygarnął. Mogę jedynie podejrzewać, że stało się tak, ponieważ byliśmy podobni do siebie i różniliśmy się od innych psów.

Był również Romeem. Rumbo kochał damy, i nieważne były rozmiary i rasy, nie odgrywały one dla niego żadnej roli. Znikał na całe dni. Wracał wyczerpany, ale z zadowolonym uśmiechem na pysku. Kiedy pytałem go, gdzie się podziewał, odpowiadał, że zrozumie, kiedy dorosnę.

Zawsze wiedziałem, kiedy zniknie, ponieważ powietrze wypełniała wówczas dziwnie podniecająca woń. Rumbo prężył się, węszył i nagle wypadał ze złomowiska, a ja daremnie usiłowałem za nim nadążyć. Oczywiście był to zapach sukki w rui, gdzieś w sąsiedztwie lub kilka mil dalej. Byłem wtedy za młody, by zdawać sobie sprawę z takich rzeczy. Czekałem więc cierpliwie na jego powrót, krzywiąc się i gniewając, że mnie zostawił. Po powrocie przez kilka dni o wiele łatwiej współżyło się z Rumbem.

Inną naszą wspaniałą rozrywką było łapanie szczurów. Boże, jakże on nienawidził szczurów! Zadał o to, by nigdy nie było ich wiele na złomowisku, ale co jakiś czas dwa czy trzy przeprowadzały na jego terenie rekonesans, szukając świeżego źródła pożywienia. Rumbo zawsze wyczuwał ich pojawienie się jakimś szóstym zmysłem. Jeżył sierść i pogardliwie krzywił wargi, obnażając żółte, ustawione w wachlarzyk zęby, warczał gardłowo i groźnie. Bałem się wtedy śmiertelnie. Następnie powoli zaczynał się czołgać, szperając wokół starych wraków. Zbliżając się do swoich ofiar jak łowca podchodzący zwierzynę, zapominał o mojej obecności. Z początku trzymałem się na uboczu, ponieważ te kreatury swoim wyglądem napawały mnie przerażeniem. Mój lęk na ich widok przechodził w pogardę i odrazę, a w końcu zamieniał się w nienawiść i gniew, który pomógł mi przemóc strach. Zaczęliśmy wspólnie gromić szczury.

Zważ, że niektóre z nich były bardzo dzielne, mimo iż tak obrzydliwe. Ich pogarda dla strachu mogła wynikać po trosze z widoku pozornie bezbronnego szczeniaka, przez co w pierwszych miesiącach towarzyszenia Rumbowi ciągle groziło mi niebezpieczeństwo. Tylko dzięki niemu znajduję się jeszcze w jednym kawałku. (Naturalnie Rumbo szybko sobie uświadomił, jak wspaniałą przynętą na szczury rozporządza; nie minęło wiele czasu, nim za moją wypływającą z jego podpuszczenia zgodą zacząłem odgrywać tę rolę.) W miarę upływu czasu moje ciało stało się bardziej żyłaste — myślę, że mimo łupieżczego trybu życia można było mnie nazwać chudzielcem. Nogi mi się wydłużyły, szczęki i zęby stały się silniejsze. Szczury przestały traktować mnie jak potencjalne pożywienie i zaczęły wykazywać wobec mnie większy szacunek.

Nigdy nie zjadaliśmy szczurów. Rozrywaliśmy je na strzępy, łamaliśmy im kości. Nie smakowało nam ich mięso bez względu na to, jak bardzo byliśmy głodni.

Rumbo uwielbiał się z nimi drażnić, gdy zagnaliśmy je w kąt. Szczury syczały i przeklinały go, groziły mu, szczerzyły okrutne ząbki, Rumbo jednak uśmiechał się tylko drapieżnie i drażnił je dalej. Przysuwał się powoli, nie spuszczać z nich oczu. Szczury kulily się, sprężyły do skoku, nerwowo przebierając tylnymi łapami. Kiedy rzucały się do ataku, Rumbo wykańczał je. Wpadali na siebie w powietrzu; walka, która się wywiązywała, rozgrywała się zbyt błyskawicznie, by oko mogło ją prześledzić. Wynik był nieuchronnie taki sam: ostry pisk, ciało ze sterczącą sierścią wylatujące w górę, a potem skoki Rumba po przeciwniku z przetrąconym karkiem, lądującym w agonalnych podrygach na ziemi. Ja tymczasem radziłem sobie z kompanami przeciwnika. Wkrótce nauczyłem się robić to równie zręcznie — lecz nigdy z równą rozkoszą — co Rumbo.

Jednakże pewnego dnia o mało nie ponieśliśmy porażki.

Była zima i błoto na złomowisku zamarzło na kość. Złomowisko było opustoszałe i zamknięte — musiała być niedziela. Rumbo i ja grzaliśmy się na tylnym siedzeniu morrisa 1100 po wypadku, które służyło nam za tymczasowe mieszkanie, dopóki nie dostaniemy czegoś odpowiedniejszego. (Nasza poprzednia siedziba, przestronny zephyr, rozleciała się doszczętnie i samochód wysłano do przerobu na żyłki.) Nagle Rumbo podskoczył. Natychmiast poszedłem za jego przykładem. Usłyszeliśmy hałas i wyczuliśmy w powietrzu znajomą przykrą woń. Wypełzliśmy po cichu z rozpadającego się samochodu i podążyliśmy labiryntem wraków przez wąskie alejki wśród stert metalu ku źródłu wstrętnej woni. Przyciągał nas szczurzy zapach; dobiegające ciche odgłosy sprawiały, że strzygliśmy uszami. Wkrótce zlokalizowaliśmy szczura.

Albo to on natknął się na nas.

Zatrzymaliśmy się przed zakrętem w labiryncie porzuconych samochodów, zdając sobie dokładnie sprawę, że ofiara znajduje się za nim. Dobiegła nas silna woń i wyraźne ciche dźwięki. Przygotowaliśmy się do ataku, gdy nagle szczur pojawił się przed nami.

Był to największy szczur, jakiego kiedykolwiek widziałem. O połowę tylko mniejszy ode mnie (a do tego czasu znacznie urosłem). Miał brązową sierść i długie, złowieszcze siekacze. Stwór był równie zaskoczony niespodziewaną konfrontacją jak my. Zniknął natychmiast, a my zostaliśmy na miejscu, mrugając z niedowierzaniem ślepiami. Po chwili wypadliśmy zza zakrętu, lecz szczura nie było.

„Szukacie mnie?“, dobiegł nas głos gdzieś z góry. Rozejrzeliśmy się niepewnie i w końcu dostrzegliśmy szczura. Ulokował się na dachu samochodu i patrzył na nas z pogardą.

„Tu jestem, cherlaki. Pewnie chcielibyście się do mnie dobrać?“, spytał.

Szczury w zasadzie nie wdają się w takie konwersacje. Większość z nich jedynie klnie, pluje na nas lub krzywi się niemiłosiernie. Tym razem trafiliśmy na najrozmowniejszego szczura, jakiego dane było nam spotkać.

„Słyszałem o was dwóch — ciągnął szczur. — Przysparzacie nam mnóstwo kłopotów. Tak przynajmniej mówili mi ci, którym udało się wam wymknąć. (Nie dacie rady wyłapać wszystkich.) Czekałem na to spotkanie, zwłaszcza na ciebie. — Ostatnie słowa skierował do Rumba. — Myślicie, że potraficie stawić mi czoło?“

Musiałem podziwiać odwagę Rumba, ponieważ sam miałem ochotę zaszyć się w mysią dziurę. Choć szczur nie dorównywał mi wielkością, jego drapieżne pazury i zęby sugerowały, że potrafią porządnie poharatać psią skórę. Rumbo jednakże odezwał się z absolutnym spokojem:

„Zejdiesz, paplo, na dół, czy też będę musiał tam wleźć, żeby się do ciebie dobrać?“

Nie do wiary, szczur się roześmiał, a one rzadko to czynią. Usadowił się wygodniej na dachu wozu i odpalił:

„Zejdę, kundlu, kiedy będę miał ochotę. Najpierw chcę z tobą porozmawiać. (Z pewnością nie był to zwykły szczur.) Co właściwie masz przeciwko nam, szczurom, przyjacielu? Wiem, że nie kochają nas ani ludzie, ani zwierzęta, ale ty wyjątkowo nas nie znosisz, nieprawdaż? To dlatego że jesteśmy ścierwojadami? Przecież jesteś, prawdę mówiąc, jeszcze gorszy. Czyż wszystkie zwierzęta domowe nie żywią się odpadami, które racy im rzucić człowiek? Czy nie są pasożytami? Oczywiście wolałbyś, żeby nie określać zwierząt domowych słowem „zniewolone“, bo zdaje ci się, że sam wybrałeś taki sposób życia, prawda? A może nienawidzisz nas dlatego, że jesteśmy wolni, że nie zostaliśmy udomowieni, nie... — zawiesił głos, uśmiechając się przekornie. — ...wykastrowani tak jak ty?“

Rumbo zjeżył się, słysząc ostatnią uwagę.

„Nie jestem wykastrowany, szczurza gębo. Nigdy tego ze mną nie zrobią!“

„Nie trzeba tego pojmować dosłownie, dobrze wiesz — powiedział z zadowoleniem szczur. — Mówię o twoim umyśle.“

„Wciąż robię, co chcę.“

„Rzeczywiście? — zachichotał szczur. — My, pasożyty, przynajmniej jesteśmy wolni, nikt nas nie dozoruje, nie; mamy żadnych opiekunów.”

„A któż by cię zechciał, do cholery? — powiedział szyderczo Rumbo. — Kiedy robi się ciężko, rzucacie się sobie do gardła.”

„To się nazywa walka o przetrwanie, psie. Przetrwanie. — Szczur był niezadowolony. Wyprostował się. — Nienawidzisz nas, ponieważ wiesz, że wszyscy jesteśmy tacy sami. Wszyscy: ludzie, zwierzęta, owady. Wiesz też, że szczury żyją w sposób, który inne zwierzęta starają się ukryć. Czyż nie tak, psie?”

„Nie, nie jest tak, i dobrze o tym wiesz!”

Trochę za dużo było tych aluzji do tego, o czym ponoć wszyscy wiedzieli. Ja w każdym razie nie pojmowałem, o co chodzi.

Rumbo ruszył w stronę szczura, najeżywszy sierść.

„Są powody, dla których szczury żyją tak, jak żyją, tak samo, jak jest powód, dla którego psy zachowują się tak, jak się zachowują — i dobrze o tym wiesz.”

„Tak, istnieje też powód, dla którego rozerwę ci gardło”, prychnął szczur.

„Niedoczekanie twoje, szczurza gębo!”

Jeszcze przez kilka minut przerzucali się obelgami, nim nienawiść wzięła górę. Gdy doszło do walki, miała ona dziwny przebieg.

I szczur, i pies zamilkli nagle, jak gdyby wszystko zostało już powiedziane. Wpatrywali się sobie nawzajem w ślepia: Rumbo w żółte, złe oczka szczura, szczur w brązowe, wytrzeszczone ślepia Rumba. W obydwóch parach wyraźnie odczytać można było nienawiść. Napięcie między nimi rosło w ciszy, która wydawała się krzyczeć, pełna jadu. W końcu szczur skoczył z piskiem z dachu.

Rumbo był przygotowany na atak. Uskoczył, a szczur wylądował ciężko na ziemi. Rumbo rzucił się szczurowi na kark, ten odwrócił się i odparował atak. Zęby zazgrzytały o siebie, a pazury wpiły się w ciała.

Stałem nieruchomo, oszołomiony i przestraszony, przyglądając się, jak obydwaj starają się rozszarpać na kawałki. Spomiędzy szamoczących się ciał dobywały się warknięcia, piski i pomruki. Skowyt Rumba pobudził mnie do czynu. Skoczyłem do przodu, szczekając na cały głos, licząc na to, że gniew doda mi odwagi. Niewiele mogłem zrobić, ponieważ szczur i pies spleceni ze sobą kotłowali się szaleńczo, przetaczając się w kółko, rozszarpując sobie łapami skórę, gryząc się, raniąc, wydzierając kępy sierści. Przyskakiwałem do nich, gdy tylko widziałem na wierzchu brunatne futro i skubałem je zębami.

Zupełnie niespodziewanie walczący się rozdzielili. Dyszeli wyczerpani, ale wciąż wpatrywali się w siebie z nienawiścią. Spostrzegłem, że Rumbo ma fatalnie poharatany bark, a jedno ucho szczura zwisa w strzępach. Obydwaj przypadli do ziemi dygocząc, z ich gardel wydobywały się chrapliwe pomruki. Pomyślałem, że być może są zbyt wyczerpani, by kontynuować walkę, lecz szybko przekonałem się, że jedynie zbierali siły do ostatecznego rozstrzygnięcia.

Skoczyli znów do siebie. Tym razem przyłączyłem się do nich. Rumbo wpił zęby w gardziel szczura. Ja złapałem szczura za przednią łapę. Niedobrze mi się zrobiło od smaku świeżej krwi, lecz z całych sił zaciskałem zęby. Szczur wiercił się, szarpał i kłapał zębami. Poczulem przenikliwy ból w barku, gdy rozjechał go siekaczem.

Ostry ból zmusił mnie do rozluźnienia uchwytu na jego łapie, co wystarczyło, by szczur wykręcił się i uderzył mnie obydwiema tylnymi nogami. Potoczyłem się po zamrażającym błocie.

Natychmiast rzuciłem się na niego ponownie i zarobiłem głęboką rysę na nosie od jego pazura. Z bólu cofnąłem się na chwilę, ale równie szybko rzuciłem się na niego raz jeszcze. Rumbo wciąż trzymał szczura za gardło, starając się unieść go w powietrze i potrząsnąć nim. Wykorzystywał tę sztuczkę do łamania szczurom karków. Tym razem jednak szczur był za duży i za ciężki. Zaciśnięcie zębów na jego gardle uchroniło przynajmniej Rumba przed solidniejszymi obrażeniami od szczurzych zębów. Miałem przeciętą skórę na barku, ale byłoby o wiele gorzej, gdyby szczur mógł zatopić w nim siekacze. Był tak silny, że udało mu się wyrwać. Odbiegł od nas, zawrócił i rzucił się znów do ataku, wymachując łbem na prawo i lewo, by haratać wystawionymi zębiskami nasze delikatne w porównaniu z nim ciała. Rumbo zaczął rozpaczliwie szczekać, gdy z boku chlusnęła mu krew. Zatoczył się, a szczur z okrzykiem triumfu rzucił się na niego. W podnieceniu zapomniał jednak o mnie.

Skoczyłem mu na kark, powaliłem na ziemię swoim ciężarem i zacisnąłem kły na czubku łba, łamiąc ząb o jego czaszkę. Resztą nie ma się co chlubić: Rumbo przyłączył się do mnie i wspólnie dobiliśmy szczura. Gryzoń nie miał lekkiej śmierci i po dziś dzień żywię wobec niego niechętny podziw za śmiałość wykazaną w walce z dwoma silniejszymi od niego przeciwnikami. Kiedy wreszcie przestał się ciskać i wyzionął ducha, czułem się nie tylko wyczerpany, ale również zawstydzony. Przecież on też miał prawo żyć tak jak i my; nie można też było zaprzeczyć, że wykazał wielką odwagę. Myślę, że Rumbo także był zawstydzony, chociaż nic na ten temat nie powiedział.

Odciągnął martwe ciało pod wrak samochodu (nie wiem dlaczego; podejrzewam, że miała to być forma pogrzebu) i wrócił, by wylizać moje rany.

„Dzielnie się spisałeś, szczeniaku — powiedział ze znużeniem między kolejnymi liźnięciami. W jego głosie brzmiała jakaś dziwna zaduma. — To była wielka bestia. Całkowicie odmienna od tych, które dotychczas spotkałem.”

Zaskomlałem, gdy językiem przesunął po rozcięciu na moim nosie.

„O co mu chodziło, kiedy powiedział, że wszyscy jesteśmy tacy sami, Rumbo?”

„Mylił się, wcale nie jesteśmy tacy sami.”

I to było wszystko, co mój przyjaciel miał do powiedzenia na ten temat.

Incydent ze szczurem skwasił przyjemność, jaką odczuwałem przy zabijaniu tych zwierząt. Naturalnie, walczyłem z nimi, upokarzałem je, ale od tamtej pory pozwalałem im na ucieczkę. Rumbo wkrótce zorientował się, że niechętnie zabijam szczury. Złościło go to. Wciąż nienawidził tych stworzeń i uśmiercał je przy każdej okazji, być może z mniejszą ochotą, ale za to z zimną determinacją.

Nie będę rozwodzić się nad naszymi potyczkami ze szczurzą zarazą, była to bowiem nieprzyjemna, ohydna cześć mojego psiego życia — na szczęście dość krótka. Muszę jednak wspomnieć o jeszcze jednym incydencie, ponieważ dowodzi on, jak wielka była nienawiść Rumba do tych nieszczęsnych, wyklętych stworzeń.

Trafiliśmy kiedyś na szczurze gniazdo. Znajdowało się ono w najdalszym końcu złomowiska, w samochodzie leżącym na dnie całego zwał. Dach miał kompletnie wgnieciony, brak było też drzwi. W poprutym tylnym siedzeniu natrafiliśmy na gromadkę około tuzina drobniutkich różowych szczurząt, ssących odpoczywającą po

porodzie matkę. Szczurzęta jeszcze lśniły od wód płodowych. Ich zapach przyciągnął nas jak magnes. i w końcu udało nam się wcisnąć pod stertę wozów, by się do nich dostać. Kiedy ujrzałem szczurzęta i zatrwożoną rodzicielkę, przygotowałem się do odwrotu. Chciałem zostawić je w spokoju, ale Rumbo ani o tym myślał. Rzucił się na nie z furją, jakiej przedtem u niego nie widziałem.

Nawoływałem go, błagałem, lecz nie zważał na moje prośby. Uciekłem spod samochodów, nie chcąc być świadkiem tej jatki. Wybiegłem za ogrodzenie, wciąż wyobrażając sobie sceny mordy.

Przez parę następnych dni nie rozmawialiśmy ze sobą. Wytrąciła mnie z równowagi postawa Rumba, a on nie mógł pojąć, o co mi chodzi. Prawdę mówiąc, bardzo długo trwało, nim pogodziłem się z brutalnością zwierzęcego życia. Oczywiście, moje „człowieczeństwo” utrudniało mi ten proces (postęp lub regres, zależnie od punktu widzenia). Myślę, że Rumbo złożył mój posepny nastrój na karb mąk wieku dojrzewania. Bo faktycznie rosłem. Prawie całkowicie zniknęły moje szczenięce okragłości. Miałem długie i silne nogi (choć byłem jeszcze nieco za szeroki w kłębie). Stąpiłem sobie pazury podczas nieustannego biegania po asfalcie, przez co stały się twarde i mocne, niezwykle mocne. Dysponowałem nadal wyśmienitym wzrokiem. (Rumbo był obdarzony zwykłym psim wzrokiem, dużo gorszym od ludzkiego, ledwie zdolnym do odróżniania barw. Dobrze jednak orientował się w ciemności, może nawet lepiej ode mnie.) Cieszyłem się wyjątkowo dobrym apetytem. Nie miałem robaczycy, kamienia nazębnego, parchów, zatwardzenia, biegunek, zapalenia pęcherza, egzemy, woszczyzny ani jakichkolwiek innych zwykłych szczenięcych schorzeń. Ale za to dokuczały mi bardzo pchły. I to one właśnie sprawiły, że pogodziłem się z Rumbem.

Zaobserwowałem, że Rumbo coraz częściej się drapie. Muszę przyznać, że było to zajęcie, któremu i ja poświęcałem prawie cały wolny czas. Ssałem skórę i skrobałem sierść tylnymi łapami. Kiedy zobaczyłem te potworki skaczące po grzbiecie mojego towarzysza jak koniki polne na wrzosowisku, zde gustowany tym widokiem odezwałem się wreszcie do Rumba:

„Czy Sze f kiedykolwiek cię kapał, Rumbo?”

Rumbo przestał się drapać i utkwiał we mnie zdumione spojrzenie.

„Pchły cię denerwują, szczeniaku?”

„Denerwują? Czuję się jak chodzące schronisko dla pasożytów.”

„Hm, nie spodobałoby ci się, jak Sze f sobie z nimi u mnie radził”, uśmiechnął się Rumbo.

Zapytałem, na czym polegała ta jego metoda.

„Kiedy miał już dość mojego drapania się albo nie wytrzymał bijącego ode mnie smrodu, przywiązywał mnie do rynny i polewał wodą ze szlauchu. Gdy zaczynam za bardzo cuchnąć, staram się trzymać od niego z daleka.”

Zadygotałem na samą myśl o zimnym prysznicu. Był środek zimy.

„Jest inny sposób — ciągnął Rumbo. — Równie wstrętny, ale przynajmniej o wiele skuteczniejszy.”

„Nieważne, wszystko jest lepsze od tego swędzenia.”

„Cóż — zawahał się — zwykle rezerwuję to na cieplejszą pogodę, skoro jednak

nalegasz...”

Zająłem zwykłą pozycję — to znaczy z łbem przy jego boku — i ruszyliśmy za złomowisko. Zabrał mnie do parku, tym razem dużego, dość daleko od naszego domu. W parku był staw, do którego kazał mi wskoczyć.

„Żartujesz? — powiedziałem. — Zamarzniemy na śmierć. Poza tym nie jestem pewny, czy umiem pływać.”

„Nie bądź idiotą — rzekł Rumbo. — Wszystkie psy potrafią pływać. A co do zimna, zapewniam cię, że będzie to o wiele przyjemniejsze niż prysznic Szefa. No już, spróbuj!”

Z tymi słowami Rumbo rzucił się do wody, ku wielkiej uciesze grupki dzieci spacerujących z rodzicami po parku tego zimowego poranka. Pewnie i z zadowoleniem wypłynął na środek stawu. Zanurkował nawet, czego jeszcze nigdy nie widziałem w psim wykonaniu. Wyobrażałem sobie panikę wśród pcheł na jego łbie, kiedy stwierdziły nagle, że znika ich ostatnie schronienie. Ich przerażenie, gdy znalazły się w lodowatej wodzie. Rumbo zatoczył łuk i skierował się w moją stronę, nawołując, bym do niego dołączył. Byłem jednak zbyt wielkim tchórzem.

Rumbo dotarł do brzegu i wygramolił się z wody. Paniusie zaczęły odciągać swoje pociechy, ponieważ wiedziały, co teraz nastąpi. Dureń (czyli ja), oczywiście, nie wiedział.

Zostałem doszczętnie przemoczony lodowatym prysznicem, gdy mój (przebiegły) przyjaciel otrząsnął się, by pozbyć się z sierści nadmiaru wody. Czułem równocześnie gniew i wstyd za moją głupotę. Często przecież widziałem w poprzednim życiu otrząsające się z wody psy. Więc dlaczego dałem się tak zmoczyć? W każdym razie stałem jak skończony idiota, ociekając wodą, tak zmarznięty, jak gdybym rzeczywiście pływał.

„No, kurdupłu, jesteś dość mokry. Nic ci się już nie stanie, jeżeli wskoczysz do wody”, roześmiał się Rumbo.

Dygocząc, musiałem przyznać mu rację. Podczołgałem się więc do skraju stawu i ostrożnie zanurzyłem łapę w wodzie. Natychmiast wyjąłem ją z powrotem: wydawało mi się, że woda ma temperaturę poniżej zera! Odwróciłem się, by powiedzieć Rumbowi, że zmieniłem zdanie, że wytrzymam jeszcze parę miesięcy, aż zrobi się cieplej. Na ułamek sekundy, nim wpadł na mnie, dostrzegłem jego ciemną sylwetkę. Zrzucił mnie z brzegu. Ze skowytem runąłem łbem naprzód do stawu. Rumbo wskoczył za mną.

Krztusząc się, wypłynąłem na powierzchnię, łapczywie chwytałem powietrze. Dławiłem się, oczy, uszy, nos i gardło wypełniała mi woda.

„Ooch! — wrzeszczałem. — Ooooch!!!”

Przez czyniony przez siebie hałas słyszałem śmiech Rumba. Miałem ochotę pobić go, utopić łotra, musiałem się jednak przede wszystkim zająć ratowaniem swego życia w lodowatym stawie. Kłapałem zębami i rozpaczliwie łapałem powietrze w płuca. Bardzo prędko — kiedy dotarło do mnie, że daję sobie radę i pływam — przykreść minęła i zacząłem czerpać radość z nowego przeżycia. Ledwie, ledwie utrzymując nos nad powierzchnią wody, odpychałem się tylnymi łapami i wiosłowałem przednimi, dzięki czemu nie zeszytniały mi całkiem z zimna. Zorientowałem się, że mogę wykorzystywać ogon jako ster.



„Jak ci się to podoba, szczeniaku?”, usłyszałem wołanie Rumba.

Rozejrzawszy się stwierdziłem, że dotarł na środek stawu. Podążyłem w jego stronę.

„B-bardzo, R-rumbo, al-le jest s-strasznie z-zimno”, odpowiedziałem, zapomniawszy o gniewie.

„Ha! Poczekaj, aż wyjdiesz na brzeg! — Zanurkował ponownie i wypłynął z uśmiechem. — No, pod wodę, szczeniaku. Zanurz się, bo nigdy nie pozbędziesz się pcheł!”

Przypomniałem sobie, po co tu przyszedliśmy i zanurzyłem głowę pod powierzchnię. Wypłynąłem krztusząc się.

„Jeszcze raz, szczeniaku! Zrób to porządnie, inaczej ich nie wytopisz!”

Zanurkowałem ponownie, tym razem wstrzymując oddech i zostając pod wodą tak długo, jak tylko mogłem. Nie wiem, co pomyśleli sobie ludzie na brzegu, widok bowiem dwóch kundli, zachowujących się jak tresowane foki, musiał być z pewnością osobliwy. Zaczęliśmy baraszkować w wodzie, ochlapując się i wpadając na siebie nawzajem, doszczętnie się przy tym oczyszczając dzięki energicznym ruchom. Wystarczyło nam pięć minut, po których za obopólną zgodą skierowaliśmy się do brzegu. Wygramoliliśmy się z wody, rozmyślnie ochlapując gapiów, i pobawiliśmy się w ganianego, by trochę przeschnąć.

Wracając do domu, śmieliśmy się i chichotaliśmy, czując się odświeżeni i pełni wigoru jak nigdy przedtem — i oczywiście głodni, jakbyśmy przez całe życie nic nie jedli. Znaleźliśmy zawinięte w papier kanapki, które jeden z robotników rozmontowujących silnik bezmyślnie zostawił na ławce, i umknęliśmy z nimi, w parę sekund później zagrzebując się w naszym legowisku. Ku mojemu zaskoczeniu tym razem podzieliliśmy się łupem po połowie, Rumbo nawet nie próbował zabrać sobie lwiej części. Uśmiechnął się do mnie, gdy spiesznie wykańczałem ostatnie okruchy. Oblizawszy się z ukontentowaniem, też się uśmiechnąłem. Zapomnieliśmy o naszych odmiennych poglądach i znów byliśmy przyjaciółmi. Zaszła jednak subtelna zmiana: wprawdzie nie byłem jeszcze całkiem równy Rumbowi, ale różnica nas dzieląca znacznie się zmniejszyła.

Uczeń zaczął dorównywać mistrzowi.

## Rozdział dziewiąty

A co z uczuciem, że jestem człowiekiem w ciele psa?

Cóż, oczywiście nie opuszczało mnie, lecz nie odgrywało już decydującej roli w moim myśleniu. Rozwijałem się jako pies; proces ten pochłaniał mi większość czasu. Miałem ciągle świadomość swojego pochodzenia, a moje ludzkie uczucia często brały górę nad zwierzęcą naturą, obdarzony byłem jednak psimi siłami fizycznymi i takimiż zmysłami (z wyjątkiem nadzwyczaj ostrego wzroku), które rządziły moim zachowaniem. Wielokrotnie, przeważnie nocami, na powierzchnię mojego umysłu wylaniały się wspomnienia i nękające mnie w nieskończoność pytania. Przeważnie byłem bez reszty psem, pozbawionym jakichkolwiek — poza psimi — myśli.

Uświadomiłem sobie, że wraz z Rumbem różnimy się od innych psów i byłem pewien, że on to także zauważył. Odkryłem, że wielki szczur również był inny niż

reszta jego towarzyszy. Jednakże Rumbo na moje pytania, co o tym sądzi, odpowiadał wymijająco i nigdy się nie dowiedziałem, czy pojął tę różnicę, czy też stanowiła dla niego taką samą zagadkę jak dla mnie. Wzruszał barkami i zbywał mnie uwagami w stylu: „Niektóre stworzenia są bardziej głupie od innych, to wszystko”. Często przyglądał mi się badawczo.

I tak żyłem z Rumbem, podczas gdy chęć poznania zagadki mojego istnienia pozostawała w zawieszeniu. Uczyłem się wieść psią egzystencję.

Tak jak wszystkie psy byłem nieskończenie ciekawski. Musiałem wszystko powąchać, musiałem szarpać za wszystko, co sterczało, musiałem gryźć wszystko, co nadawało się do pogryzienia. Rumbo czasem tracił cierpliwość, beształ mnie, że jestem takim samym durnym szczeniakiem jak inne (choć też lubił węszyć i gryźć), zazwyczaj karcił mnie również za moją zbytnią ciekawość. Podczas wielu popołudni i wieczorów odpowiadał na moje pytania (gdy był odprężony i rozluźniony, w nastroju do rozmowy), kiedy jednak zastanawiał się nad czymś długo i głęboko, zaczynał tracić wątek i się denerwował. Często wydawało mi się, że wreszcie dowiem się od niego czegoś ważnego, na przykład o mojej obecnej, dziwnej egzystencji lub dlaczego wydawaliśmy się bardziej zaawansowani w rozwoju od reszty naszego gatunku, gdy nagle w jego oczach pojawiał się wyraz roztargnienia i zapadał w długie, sprawiające wrażenie transu, milczenie. Bałem się, że jego szukający odpowiedzi umysł zagubi się i nie będzie w stanie odnaleźć drogi powrotnej, że Rumbo już nie wyjdzie z tego stanu, że stanie się psem takim jak wszystkie inne. Ale po chwili Rumbo zaczynał mrugać ślepiami, rozglądał się dookoła zdumiony, jakby nie miał pojęcia, gdzie się znalazł, i kontynuował rozmowę, ignorując zadane mu przez mnie pytanie. W takich chwilach czułem wielkie napięcie i lęk, dlatego starałem się nie doprowadzać do takich sytuacji.

Lęk odczuwałem również wówczas, gdy widywałem duchy. Nie zdarzało się to często, ale wytrącało mnie z równowagi. Duchy przepływały koło mnie w milczeniu, wytwarzając wokół siebie aurę nieskończonej samotności (choć nie było to ich świadomym zamiarem). Niektóre sprawiały wrażenie, że doznały szoku, ponieważ brutalnie wyrwano je z ziemskich ciał. Zamieraliśmy z Rumbem na ich widok, ale nigdy nie szczekaliśmy jak inne psy. Mój towarzysz ostrzegał je cichym warczeniem, aby trzymały się od nas z daleka, duchy się jednak nami nie interesowały. Przepływały obok, niczym nie zdradzając, że zdają sobie sprawę z naszej obecności. Pewnego razu — było to w pełnym świetle dnia — cztery czy pięć ciasno stłoczonych przy sobie duchów płynęło przez plac złomowiska jak mały dryfujący obłok. Rumbo nie potrafił wyjaśnić tego zjawiska i zapomniał o duchach natychmiast po ich zniknięciu, lecz mnie długi czas nie dawało to spokoju.

Na złomowisku coraz częściej zaczęły się pojawiać śmiertelne istoty. Pracowało na nim zawsze dwóch lub trzech mężczyzn w kombinezonach, którzy rozbierali wraki na części. Przewijał się również ciągły strumień klientów szukających tanich elementów do swych wozów. Dźwigiem ładowano zmiażdżone karoserie na gigantyczne (gigantyczne dla mnie) ciężarówki, a następnie cenny metal wywożono za bramę. Na szczyty chwiejnie balansujących stert wrzucano bezceremonialnie pojazdy doszczętnie rozbite lub tak stare, że nie dawało się z nich już nic wycisnąć. Moją ciekawość wzbudziło zupełnie innego rodzaju ożywienie na złomowisku.

U Szefa coraz częściej pojawiali się klienci, których wcale nie interesowało złomowisko. Znikali oni na całe godziny w baraku Szefa. Przychodzili dwójkami i trójkami, po czym w identycznych grupkach znikali. Przybywali z różnych stron,

przeważnie z Wandsworth i Kennington, zdarzali się także goście z Stepney, Tooting, Clapham, z „domieszką” przybyszów z sąsiednich hrabstw. Dowiadywałem się o tym z podsłuchanych rozmów, gdy stałem pod barakiem Szefa czekając, aż się pojawi (często spóźniał się z jedzeniem). Niektórzy goście nawet bawili się ze mną albo drażnili w przyjazny sposób. Rumbo popatrywał spod oka na moje dziecinne zachowanie wobec tych mężczyzn. Ponieważ nigdy nie dostawaliśmy od nich jedzenia, więc nie odgrywali w jego życiu istotniejszej roli. (Rumbo był bardzo wybredny w wyborze osób, które respektował i obdarzał przyjaźnią). Ja jednak — jak każdy szczeniak — chciałem być kochany przez wszystkich. Nie wiedziałem, na czym polegają interesy, które ubijali z Szefem (zauważyłem, że traktowano go z wielkim szacunkiem), i specjalnie mnie to nie obchodziło. Ciekawili mnie tylko dlatego, że pochodzili z innych stron i dzięki nim miałem nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej o świecie — nie o tym z najbliższego otoczenia, ale o dalszym. Widzisz, szukałem jakichkolwiek śladów dotyczących mojej osoby. Czułem, że im więcej się dowiaduję — a może odkrywam na nowo — o otaczającym mnie świecie, tym większe mam szansę na rozwiązanie swojej zagadki.

Właśnie przy którejś takiej okazji zdobyłem swe imię. Niektórzy robotnicy wołali na mnie Horacy (Bóg wie, czemu to ich bawiło). Gardziłem tym imieniem. Wymawiali je szyderczo i zazwyczaj ignorowałem ich wołania z dumnie podniesionym nosem — chyba że oferowano mi jedzenie (co zdarzało się bardzo rzadko). Nawet Rumbo w momentach sarkazmu wołał do mnie „Horacy”, a nie „kurduplu”. W końcu nawet ja zacząłem się do niego przyzwyczajać.

Szef nigdy nie zawracał sobie głowy, by wymyślić dla mnie jakieś unię. Nie byłem dla niego na tyle ważny. Poza tym po pierwszym naszym spotkaniu kilka miesięcy wcześniej nie miał wiele okazji, by się do mnie zwracać. W każdym razie byłem mu wdzięczny, że nie podchwycił od pracowników tego ohydneho zawołania.

Oto, jak otrzymałem swoje prawdziwe imię.

Przed barakiem Szefa zgromadziła się niewielka grupka gości, czekających na jego przybycie. Rumbo ganiał za jakąś suką w rui, a ja pałętałem się bez celu po dziedzińcu, bocząc się, że zostałem sam. Potruchtalem do ludzi, mając nadzieję, że podsłuchani coś ciekawego (lub może ktoś obdarzy mnie odrobiną czułości). Zobaczył mnie jeden z młodszych mężczyzn. Przykucnął i wyciągnął do mnie rękę.

— Pies, chodź tu! — zawołał. Ucieszony pogalopowałem w jego stronę.

— Jak się wabisz, piesku? — zapytał mężczyzna. Nie chciałem powiedzieć, że Horacy, więc w milczeniu polizałem jego dłoń.

— Niech no ci się przyjrzę — powiedział mężczyzna, drugą dłonią odwracając moją obrożę. — Żadnego imienia, hm? Zobacz, co mam dla ciebie.

Wstał, sięgnął do kieszeni kurtki i wydobyl opakowanie dropsów, na widok których zacząłem wymachiwać ogonem. Wyjął jeden z dropsów i zademonstrował mi go. Natychmiast stanąłem na zadnich łapach, rozdziawiając pysk. Mężczyzna roześmiał się i upuścił drops. Zręcznie schwyciłem go na język, zgniatając zębami, nim zdążyłem opaść na przednie łapy. Przełknąłem i oparłem o nogi mężczyzny moje zabłocone łapy, dopraszając się o następny cukierek; miały przyjemny miętowy smak.

— Och, nie, jeśli chcesz jeszcze jednego, będziesz musiał na niego zarobić. Hej hop, łap! — Podrzucił cukierek w górę.

Skoczyłem i złapałem go zgrabnie w powietrzu. Młody mężczyzna się roześmiał.

Jego znudzeni kompani zaczęli przejawiać zainteresowanie tą sceną. Próżnowali koło forda granady, którym przyjechali, przytupując dla ochrony przed chłodem.

— Niech zrobi to jeszcze raz, Lenny — powiedział jeden z nich.

Ten, którego nazywano Lenny, rzucił w górę drugi cukierek, który złapałem w powietrzu.

— Rzuć jeszcze, ale wyżej.

Lenny rzucił. Skoczyłem i odniosłem znowu sukces.

— Straszny spryciarz z ciebie, co? — rzekł Lenny.

Musiałem przyznać mu rację; odczuwałem zadowolenie z siebie. Gdy Lenny ujął miętusa między palec wskazujący i kciuk, przygotowałem się do powtórzenia wyczynu.

— Chwila, Lenny — powiedział tym razem inny z mężczyzn. — Utrudnij mi trochę robotę.

— Niby jak?

Mężczyźni zastanawiali się przez chwilę. W końcu jeden z nich wypatrzył na parapecie okna baraku kilka cynowych kubków.

— Spróbuj starego numeru z trzema kubkami.

— Stuknij się w łeb! To przecież durna psina — zaprotestował Lenny.

— Nie marudź, zobaczymy, czy sobie poradzi.

Lenny wzruszył ramionami i poszedł po kubki. Stali pracownicy wykorzystywali je podczas przerw śniadaniowych, ale pewnie nie mieliby nic przeciw takiemu ich użyciu. Prawdę mówiąc, zauważyłem, że starali trzymać się z dala od współników do interesów swojego szefa. Lenny postawił dwa kubki do góry denkami na równym kawałku gruntu, a ja zacząłem go trącać nosem, żeby dał mi jeszcze jeden cukierek. Odepchnął mnie od siebie, a inny z mężczyzn złapał mnie za obrożę, by nie dopuścić do Lenny'ego.

Lenny wy dostał jednego miętusa, zademonstrował mi go przesadnym gestem i włożył pod jeden z kubków. Zacząłem szarpać się w obroży, chcąc dostać się do cukierka.

Lenny zrobił potem coś zaskakującego, tzn. nie odrywając kubków od ziemi, zaczął zmieniać ich położenie. Robił to powoli, ale to wystarczyło, by dezorientować zwykłego psa. Lenny odsunął się i dał znak drugiemu mężczyźnie, by mnie puścił. Wyrwałem do przodu i od razu przewróciłem kubek, spod którego dobywał się silny zapach mięty.

Nie miałem pojęcia, dlaczego mężczyźni wykrzykują z radością i dlaczego Lenny jest tak zachwycony, patrząc jak pożeram miętusa. Merdaniem skwitowałem poklepywanie Lenny'ego po grzbiecie, zadowolony, że sprawiłem mu przyjemność.

— No, miał nosa. Fuksem mu się udało. Ale pies nie robi tego dwa razy pod rząd — stwierdził jeszcze inny mężczyzna z krzywym uśmiechem.

— Na pewno powtórzy. Ten szczeniak to stary cwaniak — stwierdził Lenny. — A może postawisz na to parę groszy?

Reszta wyraziła entuzjastyczną zgodę na propozycję zakładów. Zabawny jest

widok grupki znudzonych mężczyzn, znajdujących sobie rozrywkę.

Jeszcze raz przytrzymał mnie, podczas gdy Lenny powtórzył balet z miętówką.

— No dobra, stawiam funciaka, że uda mu się drugi raz — powiedział, tym razem nie tak bezosobowo jak przedtem.

— Dobra.

— Wchodzę.

— Ja też.

I nagle na ziemi znalazły się cztery banknoty. Czterej mężczyźni popatrzyli na mnie z wyczekiwaniem.

Lenny znów zaczął obracać kubki. Jeden z mężczyzn kazał mu robić to szybciej. Usłuchał, i muszę przyznać, że znał się na rzeczy: gołym okiem trudno było rozróżnić ruchy jego rąk. Czułe powonienie rozwiązywało jednak i ten problem. Przewróciłem kubek i połknąłem miętusa w ciągu trzech sekund.

— Fantastycznie! Cholernie cwany skubaniec! — Lenny z zachwytem zgarnął z ziemi cztery funty.

— Mimo to twierdzę, że to był fuks — burknął rozczarowany głos.

— Jak tak gadasz, Ronald, to postaw na to forszę, synu. Stał kolejny zakład, tym razem bez jednego z mężczyzn, który mruknął:

— On to chyba wywachuje.

Na chwilę reszta znieruchomiała; o tym nie pomyśleli.

— Nie — powiedział Lenny po chwili namysłu — nie wyniucha cukierka pod kubkiem.

— Cholera go wie, mięta silnie pachnie.

— No dobra, zobaczę, czy mam jakieś inne cuksy. — Pogrzebał bez powodzenia w kieszeniach.

— Zaczekajcie chwilę — odezwał się jeden z mężczyzn i ruszył w stronę granady. Otworzył przednie drzwi, sięgnął do schowka na rękawiczki i wygrzebał pół tabliczki czekolady. — Trzymałem dla dzieciaków — powiedział z niejakim zawstydzeniem. — Zawinę ją w sreberko, żeby nie było czuć zapachu.

Podał czekoladę Lenny'emu. Na jej widok zacząłem się ślinić i musiano mocno mnie trzymać, żeby się nie wyrwał.

— Tak, chyba wystarczy. No dobra, zrobimy to jeszcze raz. — Lenny upewnił się, że czekolada jest starannie owinięta, nim włożył ją pod kubek. Na wierzchu kubka znajdowała się ohydnie wyglądająca tłusta plama.

Czwarty mężczyzna postanowił się teraz przyłączyć do zakładu. Lenny zaczął jeszcze raz błyskawicznie przesuwając kubki. Gdy mnie puszczone, oczywiście natychmiast rzuciłem się do kubka z plamą na wierzchu.

Czekoladę wyrwano mi z pyska, nim zdołałem ją połknąć w całości. Jedyne Lenny zasypał mnie szczodrymi pochwałami.

— Mógłbym zbić majątek na tym psie — powiedział, odłamując kawałek czekolady i wrzucając mi go do pyska. — Ma łeb, nie jest taki durny, na jakiego

wygląda. — Najeżyłem się, ale myśl o reszcie czekolady sprawiła, że zachowałem spokój. — Pojedziesz ze mną do Edenbridge, co? Connie i dzieciaki zapieszczą cię na śmierć, a ja będę kasować flotę od ciołków z okolicy.

— To pies Szefa, nie da ci go zabrać — odezwał się ten, na którego wołano Ronald.

— Może. Ma przecież dwa.

— Mimo to mówię, że to tylko fuks. Nie ma tak cwanych psów.

Lenny wznosił oczy do nieba. — Chcesz się jeszcze raz przekonać?

Ronald miał na to już mniejszą ochotę. Dźwięk samochodu wjeżdżającego na dziedziniec uratował go przed decyzją, czy zaryzykować jeszcze jednego funta. Ze zgrabnego jaguara, który zaparkował za granadą, wysiadł Szef (zmieniał częściej samochody niż niektórzy opony). Miał na sobie gruby kożuszek. W ustach jak zwykle trzymał wielkie cygaro. Mężczyźni powitali go przyjaźnie, lecz wydawało się, że wynika to bardziej z respektu niż sympatii.

— Co tutaj grandzie? — Szef wetknął ręce w kieszenie i podszedł do mężczyzn, okrążywszy jaguara.

— Bawimy się z psem, Szefie — powiedział Lenny.

— Taaa, piekielnie zmyślna bestia — stwierdził jeden z pozostałych.

Lenny zdawał się wahać przed powiedzeniem Szefowi, za jakiego spryciarza uważa jego psa. Myślę, że zaczynał snuć co do mnie pewne plany.

— Nie da rady, nie powtórzy tego nawet za tysiąc lat — włączył się Ronald.

— Czego, Ron? — spytał z zaciekawieniem Szef.

— Lenny bawi się z psem w „pod którym kubkiem” i pies za każdym razem trafia — odezwał się inny mężczyzna.

— Wariata ze mnie strugacie! — obruszył się Szef.

— Nie, Szefie, mówi, jak jest — zapewniał Lenny. Wiedziony chęcią zbicia natychmiast jeszcze trochę grosza, zapomniał o dalekosiężnych planach ze mną w roli głównej.

— To musiał być fuks. Psy nie są takie zmyślnie.

— Tak właśnie mówię, Szefie — włączył się usłużnie Ronald.

— Taaa, i przerznąłeś forse, synu, nie? — uśmiechnął się Lenny.

— Ile skasowałeś, Lenny?

— Ee, zaraz policzę, Szefie. Całe osiem funtów.

— Dobrze, stawiam jeszcze osiem, że nie uda mu się tym razem. — Szef miał klasę.

Lenny zawahał się tylko przez sekundę. Zachichotał i wrócił do kubków.

— No, facet, liczę na ciebie. Nie zawieź mnie — spojrzał na mnie znacząco.

Podobała mi się ta zabawa. Cieszyło mnie sprawianie radości temu człowiekowi, odczuwałem przyjemność, że nie uważa mnie za przeciętnego psa. Ściśle rzecz biorąc, nie dopraszałem się o poczęstunek, ale zarabiałem na niego.

Pod baczny spojrzeniem Szefa Lenny zaszurał kubkami jeszcze szybciej niż poprzednio, tym razem umieszczając czekoladę pod kubkiem bez tłustej plamy. Wreszcie zdjął dłonie z kubków i podniósł wzrok na Szefa.

— Dobrze? — spytał.

Szef skinął głową. Lenny popatrzył na mnie.

— No, mały, czyń swoją powinność.

W tym właśnie momencie na dziedzińcu pojawił się Rumbo.

Ciekawość przyciągnęła go do naszej grupki. Kiedy ujrzał, że trzymany jestem za obrozę przed dwoma odwróconymi kubkami, uniósł w zdumieniu brew. Natychmiast domyślił się, że odbywa się tu jakaś sztuczka ku uciesze ludzi, że ja, jego protegowany kundel, którego przygarnął, niezdara, w którego starał się tchnąć nieco godności, jestem gwiazdą tego przedstawienia. Wstyd zaczął palić mi uszy. Zwiesiłem łeb, spoglądając żałośnie na Rumba, który stał nieruchomo, wyraźnie dając do zrozumienia, że jest zde gustowany.

— No już, mały — ponaglił mnie Lenny. — Znajdź czekoladkę. Rusz się!

Zwiesiłem ogon; zawiodłem Rumba. Zawsze uczył mnie, by być panem samego siebie, by nigdy nie podlizywać się ludziom, by się przed nimi nie płaszczyć; a ja zachowywałem się jak jakieś tresowane stworzenie z cyrku, wykonujące sztuczki ku ich uciesze. Podszedłem do kubków, przewróciłem łapą pusty i odbiegłem w poszukiwaniu najciemniejszej dziury, w którą mógłbym się zaszyć.

Szef zachichotał. Lenny z rozpaczą złapał się za głowę. Zaśmiewając się, Ronald schylił się, zebrał wygraną Szefa i wręczył mu ją. Gdy znikalem za węglem baraku, usłyszałem, jak Szef mówi: — Mówiłem ci, że to był fuks. Tak, fuks. To dla niego dobre imię. Hej, Georgie! — zawołał jednego z robotników. — Złap szczeniaka i wygraweruj mu na obroży imię. Będzie się nazywał Fuks. Taaa, to dobre! — Był zadowolony z siebie. Pieniądze nic tu nie znaczyły, ważne było, że dobrze wypadł i starał się utrzymać to wrażenie do końca. Słyszałem go jeszcze, jak rechotał, wchodząc z grupką mężczyzn do baraku: — No, mamy dla niego odpowiednie imię. Od tej pory będzie się wabił Fuks.

## Rozdział dziesiąty

Rumbo nigdy więcej nie wspominał o tym wypadku. Przez kilka kolejnych dni zachowywał się wobec mnie z pewną rezerwą, lecz końcówka mojego występu sprawiła, że zachowałem przed nim trochę twarzy (pyska?). Poza tym dlatego, że potrzebowaliśmy się wzajemnie (do czego sam Rumbo nigdy by się nie przyznał), wkrótce wróciliśmy do dawnej zażyłości.

Lenny przestał się mną interesować. Moja pomyłka zburzyła jego marzenia o zrobieniu wielkich pieniędzy. Kiedy pojawiał się na dziedzińcu, obrzucał mnie jedynie co jakiś czas żalonymi spojrzeniami, poza tym nie zwracał na mnie uwagi. Robotnik zajmujący się rozbieraniem wraków, Georgie, zabrał mi obrozę i zwrócił później. Rumbo powiedział mi, że na niewielkiej metalowej tabliczce widać teraz jakieś rysy. Założyłem, że było tam wypisane moje imię: FUKS. W każdym razie tak teraz wołali na mnie ludzie ze złomowiska oraz ci na ulicach, którzy zadali sobie trud, by przeczytać imię na obroży. Byłem zadowolony, że nikt już na mnie nie woła Horacy.

Trwały zimowe mrozy i nastały dla nas chudsze czasy. Wciąż odbywaliśmy wyprawy do hali targowej, ale nasze zdobycze spod stoisk stawały się coraz bardziej skąpe i połączone z większym ryzykiem. Sklepikarze znali nas już z wyglądu i przeganiali, gdy tylko się pojawialiśmy, zimno zaś sprawiło, że gospodynie domowe stały się ostrożniejsze i mniej przyjaźnie nastawione. Szybko traciłem przyjemny dla oka szczenięcy wygląd (sądzę, że miałem wtedy siedem lub osiem miesięcy) i ludzie byli teraz mniej skłonni nachylić się, by pogłaskać chudego mieszańca. Z tego powodu stałem się prawie bezużyteczny jako przynęta dla Rumba. Trudne czasy pogłębiły jednak naszą przemyślność: staliśmy się szybsi w napaści i bardziej wyrafinowani w jej planowaniu.

Błyskawiczne przemkniecie przez supermarket przeważnie okazywało się owocne, pod warunkiem że mieliśmy otwartą drogę odwrotu. Zazwyczaj jeden z nas przewracał stertę konserw, by wywołać zamieszanie, podczas gdy drugi skradał się, by złapać, co tylko się dało. Oczekiwałem takich eskapad z wielkim podnieceniem. Wypad na boisko szkolne podczas przerwy obiadowej praktycznie zawsze owocował kanapką czy dwiema, czasami nawet jabłkiem lub kawałkiem czekolady. Uwielbialiśmy wywoływane przez nas pandemonium. Nigdy nie traciliśmy nadziei, że na pobliskich targowiskach ulicznych znajdziemy coś dla nasycenia żołądków. Krzyki i przekleństwa, jakie słyszeliśmy podczas naszych rozbojów na targu, były jednak trochę niepokojące. Co więcej, staliśmy się zbyt bezczelni i doprowadziło to nas do kłęski.

Któregoś dnia weszliśmy śmiało z Rumbem na dziedziniec, na który znechęły nas smakowite zapachy przygotowywanego jedzenia. Znaleźliśmy się przed otwartymi drzwiami, spoza których dobywały się kłęby pary. Było to kuchenne wejście jakiejś restauracji. Obydwaj byliśmy zbyt pewni siebie, prawie beztroscy, ponieważ za długo wychodziliśmy z naszych eskapad bez szwanku. Śmiało wkroczyliśmy do środka.

Była to restauracja wysokiej klasy, chociaż trudno byłoby się tego domyślić po stanie, w jakim znajdowała się kuchnia. Że jest to wytworne miejsce, domyśliłem się jedynie po potrawach stojących na stole na środku kuchni. Była tam między innymi pieczona młoda kaczka w sosie pomarańczowym. Otaczały ją i inne dania, jednak nie powodujące aż tak silnego napływania śliny do pyska. Dania czekały na zanieśenie ich na salę (lub wyniesienie przez zgłodniałe psy). Poza szefem kuchni, który odwrócony do nas plecami mieszał w wielkim kotle zupę, kuchnia była pusta. Rumbo rzucił mi krótkie spojrzenie, po czym jednym skokiem znalazł się na stole. Oparłem łapy na skraju stołu i uśmiechnąłem się z błogim zadowoleniem. Zapowiadało się, że tego dnia będziemy mieli pełne brzuchy.

Rumbo nonszalancko szperał między różnymi potrawami (gdyby był człowiekiem, podśpiewywałby w tej chwili pod nosem), aż w końcu dotarł do kaczki. Wywiesił język i zaczął zlizywać sos pomarańczowy. Obejrzał się na mnie i przysiągłbym, że mrugnął do mnie. Z pyska ciekła mi ślina i przestępowałem sfrustrowany z łapy na łapę. Rumbo liznął jeszcze kilkakrotnie i rozwarł szczęki na całą szerokość, by wziąć między nie pieczonego ptaka. W tej właśnie chwili otworzyły się drzwi do sali restauracyjnej.

Staliśmy jak sparaliżowani, podczas gdy do środka statecznie wkroczył kelner w białej marynarce i niewielkiej czarnej muszce. Jeszcze będąc w drzwiach, wykrzykiwał do szefa kuchni nowe zamówienie. Kelner był dość wysoki (sam rozumiesz, że dla mnie wszyscy ludzie są wielcy), jego kruczoczarne włosy były wybrylantynowane i gładko przylizane. Nad również wybrylantynowanym wąsikiem



sterczał długi, zakrzywiony nos. Miał wielkie (zbyt wielkie), wytrzeszczone oczy, które wybałuszył jeszcze bardziej, gdy nas zobaczył. Szczeka opadła mu tak, że prawie przypominał w tym momencie Rumba. Nieświadomie przekrzywił tacę i naczynia zjechały z niej jak lawina. Okropny brzęk tłukących się talerzy sprawił wszystkich od nowa w ruch.

Szef obrócił się na pięcie, chwytając się za serce, kelner wrzasnął (myślę, że był to Włoch), Rumbo złapał kaczkę, a ja się zmoczyłem (jakżeby inaczej?).

Rumbo zeskoczył ze stołu, pośliznął się na lepkiej plamie na posadzce i wypuścił kaczkę. Próbuąc złapać ją znów w pysk, zaskowyczał, gdy gorąca chochla ciśnięta przez szefa prześliznęła się po jego grzbiecie. Złapał w końcu kaczkę za kuper i chyłkiem pobiegł w stronę wyjścia.

Kelner rzucił w jego stronę pustą tacę, stłumił szloch, ruszył w pościg za Rumbem, pośliznął się na tej samej lepkiej plamie i runął na plecy, jednocześnie nogami wytrącając kaczkę z pyska mojemu towarzyszowi.

Szef kuchni przeniósł ręce od serca do ust, zaryczał w furiackim gniewie, ruszył chwiejnie przed siebie i pośliznął się na tacy, która wylądowała na jeszcze jednej lepkiej plamie z sosu pomarańczowego, pozostawionej przez wleczoną po posadzce kaczkę. Wylądował ciężko (był bardzo słusznej postury) na plecach mikrogo kelnera, zaklął i zaczął wściekle wierzgać, wymierzając ciosy psu, kaczcze, kelnerowi i wszystkiemu, co znalazło się w jej zasięgu.

Uciekłem.

\* \* \* \* \*

Rumbo ukradkiem wylazł na dziedziniec mniej więcej pięć minut po mnie. Skorzystał z naszego prywatnego przejścia przez dziurę w ogrodzeniu z karbowanej blachy za stertą wraków na tyłach złomowiska. Włókł za sobą wystygłą pieczoną kaczkę. Ptak nie prezentował się najlepiej: nie wyglądał już jak reprezentacyjne danie. Mimo to dla dwóch wygłodniałych kundli stanowił prawdziwą ucztę. Po wyssaniu wszystkich kości (ostrzegłem Rumba, żeby ich nie gryzł) uśmieśliśmy się z naszej przygody uwieńczonej sukcesem.

Kilka dni później musieliśmy jednak odszczekać naszą radość, że się tak wyrażę. Na dziedzińcu pojawił się policjant w mundurze i spytał jednego z robotników, czy na terenie firmy znajdują się dwa czarne mieszańce. Wpełzliśmy z Rumbem jak najgłębiej pod rozsypujący się ford i popatrzyliśmy na siebie ze strachem. Najwyraźniej sklepikarze zdecydowali się solidarnie działać i złożyli na nas skargę na posterunku. A może napuścił na nas gliny wściekły właściciel restauracji. W każdym razie policjantom nie zabrało dużo czasu ustalenie, gdzie mieszkamy. Wyrzeliśmy niepewnie spod samochodu i zauważyliśmy, że robotnik z lękiem pokazuje na barak Szefa. Młody policjant, nie spiesząc się, ruszył w jego stronę, po drodze przyglądając się zaparkowanym różnym samochodom. Szef odbywał jedno z regularnych spotkań ze swoimi kolesiami.

Platfus zastukał do drzwi. Pojawił się Szef. Przyglądaliśmy się, jak z uśmiechem odpowiada na pytania policjanta, okazując rozbrajający wdzięk, którego jakoś wcześniej nie zauważyłem. Dłońmi wykonywał gesty świadczące o zdumieniu, trosce i zaniepokojeniu, przy czym poważnie kiwał głową. Później wrócił do przymilnych uśmiechów. Jego cygaro ani na chwilę podczas rozmowy nie opuściło kącika ust. Po

ostatnim uspokajającym i lizusowskim uśmiechu Szefa młody policjant pożegnał się i opuścił dziedziniec.

Szef uśmiechał się łaskawie za plecami platfusa, dopóki ten nie zniknął za bramą złomowiska, po czym rozejrzał się dookoła. Na jego obliczu malowała się teraz marsowa mina. Wypatrzył nasze nosy sterczące spod wraku i ruszył w ich kierunku długimi, świadczącymi o determinacji, krokami.

„Uciekamy, kurduplu”, ostrzegł mnie Rumbo.

Spóźniłem się. Szef złapał mnie za kark, zanim zdołałem czmychnąć, i zaczął tłuc mnie zaciśniętą pięścią, przytrzymując mocno za obrożę. Zawsze czułem, że w Szefie tkwi powstrzymywane okrucieństwo (co wcale nie oznacza, że był okrutnym człowiekiem). Tłumioną gwałtowność wyładowywał teraz na mnie. Wyłem z bólu i byłem wdzięczny, że zakończenia bólowe nie są u psa równomiernie rozmieszczone, inaczej ciosy sprawiałyby mi jeszcze większe cierpienie.

Rumbo przyglądał się tej scenie z pewnej odległości, litując się nade mną i zarazem obawiając o swój los.

— Chodź no tu! — zagrział Szef, ale Rumbo ani myślał go usłuchać. Odskoczył dalej. — Czekaj, niech no cię tylko dorwę! — krzyknął mój prześladowca. Rumbo zmył się z dziedzińca.

Szef ochłonął trochę z gniewu, ale nie pohamował jeszcze swojego okrucieństwa. Zawłókł mnie na tył złomowiska, biorąc po drodze kawałek linki, i przywiązał do samochodu znajdującego się na samym dnie sterty wraków.

— Dobrze ci tak! — warczał, zapętłając linkę o pustą ramę okna. — Dobrze! — Przyłożył mi na pożegnanie i odszedł mrużąc, że ostatnia rzecz, jakiej potrzebuje na złomowisku, to szperający gliniarze. — Dobrze ci tak! — usłyszałem na zakończenie, gdy zatrząskiwał za sobą drzwi baraku.

Kilka minut później z baraku wyszli kolesie Szefa. Wgramolili się do swoich samochodów i odjechali. Po ich odjeździe z baraku wyszedł znów Szef, zawołał kilkakrotnie Rumba i gdy ten się nie pojawił, zniknął z powrotem. Miałem wrażenie, że jakiś czas nie będziemy oglądać drogiego Rumba.

Szarpałem i ciągnąłem linkę, wołając Szefa, by wrócił i uwolnił mnie. Bez żadnego skutku. Nawet nie chciał o tym słyszeć. Bałem się pociągnąć zbyt mocno za linkę, ponieważ wyglądało na to, że sterta wraków ledwie się trzyma. Nigdy nie miałem pojęcia, jakim cudem tak wysokie zwały samochodów się nie przewracają. Moje wołania zamieniły się najpierw w gniewne okrzyki, potem w żalosne wycie, później w pełne przygnębienia skomlenie. W końcu, gdy złomowisko całkowicie opustoszało, zgąębiony zamilkłem.

Było już ciemno, gdy mój kompan zdecydował się na powrót. Dygotałem z zimna, czułem się nieszczęśliwy i osamotniony.

„Powiedziałem ci, żebyś uciekał”, rzekł Rumbo, wychodząc z ciemności.

Parsknąłem.

„Szef ma okropny charakter — ciągnął Rumbo obwąchując mnie. — Ostatnim razem, kiedy mnie przywiązał, musiałem trzy dni czekać na jedzenie.”

Spojrzałem na niego z wyrzutem.

„Mimo to mogę ci podrzucić czasem jakiś kąsek — dodał pocieszająco. Nagle

podniósł łeb. — Oho! Zaczyna padać.”

Na nos spadła mi wielka kropla deszczu.

„Nie bardzo gdzie jest się tu ukryć, co? — skomentował. — Szkoda, że drzwi wozu są zamknięte, mógłbyś wleźć do środka.”

Przyjrzałem mu się badawczo, po czym odwróciłem łeb.

„Zgłodniałeś? — spytał. — Myślę, że nic dla ciebie nie znajdę o tej porze.”

Cały łeb miałem już pokryty mokrymi plamami.

„Szkoda, że zeżarliśmy kaczkę za jednym zamachem. Powinniśmy trochę zostawić.”

Potrząsnął łbem ze smutkiem.

Zajrzałem pod samochód, do którego byłem przywiązany, i stwierdziłem, że jest pod nim za mało miejsca, żeby się tam wcisnąć. Robiłem się coraz bardziej mokry.

„No, kurdupłu — powiedział z udawaną żartobliwością Rumbo — nie ma sensu, żebyśmy obydwaj mokli. Chyba się gdzieś schowam przed deszczem.”

Popatrzył na mnie przepaszająco. Rzuciłem mu długie, pogardliwe spojrzenie i znów odwróciłem łeb.

„Hmm... no to do rana”, mruknął Rumbo.

Spojrzałem za nim. Mało ochoczo szurał łapami.

„Rumbo?”, zawołałem.

Obejrzał się z uniesionymi brwiami.

„Tak?”

„Wyświadczysz mi uprzejmość?”

„Tak?”

„Daj się wykastrować”, powiedziałem obojętnym tonem.

„Dobranoc”, odpowiedział i potruchtał do naszego ciepłego, przytulnego schronienia.

Deszcz zaczął bębnić rytmicznie na moim ciele. Skuliłem się, jak tylko mogłem, i wcisnąłem łeb w barki. Czekąca mnie długa noc.

## Rozdział jedenasty

Była to nie tylko długa, ale i niespokojna noc. Nie tyle ze względu na deszcz (przed wilgocią i chłodem trochę chroniła mnie sierść), ile na niespokojne, dręczące mnie sny, w których odżywały dziwne wspomnienia.

Coś wyzwoliło z najgłębszych zakamarków mojej pamięci nękające mnie myśli. Ujrzałem we śnie miasteczko, a może wieś. Ujrzałem dom. Przepływały przede mną twarze: zobaczyłem żonę i córkę. Znalazłem się w samochodzie. Dłonie na kierownicy należały do mnie. Przejeżdżałem przez miasto. Nagle zobaczyłem rozgniewaną twarz znajomego mężczyzny; jechał oddalającym się ode mnie samochodem. Z nieznanego powodu podążyłem za nim. Było ciemno. Drzewa i żywopłoty migały przy drodze, rozpląszczone i niesamowite w świetle reflektorów.

Samochód przede mną przyhamował i skręcił w wąską drogę. Zatrzymał się, ja również zahamowałem. Znajomy mi mężczyzna wysiadł z samochodu i ruszył w moją stronę. W blasku reflektorów mojego samochodu dostrzegłem, że chyba coś trzyma w wyciągniętej dłoni. Otworzyłem drzwi wozu. Dłoń wysunęła się w moją stronę. Później wszystko zmieniło się w kryształ brylantowego, rozmigotanego światła. Światło zaś stało się ciemnością. A potem nie widziałem już nic.

Rumbo rzucił mi na wpół zjedzoną kanapkę. Powąchałem ją ostrożnie i wyciągnąłem spomiędzy zgniecionych połówek bułki cienki plasterek szynki. Najpierw połknąłem wędlinę i zlizalem masło, po czym zjadłem również bułkę.

„Zeszłej nocy czekałeś przez sen”, odezwał się Rumbo.

Usiłowałem sobie przypomnieć, co mi się śniło. Po chwili fragmenty połączyły się w całość.

„Rumbo, nie zawsze byłem psem”, powiedziałem.

Rumbo zamyślił się przed odpowiedzią, po czym rzekł:

„Nie rób z siebie idioty.”

„Nie, posłuchaj mnie, Rumbo, proszę cię. Ani ty, ani ja nie jesteśmy tacy jak reszta psów. Dobrze o tym wiesz. Orientujesz się dlaczego?”

„Jesteśmy tylko sprytniejsi.”

„To coś więcej. Wciąż myślimy, czujemy jak ludzie. Nie jesteśmy po prostu sprytniejsi niż inne psy — my pamiętamy, jacy byliśmy!”

„Pamiętam tylko, że zawsze byłem psem.”

„Naprawdę, Rumbo? Nie przypominasz sobie, żebyś chodził wyprostowany? Nie przypominasz sobie, że miałeś ręce, palce, którymi robiłeś rozmaite rzeczy? Nie pamiętasz, że mówiłeś?”

„Mówimy i teraz.”

„Nie, nie mówimy, w każdym razie nie w języku ludzi. Rumbo, wydajemy z siebie dźwięki, ale słowa formułujemy raczej w myślach. Naprawdę tego me zauważasz?”

Wzruszył barkami. Widziałem, że krępuje go ten temat.

„A co to za różnica? Ja rozumiem ciebie, ty rozumiesz mnie.”

„Pomyśl, Rumbo. Rusz głową! Spróbuj sobie przypomnieć, jak było przedtem! Kiedyś...”

„Po co?”

To przyhamowało mnie na chwilę. W końcu powiedziałem:

„Nie chcesz wiedzieć dlaczego? Jak to się stało?”

„Nie”, odpowiedział.

„Ależ, Rumbo, musi być jakiś powód i cel, dlaczego tak się stało.”

„Dlaczego?”

„Nie wiem dlaczego. — W moim głosie zabrzmiało rozczarowanie. — Ale chcę się dowiedzieć!”

„Posłuchaj, kurdupłu. Jesteśmy psami. Żyjemy jak psy i jak psy jesteśmy

traktowani. Myślimy jak psy... — Na te słowa potrząsnąłem łbem, lecz Rumbo ciągnął dalej: — ...i żremy jak psy. Jesteśmy trochę inteligentniejsi od innych. ale trzymamy to dla siebie...”

„Dlaczego nie okażemy ludziom, że jesteśmy inni niż reszta?”, wybuchnąłem.

„Jesteśmy t a c y j a k r e s z t a, kurduplu. Różnimy się jedynie w szczegółach.”

„To nieprawda!”

„Prawda. Jeszcze do tego dojdiesz. Możemy pokazać ludziom, że jesteśmy sprytniejsi od innych psów. Mnóstwo zwierząt tak robi — i zazwyczaj ląduje w cyrku.”

„To nie to samo! Tam są tylko zwierzęta, które wykuwają sztuczki.”

„Wiesz, że ludzie uczą szympansa mówić? Czy to sztuczka?”

„A skąd ty to wiesz? — Rumbo zrobił zakłopotaną minę. — To coś, co przypomniałeś sobie z przeszłości, tak, Rumbo? Nie psiej, ale ludzkiej, tak? Przeczytałeś o tym?”

„Przeczytałem? Co to znaczy czytać?”

„Rozpoznawanie słów. Na papierze.”

„To niedorzeczne! Papier nie umie mówić!”

„Psy również.”

„My mówimy.”

„Ale inaczej niż ludzie.”

„Oczywiście, nie jesteśmy przecież ludźmi.”

„A czym?”

„Psami.”

„Odmieńcami.”

„Odmieńcami?”

„Tak. Myślę, że byliśmy ludźmi, ale coś się zdarzyło i zostaliśmy psami.”

Rumbo przyjrzał mi się z dziwną miną.

„Chyba wczorajszy deszcz rozmiękczył ci mózg — powiedział powoli, po czym otrząsnął się, jak gdyby chciał strząsnąć z siebie naszą rozmowę. — Idę do parku. Jak chcesz zabrać się ze mną, przegryź linkę.”

Osunąłem się na ziemię. Wyraźnie było widać, że Rumbo uważa dyskusję za zamkniętą.

„Nie — odpowiedziałem z rezygnacją. — Zostanę tu, dopóki SzeF mnie nie spuści. Nie chcę, żeby gniewał się na mnie jeszcze bardziej.”

„Jak sobie życzysz. — Odwrócił się i ruszył truchtem. — Spróbuję coś ci przynieść!”, zawołał, przeciskając się przez dziurę w ogrodzeniu.

„Dziękuję”, powiedziałem pod nosem.

Niebawem przyjechał SzeF i przyszedł rzucić na mnie okiem. Kilkakrotnie potrząsnął głową i sklął mnie. Próbowałem wyglądać jak najbardziej żałośnie, co

najwyraźniej wywarło jakiś efekt, ponieważ wkrótce rozwiązał linkę, pomacał mój mokry grzbiet i kazał mi się przebiec, bym wysechł. Przyjmując jego propozycję, wypadłem ze złomowiska do parku, do którego pobiegł mój towarzysz. Łatwo było podążyć prosto jego wyraźnym śladem, ale przystawanie pod każdą latarnią było o wiele przyjemniejsze.

Zastałem Rumba przy zwąchowaniu się z małą suką, kapryśnym terierem yorkshire. Jej pani usiłowała za wszelką cenę odpędzić od niej mojego o nieciekawej prezencji towarzysza. Przestałem zwracać sobie głowę zawiłymi rozmyślaniami, ponieważ zapowiadało się na pyszną zabawę. Choć szczerze mówiąc, nie mogłem zrozumieć, co Rumbo widzi w tych psich idiotkach.

\*            \*            \*            \*            \*

Minęły kolejne tygodnie — a może miesiące? — które zamazały się w mojej psiej pamięci. Tylko sporadycznie nękały mnie uporczywe wspomnienia. Spadł śnieg, stopniał i zniknął. Nastąpiły burzliwe wiatry, wyczerpały swoją energię i przeminęły. Spadł deszcz. Pogoda mnie nie przygnębiała, bo ciekawiły mnie jej zmienne nastroje. Wszystkiego doznawałem w nowy sposób, wszystko przeżywałem z innego punktu widzenia: wszystko, co się działo, odkrywałem na nowo. Były to odczucia przypominające wrażenia po wyjściu z wyniszczającej choroby, kiedy wszystko staje się świeże i częstokroć zaskakujące, i gdy na wszystko patrzy się o wiele uważniejszym wzrokiem. Wiesz, że to wszystko już było, ale przyzwyczajenie stępiło ostrość doznawania. Inaczej nie mogę tego opisać.

Najsroźsze ataki zimy przeżyliśmy z Rumbem we względnej wygodzie. Musieliśmy wyprawiać się teraz dalej po pożywienie, ponieważ nasza okolica zrobiła się trochę za „gorąca”, ale bardzo cieszyłem się z tych eskapad. Pogłębiła się nasza przyjaźń, bo wyzbyłem się szczeniackiej kapryśności i sam zaczynałem proponować niektóre wyprawy, a nie tylko byłem biernym ich uczestnikiem. Rumbo zaczął mnie nawet częściej nazywać Fuksem niż kurduplem, dlatego że stałem się prawie tak duży jak on. Gdy nie polowaliśmy czy broiliśmy, Rumbo wyprawiał się w pościg za sukami. Nie potrafił zrozumieć mojego braku zainteresowania seksem. Powtarzał mi co jakiś czas, że stałem się już na tyle dorosły, iż powinienem czuć podniecenie ogarniające lędźwie na woń dojrzałego kobiecego ciała — kobiecego w znaczeniu: należącego do suki. Sam się nad tym zastanawiałem, lecz nie udawało mi się zainteresować jakąkolwiek przedstawicielką drugiej polowy psiego gatunku. Sądzę, że moje instynkty nie stały się jeszcze w wystarczającym stopniu psie. Poza tą niewielką troską i sporadycznymi przeblyskami wspomnień dawnego życia nic nie mąciło nam spokoju. Jednak jak wszystkie dobre czasy, tak i te musiały się skończyć.

Dobiegły końca pewnego deszczowego dnia.

Wróciliśmy właśnie z Rumbem z targu warzywnego i obwąchivaliśmy nowy samochód, który parę dni temu pojawił się na złomowisku. Była to duża ciemnoniebieska furgonetka sieci Transit, z nieznanymi powodów zaparkowana z tyłu za stertami wraków. Napisy na jej bokach zamalowano sprayem. Poprzedniego dnia widziałem, jak robotnicy zmieniają jej numery rejestracyjne. Przedni błotnik został zdjęty i zastąpiony o wiele solidniejszym. Koło furgonetki parkował inny samochód — triumph 2000 — na którym również zmieniono tablice rejestracyjne. Obydwa samochody były ukryte. Przyciągnęła nas woń dobywająca się z ciężarówki — musiano nią kiedyś przewozić żywność — moje człowiecze zdolności rozumowania

powinny mi jednak podpowiedzieć, co się tu działo. Nieustanne spotkania w szopie Szefa i jego krzykliwie poubieranych kompanów (które ostatnio stały się jeszcze częstsze), osobliwa zamożność samego Szefa, gniew na policjanta „szperającego” na złomowisku — nie trzeba było się długo zastanawiać, by sobie to wszystko właściwie poukładać. Niestety, mózg, jakim rozporządzałem, nie zaliczał się do najtęższych.

Usłyszeliśmy otwieraną bramę złomowiska. Na dziedziniec wjechał jakiś samochód. Rumbo pomknął między stertami złomu zobaczyć, kto przyjechał. Ku naszemu zaskoczeniu był to sam Szef. Zaskoczenie płynęło z faktu, iż Szef nie był rannym ptaszkiem. Zazwyczaj pojawiał się na składowisku dopiero około dziesiątej, a otwarcie złomowiska i rozpoczęcie pracy pozostawiał pracownikom.

Ignorując nas, skaczących i szcękających koło jego nóg, wielki mężczyzna otworzył drzwi do baraku. Zauważyłem, że zamiast kożuszka miał na sobie starą skórzaną marynarkę, a pod nią ciemnoczerwony sweter z golfem. Miał rękawiczki, co zdarzało mu się dość rzadko. Wyrzuciwszy w błoto niedopałek cygara, Szef wszedł do baraku. Zapowiadało się, że tego dnia nie dostaniemy nic do jedzenia.

Wzruszyliśmy w myślach z Rumbem barkami i odmaszerowaliśmy od szopy. Nie minęło jednak wiele czasu, a odgłos zajeżdżającego samochodu przyciągnął nas pod nią z powrotem. Z samochodu, który podjechał pod barak, wysiadł Lenny z jakimś mężczyzną. Weszli do środka, nie zwracając uwagi na nasze merdające ogony i żarliwe wyrazy pysków. Jeszcze trzech mężczyzn dotarło do baraku na piechotę.

Na dziedzińcu zapanowało dziwne napięcie nerwowe. My też nagle staliśmy się podekscytowani i nadpobudliwi. Głosy dobiegające z baraku były stłumione, nie słychać było zwykłych pokrzykiwań i śmiechu. Przyprawiło nas to o jeszcze większy niepokój.

Wkrótce potem ze środka wyszło sześciu dziwnie odzianych mężczyzn. Pierwsza czwórka miała na sobie ciemnoszare kitle, jakie czasami noszą sklepikarze. Stwierdziłem również, że mężczyźni mają na sobie swetry z golfem. Jeden z nich właśnie ściągał pod brodę golf swojego swetra; wyglądało na to, jakby przed chwilą miał go naciągnięty aż na uszy. Za nimi wyszedł Lenny: nie miał kitla, ale także był ubrany w sweter z golfem. Na końcu wyszedł ubrany w skórzaną marynarkę Szef. Minęli nas w milczeniu, kierując się na tyły złomowiska. Udzieliło się nam ich podenerwowanie, które bez wątpienia zdradzali. Lenny cmoknął na mój widok i bez specjalnego animuszu pstryknął palcami, zignorował mnie jednak, gdy do niego podbiegłem.

Podążyliśmy za szóstką mężczyzn do furgonetki. Przez otwarte tylne drzwi do środka wsiadło trzech mężczyzn w kitle, a czwarty zajął miejsce za kierownicą. Nim Szef wcisnął się na siedzenie triumpha, powiedział do człowieka prowadzącego furgonetkę: — Dobra, wiesz, co masz robić. Staraj się nas trzymać, ale jeśli się rozdzielimy, wiesz, gdzie się spotykamy.

Kierowca skinął głową. Szef odwrócił się i nim zatrzasnął drzwi, zawołał jeszcze: — Nie zapominaj, nic nie robisz, dopóki nie zamacham ręką przez okno.

Uniesionym kciukiem kierowca potwierdził, że zrozumiał.

Lenny siedział już za kierownicą triumpha. Wcisnął gaz do deski. Samochód wyprysnął z dziedzińca z chrzęstem żwiru, duża niebieska furgonetka podążyła za nim. Zorientowałem się, że po raz pierwszy widziałem Szefa bez sterczącego z kącika ust cygara.

Mniej więcej godzinę później wrócił triumph 2000. Wjechał z rykiem silnika przez bramę i skierował się prosto na tył złomowiska. Bramę natychmiast zamknął jeden z pracowników, po czym wrócił do swojej pracy, jak gdyby nic się nie stało.

Pomknęliśmy z Rumbem za samochodem i zdążyliśmy zobaczyć, jak ze środka wysiadają Szeff z Lennym. Okrążyli samochód, otworzyli kufer i wyciągnęli wspólnie dużą, sprawiającą wrażenie ciężkiej, metalową skrzynię. Trzymając za rączki po bokach, we dwóch przenieśli ją do baraku. Wrócili po chwili, wyciągnęli z bagażnika cztery lub pięć wypchanych worków i również spieszenie je zanieśli do szopy. Nim wrócili do samochodu, Szeff zamknął drzwi baraku. Gdy spróbowaliśmy wspiąć się im na nogi, odepchnęli nas gniewnie. Ich pośpiech zdawał się wynikać z podniecenia — zniknęła nerwowość, jaką widać po nich było rano. Ten nastrój udzielił się również nam. Ostre palnicie w nos przekonało mnie, by trzymać się z dala od tych ludzi. Rumbo również pojął aluzję.

— Dobrze, Lenny, pozbądź się tej gabloty — powiedział Szeff, wyciągając cygaro z wewnętrznej kieszeni skórzanej marynarki. — Nie przejmuj się kitlami na tylnym siedzeniu. Są już niepotrzebne. Porzuć ją tak daleko, jak ci się tylko podoba, ale nie rozbijaj się nią za długo.

— Dobra, Szefie — powiedział Lenny. Nim zapuścił silnik, Szeff podał mu cygaro przez uchyloną szybkę.

— Masz, dobrze się spisales, chłopcze. Widzimy się w środę, nie wcześniej!

Lenny wetknął cygaro w usta, uśmiechnął się, wrzucił bieg i odjechał. W tej samej chwili przed bramą z piskiem opon zahamował wóz policyjny, całkowicie blokując wyjazd. Zaroilo się od niebieskich mundurów. Z drugiego policyjnego wozu, który podjechał pod bramę, wysypała się następna grupa policjantów.

Lenny zbladł i błyskawicznie wyskoczył z triumpfa, zaczął uciekać przez dziedziniec. Szeff, który dotarł już do połowy drogi do baraku, gdy pojawiła się policja, stał jak porażony przez kilka sekund, po czym obrócił się na pięcie i rzucił w naszą stronę. Domyśliłem się, że chce z Lennym pokonać ogrodzenie z blachy falistej i zniknąć w bocznych uliczkach.

Szeffowi powiodło się trochę lepiej niż Lenny'emu, któremu nie udało się zbyt daleko uciec. Któryś z policjantów przewrócił go na ziemię. Lenny natychmiast zniknął pod umundurowanymi funkcjonariuszami. Krzyczał i kłął, ale nie zdołał się uwolnić.

Reszta policjantów pobiegła za Szeffem, który przegalopował koło nas, wyrzucając po drodze cygaro. Krzyczano, by się zatrzymał, Szeff jednak nie usłuchał. Wpadł w labirynt samochodowych wraków.

Rumbo był zarówno wystraszony, jak i zagniewany. Nie podobali mu się ubrani na niebiesko ludzie ani to, że ścigali Szefa, jego pana. Zaczął warczeć i rozkazywać im, by się zatrzymali. Ale na nic się to zdało. Policjanci nie bali się Rumby. Rumbo skoczył na jednego z nich i wpił mocno zęby w rękaw. Zaczął go z wściekłością szarpać. Mężczyzna przewrócił się, przekoziółkował w błocie i przygniótł Rumbo.

„Nie, Rumbo, nie! — zawołałem. — Zostaw go! Zrobiją ci krzywdę!”

Rumbo jednak zbyt się rozżłościł, by mnie słuchać. Było to jego terytorium, a człowiek, którego ścigano, był jego panem. Któryś z policjantów kopnął go w zębra. Rumbo zaskowyczał z bólu i rozluźnił uścisk zębów na rękawie leżącego policjanta. Dostał w nos solidną drewnianą pałką i padł na policjanta, który natychmiast zerwał



się na równe nogi i dołączył do pościgu za Szefem.

„Nic ci się nie stało?” — spytałem, podbiegając do Rumba.

Jęknął i zwiesił ogon.

„Bierz się za nich! Nie pozwól im złapać Szefa!”

Kręcił się w kółko oszołomiony, potykając się i potrząsając łbem.

Zanurkowałem w przejście między stertami zniszczonych samochodów i rzuciłem się w pościg za ścigającymi. Ujrzałem Szefa wspinającego się na maskę samochodu. Policjant chwycił go za stopę, ale Szef wierzgnął z furją i pechowy policjant przewrócił się na plecy. Szef wspiął się na dach samochodu i wskoczył na następny. Gdyby udało mu się dostać na drugą stronę sterty wraków, znalazłby się blisko ogrodzenia i mógłby zeskoczyć na ulicę sąsiadującą ze złomowiskiem. Samochód, na który się wspinał, nie miał pewnego oparcia i przez moment zachwiał się niebezpiecznie, Szef o mało nie stracił równowagi.

Dwaj policjanci zaczęli wspinać się za Szefem, podczas gdy pozostali rozbiegli się, aby odciąć mu drogę ucieczki. Nie mogłem stać bezczynnie i przyglądać się, jak łapia Szefa. Rumba był mu wierny, a ja nie zamierzałem być gorszy. Złapałem zębami za siedzenie jednego ze wspinających się platfusów, zgrabnie zacisnąłem zęby i pociągnąłem. Gliniarz zwałił się na ziemię. Zaczął tłuc mnie pięściami, ale w furii ledwie czułem uderzenia.

Wsparł mnie warczący i zgrzytający zębami Rumba. Policjant musiał wezwać swoich kolegów na pomoc, wrzeszcząc, że psy rozszarpują go na kawałki.

Cóż, nie zachowywaliśmy się najdelikatniej, ale też nie jak dzikusy (prawdę mówiąc, w tej chwili traktowaliśmy to trochę jako zgrywę).

Drugi policjant zeskoczył z karoserii samochodu i podbiegł do nas. Próbując nas rozdzielić, zaczął okładać mnie i Rumba pięściami, co wprawilo Rumba w jeszcze większe rozdrażnienie. Całą uwagę przeniósł na nowego prześladowcę. Policjantów przybywało z każdą sekundą. Zorientowałem się, że przy takiej ich przewadze liczebnej nie mamy żadnych szans.

„To na nic, Rumba! — zawołałem. — Ich jest za dużo!”

„Walcz, kurdup! — wydusił Rumba, zaciskając zęby na ubraniu i mięsie. — Dzięki nam Szef ma szansę uciec!”

Byliśmy bezradni. Poczułem dłoń zaciskającą się na obroży. Odciągnięto mnie i rzucono między sterty wraków. Wylądowałem na masce samochodu i osunąłem się na ziemię, ciężko dysząc. Tak samo potraktowano Rumba. W jego przypadku musiało interweniować aż dwóch policjantów.

Przez ten czas Szef wdrapał się na dach drugiego samochodu i gorączkowo rozglądał się dookoła. Ze wszystkich stron zbliżały się ku niemu niebieskie mundury. Zaczął obrzucać wyzwiskami wspinających się po niego policjantów.

— Uważajcie! — wrzasnął jeden z nich. — Chce przewrócić samochody!

Policjanci czmychnęli na bezpieczną odległość. Ujrzałem, że szef przechodzi na dach kolejnego na poły zgniecionego wraku i wsuwa stopę pod ten, na którym stał, wykorzystując ją jako dźwignię. Samochód niebezpiecznie się zachwiał i niewiele było potrzeba, by go strącić. Kłopot polegał na tym, że samochód, na który przeszedł Szef, również stracił równowagę.

Co gorsza, Rumbo jeszcze raz rzucił się na napierających policjantów.

Nie zdążył nawet się zorientować, co się stało... Tym się jedynie pocieszam. Jeszcze przed sekundą warował przy ziemi, szczerząc zęby na policjantów, a teraz leżał przywalony zwałami chrzęszczącego złomu.

„Rumbo! — wrzasnąłem i rzuciłem się do przodu, nim jeszcze spadające wraki znieruchomiały. — Rumbo! Rumbo!”

Kręciłem się wokół poskręcanej sterty blachy, zaglądałem pod spód, usiłując cokolwiek dostrzec, starałem się znaleźć jakąś drogę, by wcisnąć się pod wraki. Pragnąłem, by mój przyjaciel cudownie ocalał, nie chciałem pogodzić się z tym, co było już, niestety, nieuniknione.

Ciemna stróżka ciemnoczerwonej krwi wyciekającej spod samochodów brutalnie uświadomiła mi smutną prawdę. Biedny Rumbo nie miał żadnej szansy.

Zawyłem. Takie wycie słychać czasami podczas głębokiej, głuchej nocy. Jest to wołanie stworzenia, które dotarło do kresu udręki. Potem się rozplakałem.

Szef cierpiał straszliwie, ręce miał zmiażdżone pod wrakami. i tak miał szczęście: mogły go całkiem przygnieść.

Czyjaś ręka odciągnęła mnie delikatnie od metalowego grobowca. Czułem współczucie płynące od prowadzącego mnie policjanta. Byłem zbyt zrozpaczony, by protestować. Rumbo nie żył. W tym momencie pragnąłem tego samego. Usłyszałem, jak któryś z oficerów każe wezwać natychmiast karetkę dla rannego. Ujrzałem dwóch cywilów wynoszących metalową skrzynię z baraku i kiwających głowami innemu mężczyźnie przesłuchującemu Lenny'ego. Rozgniewany Lenny głośno krzyczał, przytrzymywany przez dwóch mundurowych:

— Kto to zrobił? Kto nas wsypał?!

— Od dawna uważamy na to miejsce, synu — powiedział stojący przed nim mężczyzna. — Od kiedy jeden z naszych chłopaków wypatrzył na tyłach złomowiska samochód Ronnie Smileya. Wiemy wszyscy, w czym kręci Ronnie, nieprawdaż? Pomyśleliśmy więc, że zaczekamy trochę i zobaczymy, co z tego wyniknie. Bardzo nas zaciekawiło, dlaczego dołujecie tu najpierw skradzioną furgonetkę, a później triumpha. Przyfilowaliście jeszcze uważniej, kiedy stwierdziliśmy, że samochody nie wyjeżdżają ze złomowiska. Aż do dzisiejszego poranka. — Zaśmiał się z wyraźnej złości Lenny'ego. — Och, nie przejmuj się, nie tylko o to biegają. To złomowisko od dawna wydawało się nam podejrzane. Zachodziliśmy w głowę, skąd wasz Szef ma tyle szmalu. Teraz wiemy, prawda?

Lenny posepny jak noc odwrócił wzrok. Policjant w cywilu zauważył, że mundurowy odprowadza mnie na bok i powiedział:

— To śmieszne. Konstabl, prowadząc „śledztwo” w sprawie zwykłej złodziejskiej pary kundli, przy okazji odkrywa gablotę Smileya. Jaki pan, taki kram, prawda?

Skinał głową mężczyźnie, który mocno trzymał wrywającego się Lenny'ego. Zaciągnięto go w stronę jednego z wozów policyjnych stojących koło wjazdu na złomowisko. Zanim Lenny zniknął w jego wnętrzu, rzucił mi ostatnie przenikliwe spojrzenie, od którego zadrzałem. i wtedy właśnie dotarło do mnie, dokąd powinienem pójść. Myśl ta przedarła się przez oszołomienie i poraziła mnie niemal fizycznie.

Wykręciłem łeb i kłapałem zębami koło trzymającej mnie ręki. Przestraszony

policjant natychmiast cofnął dłoń. Byłem wolny. Wypadłem na ulicę i znów biegłem, biegłem, biegłem przed siebie.

Tym razem jednak wiedziałem, dokąd biegnę.

# **CZEŚĆ DRUGA**

## Rozdział dwunasty

Czy nadal słuchasz mnie z niedowierzaniem? Jesteś zdumiony? Przestraszony? A może zaczynasz się poważniej zastanawiać nad tym, co usłyszałeś? Pozwól, że będę kontynuował swoją opowieść, zostało jeszcze parę godzin do świtu.

Droga do Edenbridge nie była długa. Miałem dziwne wrażenie, że już ją kiedyś wielokrotnie przemierzałem. Gdy usłyszałem nazwę tego miasteczka na złomowisku, obudziło się we mnie jakieś wspomnienie. Nie byłem pewny, co znaczyło dla mnie to miasteczko, czy mieszkałem w nim, czy też byłem z nim związany w jakiś inny sposób. Wiedziałem jednak, że muszę się tam znaleźć i zacząć poszukiwania. Poza tym jaki inny miałem wybór?

Musiałem biec co najmniej godzinę, nieraz o mały włos unikając przejechania przez nieuważnych kierowców, nim znalazłem się na wysypisku, gdzie mogłem się w samotności wyżalić. Wcisnąłem się pod sofę, z której więcej włosów wystawało niż tkwiło w środku, i opuściłem łeb między łapy. Ciągle miałem przed ślepiami strużkę krwi wyciekającą spod zardzewiałego metalu i tworzącą wir w niewielkim zagłębieniu ziemi — miniaturę życia Rumba. Zwierzęta są obdarzone taką samą zdolnością odczuwania bólu jak ludzie, a może nawet większą. Mają ograniczone możliwości wyrażania uczucia żalu. Dzięki wrodzonemu optymizmowi potrafią szybciej odzyskać równowagę. Ja, niestety, cierpiałem jak człowiek i jednocześnie jak zwierzę. I nie było mi lekko.

Pozostałem tam do późnego popołudnia zdeorientowany i przestraszony. Dopiero głód — mój wierny towarzysz — pobudził mnie do działania. Nie pamiętam, gdzie skombinowałem jedzenie, podobnie jak zapomniałem wiele z tej podróży, wiem jednak, że nażarłem się i wkrótce wyruszyłem w drogę. Przez miasto podróżowałem nocą, wybierając ciche, boczne uliczki. Pojawiały się wtedy na nich wypłoszone zgiełkiem dnia stworzenia żyjące w ciemnościach. Spotykałem inne istoty — koty, psy, duchy (było ich na ulicach miasta mnóstwo) oraz dziwnych ludzi przemykających z cienia w cień, jak gdyby światło mogło wyrządzić im krzywdę. Unikałem kontaktu ze wszystkimi. Miałem cel i nie zamierzałem dopuścić, by cokolwiek lub ktokolwiek mnie od niego odwiódł.

Przemierzyłem Camberwell, Lewisham i Bromley, kryjąc się za dniami w zapuszczonych parkach, porzuconych domach i na wysypiskach — wszędzie, gdzie nie groziły mi badawcze spojrzenia. Po stracie Rumba, prowokującego mnie do zuchwalstwa, znów stałem się pokorny. Kpił ze mnie, gdy tchórzyłem, groził mi, gdy wypierałem się współudziału w jego planach, ale też śmiał radośnie, gdy go zaskakiwałem.

Wkrótce opuściłem miasto.

Roztoczyła się przede mną wieś w całej krasie zieleni wiosny. Nie była to jeszcze prawdziwa wieś, ponieważ ledwie opuściłem przedmieścia Londynu. Po czerniach, szarościach, brązach, czerwieniach i wszelkiej pstrokaciznie metropolii zdawało mi się, że przekroczyłem barierę, za którą królowała tylko natura, ludzie zaś odgrywali znikomą rolę. Nie obawiałem się już podróżować w ciągu dnia.

Bujność wyrastających roślin wprawiała mnie w zachwyt. Świeże zielone pędy przebijały się przez skorupę ziemi, by oddychać powietrzem, wystawały spod niej bulwy i cebulki, a na drzewach rozwijały się pąki. Pulsujące powietrze wypełniało mi płuca, dzwoniło w uszach i dodawało energii moim łapom. Zieleń i żółć były

świeższe, intensywniejsze, a czerwienie i pomarańcze płonęły niemal żywym ogniem. Wszystko lśniło, błyszczało od wilgoci. Wszystko było pełne życia, mocy, sił witalnych — nawet najdelikatniejsze kwiaty. Wstępowało we mnie nowe życie.

Przedarłem się przez żywopłot okalający drogę, ignorując protest ciernistego głogu i kłującej dzikiej róży. Dwie przerażone zięby zaskrzeczały i znieruchomiały, gdy przebiegłem koło ich malutkich skulonych sylwetek. Kiedy przedzierałem się przez glistnik, roślinę, która jako jedna z pierwszych odradza się na wiosnę, zamigotała przede mną grupka jaskrawych gwiazdek jego kwiecica. Wypadłem na pole i zacząłem biegać jak szalony po wilgotnej roli, tarzając się na grzbiecie, dopóki nie przemoczyłem sobie całego futra. Jadłem trawę, spijałem z niej czystą wodę i wykopywałem dołki, chcąc się dowiedzieć, co można w nich znaleźć. Przed moim ciekawskim nosem pryskały żuki, a krety obracały na mnie ślepe oczka. Ośmiocalowy ślimak bez skorupy zwinął się błyskawicznie w śliską szarą kulkę, gdy go powąchałem; posmakowawszy, natychmiast go wyplułem. Starannie przyrządzone ślimaki to być może dla wielu ludzi rozkosz kulinarna, ale na surowo nie nadają się nawet dla psa.

Wkrótce poczułem głód i zacząłem rozglądać się za pożywieniem. Miałem tyle szczęścia, że natrafiłem na młodego królika skubiącego korę drzewa, ale nie aż tyle, by udało mi się go dopaść. Skląłem go, że tak szybko biega, po czym zastanowiłem się, czy bym go zabił, gdyby udało mi się go dopaść. Jeszcze nigdy nie zabiłem żadnego stworzenia, by je pożreć.

Na szczęście w kępie drzew znalazłem trochę późnozimowych grzybów i z rozkoszą je pożarłem. Nie wiem, w jaki sposób orientowałem się, że te grzyby nie są trujące. Czy był to zwierzęcy instynkt, czy też ślad ludzkiej wiedzy o grzybach? Pytanie to prześladowało mnie najwyżej przez sekundę, ponieważ między łapy wlaża mi rozspana mysz leśna, nie odrywając wzroku od ziemi w poszukiwaniu ślimaków. Nie czułem chęci, by ją ścigać czy zabijać, ograniczyłem się do wymierzenia w jej rudobrazowy grzbiet przyjaznego klapsa. Mysz — był to samiec — zatrzymała się, spojrzała na mnie, po czym oddaliła się w takim samym tempie, absolutnie mnie ignorując. Przyglądałem się jej przez chwilę i zdecydowałem, że czas ruszyć się samemu. Miło było pobaraszkować, ale w niczym nie pomagało mi to w odkryciu zagadki własnej tożsamości. Przebiegłem przez pole, przelazłem przez ogrodzenie i wróciłem na drogę.

Nie minęło wiele czasu, a znalazłem się znów między sklepami i kamienicami. Zdązałem jednak dalej, zatrzymawszy się tylko na chwilę, by świsnąć jabłko ze wspaniałej wystawy przed warzywniakiem. Droga stawała się coraz bardziej mi znajoma i gdy tylko minąłem kręte miejskie uliczki, ponownie miałem wrażenie, że musiałem ją już wielokrotnie przemierzać.

Zanim dotarłem do Keston, miałem porządnie obolałe łapy, ale biegłem dalej, dopóki nie znalazłem się w małej osadzie o nazwie Leaves Green. Spędziłem tam początek chłodnej nocy pod drzewem w zagajniku. Wytrącony z równowagi nocnymi wiejskimi odgłosami musiałem w końcu poszukać schronienia w którymś ogrodzie przed domem. Czułem się o wiele spokojniejszy w pobliżu ludzkiej siedziby.

Następnego dnia niewiele jadłem, nie będę cię jednak nużył wyliczaniem moich niepowodzeń przy zdobywaniu pożywienia. Wystarczy rzec, że gdy docierałem do Westerham, byłem gotów pożreć wołu z kopytami.

W Westerham czekały na mnie niemiłe przeżycia. Muszę ci o nich opowiedzieć.

## Rozdział trzynasty

Obudziły mnie kościelne dzwony. Brzmiały tak przenikliwie, jak zazwyczaj w niedzielny poranek, co sprawiło, że moje myśli pogalopowały do innych — ludzkich — czasów.

Świadomość nędzy mojego obecnego położenia wybiła mi z głowy wspomnienia, nim zdołały przesłonić mi cały świat. Przeciągnąłem się cały, krzywiąc się z bólu, gdy stanąłem na łapy. Schroniłem się na noc na przystanku autobusowym, mimo to w kości wlał mi poranny chłód, który wcale nie chciał ich opuścić. Ziewnąłem, a w żołądku zaburczało mi z głodu. Rozejrzawszy się, stwierdziłem, że nigdzie w pobliżu nie ma sklepów, ruszyłem więc ostrożnie ulicą, wysoko podnosząc nos i czujnie węsząc w poszukiwaniu najslabszej choćby woni jedzenia. Wkrótce znalazłem się na High Street i ku swojemu przerażeniu stwierdziłem, że rzeczywiście jest niedziela, ponieważ wszystkie sklepy, z wyjątkiem kilku kiosków z gazetami, były pozamykane. Zgnębiony, prezentując zaiste żałosny widok, zatrzymałem się dygocząc z zimna na chodniku. Rozglądałem się w prawo i w lewo, głodny i nie chciany.

Dopiero ponowne bicie dzwonów podsunęło mi pewną myśl. Niewielkie grupki ludzi zmierzały spiesznie w stronę kościoła, ubrane w najlepsze niedzielne stroje. Cechowało ich pogodne usposobienie, mające przeminąć wraz z upływem dnia. Dzieciaki trzymały rodziców za ręce lub wybiegały naprzód, babcie przytrzymywały się łokci pociech w średnim wieku, posepni małżonkowie maszerowali dostojnie u boków rozpromienionych połowic. Powietrze przesiąknięte było życzliwością. Niedzielnemu rytuałowi towarzyszyła wiosenna pogoda, zachęcająca do okazywania wszystkim ludziom pogodnej twarzy i dobrej woli. Być może odnosiło się to również do psów.

Podążyłem za ludźmi do kościoła. Znajdował się na wzgórzu, na poły ukryty przed ulicą za kępą drzew; docierało się doń żwirowaną ścieżką, wijącą się przez przylegający do niego cmentarz. Parę osób zagwizdało na mnie po drodze i poklepało przyjaźnie po grzbiecie, wkrótce jednak wszyscy zniknęli w chłodnym budynku z szarego kamienia. Położyłem się na płaskim nagrobku i czekałem.

Stłumiony śpiew dobiegający z kościoła zachwyił mnie niezmiernie. Czasami włączałem się przy partiach, które były mi znajome. Wydawało mi się, że msza ciągnie się w nieskończoność i wkrótce zaczęły mnie nużyć przydługie przerwy między hymnami. Zacząłem rozglądać się po cmentarzu zdumiony, ile na tym miejscu spoczynku zmarłych mieszkało świetnie się tu czujących zwierząt i owadów. Nieomylny dźwięk wstających jak jeden mąż wiernych oderwał mnie od fascynującej obserwacji tęczowej pajęczyny. Potruchtałem z powrotem pod wielkie drzwi po trawie, by nie urażać obolałych łap. Nie musiałem długo czekać. Ze środka zaczęli się wysypywać wierni. Niektórzy byli podniesieni na duchu, inni zadowoleni, że skończył się cotygodniowy dopust boży. Potrzebny był mi raczej ktoś podniesiony na duchu.

Wkrótce kogoś takiego wypatrzyłem: drobną starszą panią, prawdopodobnie mającą około sześćdziesięciu pięciu lat, bez przerwy się uśmiechającą i chyba znaną przez wszystkich. Same koronki i uprzejmość. Wspaniale.

Spędziła kilka minut na pogawędce z wikarym, co chwila przerywając rozmowę, by pozdrowić mijających ją znajomych i udzielić im błogosławieństwa dłonią w białej rękawiczce. Odczekałem cierpliwie, aż skończyła rozmowę ze służą bożym, po czym podążyłem za nią. Uśmiechając się błogo i przystając, by zamienić kilka słów ze

spotykanymi znajomymi, kobieta w końcu oderwała się od tłumu i w podniosłym nastroju ruszyła żwirowaną ścieżką. Trzymałem się parę jardów za nią, jeszcze nie gotowy, by ją zaczepić, ponieważ nieustannie coś zajmowało jej uwagę. Gdy dotarliśmy do drogi, skręciła w lewo, wspinając się na niewielki pagórek, zasłaniający w końcu miasteczko.

— Dzień dobry, panno Birdle! — wołali ludzie, których mijaliśmy. Pani Birdle reagowała na to pogodnym uśmiechem i skinieniem głowy.

Nadszedł czas, pomyślałem i pogalopowałem przed nią. Zatrzymałem się w odległości czterech jardów, odwróciłem ku pannie Birdle i obdarzyłem ją najśłodszy z swoich uśmiechów.

— Hau — powiedziałem.

Panna Birdle wyrzuciła w zaskoczeniu dłonie w górę i rozpromieniła się z zachwytu. — Jaki śliczny piesek! — wykrzyknęła. Zamerdałem ogonem z zadowolenia i dumy. Kobieta podeszła do mnie i ujęła mój łeb w dłonie.

— Och, jaki przemiły psiak! — Pogłaskała mnie po grzbiecie. Spróbowałem polizać ją po twarzy, składając sobie w duchu gratulacje, że znalazłem następną Bellę. — Tak, tak, prześliczny! — ciągnęła kobieta.

Po kilku minutach żywiołowych czułości pożegnała się ze mną i ruszyła dalej, pomachawszy mi ręką. Pogalopowałem za nią i spróbowałem wskoczyć jej na rękę. Śliniąc się i uśmiechając rozpaczliwie starałem się wkraść w jej serce i łaski. Muszę przyznać, że czyniłem to wręcz bezwstydnie.

Panna Birdle delikatnie odepchnęła mnie od siebie i poklepała po łbie. — Bądź dobrym pieskiem i zmykaj już — powiedziała w typowy dla siebie uprzejmy sposób.

Przepraszam, Rumbo, ale w tym momencie zaskomlałem.

Co więcej, zwiesiłem łeb, opuściłem ogon i spojrzałem na nią cielęcym wzrokiem. Byłem wzruszający.

Zadziałało, ponieważ panna Birdle niespodziewanie rzekła:

— Och, biedactwo, pewnie kona z głodu! Wystarczy spojrzeć na twoje sterczące zębra! — Prawie dotknąłem brodą ziemi, demonstrując, jak tylko umiałem, swoją biedę. — No chodź, kochaniutki, chodź ze mną, zaopiekuję się tobą. Biedaczysko, wkrótce zapomnisz, co to znaczy głód!

Miałem angaż. Usiłowałem polizać jej twarz, ale powstrzymała mnie zaskakująco silną dłonią. Nie potrzebna mi była zachęta, by pójść za nią, choć pannie Birdle wydawało się to pewnie niezbędne, ponieważ bez przerwy przystawała, odwracała się, klepała po udzie i wołała: No chodź!

Czarująca staruszka kipiała energią. Wkrótce dotarliśmy przed zardzewiałą żelazną bramę, za którą widać było odchodzącą prostopadle od drogi błotnistą ścieżkę. Po obydwu stronach wąskiej ścieżki wilo się splątane poszycie, w którym hałasowały jakieś ukryte stworzenia. Wywęszyłem koło tej często używanej trasy również woń panny Birdle, nie świeżą, z domieszką woni pudru, ale zastarzałą, połączoną z zapachami wielu zwierząt. Co chwila przystawałem, by zbadać jakiś szczególnie interesujący zapach, lecz wołanie panny Birdle kazało mi podążać dalej.

Niespodziewanie znaleźliśmy się na polance przed domkiem o barwie krzemienia. Narożniki domu oraz otwory okien i drzwi były wzmocnione ociosanymi kamieniami.



Sceneria była przepiękna — jak z obrazka na opakowaniu czekolady — dokładnie też odpowiadała charakterowi panny Birdle. Zadowolony ze swojej przemyślności potruchtałem pod zniszczone kaprysmi aury drzwi i czekałem, aż panna Birdle dołączy do mnie.

Otworzyła nie zamknięte na klucz drzwi i skinęła na mnie, bym wszedł do środka. Z radością odkryłem, że wnętrze domku jest równie wytworne jak jego oryginalna fasada. Wiekowe, zużyte i wygodne meble wypełniały główny pokój. Wchodziło się do niego prosto z dworu — nie było tu sieni. Po pokoju rozstawione były zadbane bibeloty, większą część jednej ze ścian zajmował ciekawy staromodny kredens wypełniony delikatną, malowaną porcelaną. Z aprobatą zamachałem ogonem.

— Teraz zobaczmy, czy masz adres na obroży, dobrze? Potem znajdziemy ci coś do zjedzenia. — Panna Birdle odłożyła torebkę na fotel i nachyliła się nade mną. Posłusznie usiadłem, pozwalając jej obejrzeć obrożę, postanawiając za wszelką cenę nie zabić przez nadgorliwość „kury przynoszącej złote jajka”. Panna Birdle przyjrzała się oczami krótkowidza imieniu wydrapanemu na obroży i zacmokała z pewną rozterką.

— Coraz gorzej z moim wzrokiem — powiedziała do mnie i uśmiechnęła się z zakłopotaniem. Gdybym mógł, z niezmierną radością użyczyłbym trochę swojego wyśmienitego wzroku, dzięki któremu mogłem dostrzegać wiele barw składających się na obraz jej twarzy, głęboki błękit jej starzejących się oczu, kolory migoczące dookoła, nawet w spłowiałych meblach. Konieczność zatrzymania tego wszystkiego dla siebie wprawiła mnie w stan frustracji. Nawet Rumbo nie był w stanie pojąć, jak bardzo jestem wyczulony na kolory.

Panna Birdle pogrzebała w torebce, wydobyła z niej okulary w cienkich oprawkach i nakładając je na nos wymruczała: — O wiele lepiej. Patrząc przez okulary, wciąż mrużyła oczy, ale zdołała odczytać moje imię na podłużnej blaszce.

— Fuks — powiedziała. — Fuks. Śmieszne imię dla psa. I nie ma adresu. Niektórzy ludzie są bardzo beztroscy, prawda? Jeszcze nigdy cię tu nie widziałam. Zastanawiam się, skąd się wziąłeś? Założę się, że uciekłeś od pana! Pozwolisz, że przyjrę się twoim łapkom... — Podniosła moja łapę. — Tak, opuchnięte. Przebyłeś długą drogę. Źle cię traktowano, co? Chudyś jak grabie. Tak być nie powinno.

Głód sprawiał, że zaczynałem się trochę niecierpliwie. Zaskomlałem ponownie, mając nadzieję, że zrozumie te aluzje.

— Tak, tak. Wiem, czego ci potrzeba. Brzuszek jest pusty, prawda?

Szkoda, że ludzie muszą przemawiać do zwierząt jak do dzieci. Skłonny byłem jednak wszystko jej wybaczyć, nawet pogodzić się ze znacznie gorszymi rzeczoma niż ta infantylna gadanina. Postukałem ogonem po dywanie w nadziei, że potraktuje to jako twierdzącą odpowiedź.

— Oczywiście — powiedziała. — Chodź, znajdziemy coś do zjedzenia.

Kuchenka była malutka. W koszu na podłodze leżała Wiktoria pogrążona głęboko we śnie.

Wiktoria była najwstrętniejszym, najohydniejszym kotem, na jakiego trafiłem w obydwu swoich wcieleniach. Stworzenia zwane kotami znane są w świecie zwierzęcym ze swojej nieprzyzwoitości, ponieważ sądzą, że są czymś wyjątkowym i nie mogą zadawać się z byle hołotą. Ten potwór jednak mógłby nawet wśród nich być wyjątkowym okazem nieznośnej pychy. Kocica wyprężyła się jak drut, podnosząc

do góry ogon i jeżąc futro. Prychnęła na mnie z odrazą.

„Spokojnie, kotku — powiedziałem nerwowo. — Jestem tu tylko gościem”.

— Nic się nie stało, Wiktorio — rzekła panna Birdle, też zaniepokojona. — Ten biedny psiak kona z głodu. Zamierzam mu tylko dać coś do jedzenia i wyprawić w dalszą drogę.

Jednakże rozsądna argumentacja nie dociera do kotów. Wiktorcia błyskawicznie wyskoczyła z kosza na zlew i czmychnęła przez na wpół otwarte okno.

— Och, niech mnie — westchnęła panna Birdle. — Zdenerwowałeś moją Wiktorię. — I z tymi słowami urocza damulka wymierzyła mi solidnego kopniaka w żebra.

Byłem tak wstrząśnięty, że sądziłem, iż przywidziało mi się to tylko. Ból w boku przekonał mnie jednak, że to prawda.

— No, zobaczymy, co możesz dostać — powiedziała z namysłem panna Birdle, przykładając palec wskazujący do kącika ust i zaglądając do szafki, którą właśnie otworzyła. Zachowywała się, jak gdyby nic się nie stało i przez chwilę zastanowiłem się, czy tak nie było w rzeczywistości. Jednak łupanie w żebrach świadczyło, że, niestety, się stało.

Na razie więc trzymałem się od niej na bezpieczną odległość, przyglądając się bacznie, gdy stawiała przede mną miskę z siekaną wątróbką. Jedzenie było cudowne, przyjemność psuła mi jednak nieufność. Nie rozumiałem tego, co się wydarzyło. Wylizałem miskę do czysta i podziękowałem, przykładając wielką wagę do dobrych manier. Panna Birdle podrapała mnie za uszami i z zadowoleniem zamokła na widok pustej miski.

— Musiałeś być bardzo głodny, nieprawdaż? — powiedziała. — Założę się, że teraz chce ci się pić. Dam ci trochę wody.

Napełniła tę samą miskę wodą i postawiła przede mną. Wychleptałem wodę łapczywie.

— No, chodź, malutki, damy teraz odpocząć twoim biednym łapkami.

Podążyłem za panią Birdle do dużego pokoju. Poklepała włochaty dywan przed nie rozpalonym kominkiem. — Połóż się tutaj grzecznie i wygodnie, a ja rozpalę dla nas ogień. Wciąż jest jeszcze za zimno dla moich starych kości. Lubię ciepło, wiesz?

Paplała tak, przykładając zapałkę do ułożonego już w kominku drewna. Jej słowa brzmiały błogo i uspokajająco. Sprawily, że znów stałem się ufny, pewien, że dziwny incydent, jaki miał miejsce w kuchni, był z jej strony wpadką, omyłką, nietaktem wywołanym przez wstrząsający dla niej widok ukochanego kota wyskakującego w panice przez okno. Może też staruszka pośliznęła się tylko. Zdrzemnąłem się koło panny Birdle, która zasiadła przed kominkiem w fotelu; jej słowa natchnęły mnie błogim poczuciem bezpieczeństwa.

Obudziłem się na obiad. Nie był obfity, ponieważ starsza pani mieszkała sama, ale i tak dostałem dużą część z tego, co przygotowała. Kot wrócił, jeszcze bardziej wytracony z równowagi, kiedy zobaczył mnie jedzącego pożywienie, które w jego mniemaniu jemu się słusznie należało. Panna Birdle z wielkim zatroskaniem pobiegła do kuchni i przyniosła Wiktorii puszkę pokarmu dla kotów. Nałożyła go sporo na talerzyk i postawiła przed boczącą się kocicą. Spoglądając na mnie z pogróżką, Wiktorcia zaczęła pożywiać się w charakterystyczny — wykwinny, lecz drapieźny —

koci sposób, całkowicie odmienny niż niechlujne, mlaskające psie żarcie. Wkrótce uporałem się z moją działką obiadu panny Birdle i beztrudno podszedłem do Wiktorii zobaczyć, jak jej idzie. Gotów byłem pomóc jej wyczyścić talerz, gdyby była taka potrzeba. Zniechęciło mnie odstręczające prychnięcie. Zdecydowałem się rozsiaść u stóp panny Birdle, przybierając starannie wypracowany, miernie proszący wyraz pyska. Trafiło mi się jeszcze kilka smakowitych kąsków, więc moja uniżoność nie okazała się daremna. To oczywiście zdegustowało kotkę jeszcze bardziej, jednak nie przejmowałem się jej fochami.

Gdy panna Birdle sprzątnęła ze stołu i pozmywała naczynia, znów rozsiedliśmy się przed kominkiem. Wiktoria wyniosłe trzymała się z dala i ułożyła na kolanach pani dopiero po długich namowach. Wszyscy zdrzemnęliśmy się, ja z łbem spoczywającym na stopach w bamboszach mojej dobrodziejki. Było mi ciepło, czułem się zadowolony — i bardziej bezpieczny niż kiedykolwiek wcześniej. Kusiło mnie, by zostać ze starszą panią i zapomnieć o moich poszukiwaniach, mogących na mnie sprowadzić jedynie dalsze nieszczęścia. Mógłbym tu być szczęśliwy, kocica to małe zmartwienie, nic, czym trzeba by się poważnie przejmować. Potrzebowałem ludzkiej dobroci, chciałem do kogoś należeć. Straciłem drogiego przyjaciela, a dla małego mieszańca świat jest wielki i groźny. Zawsze mogłem zacząć ponowne poszukiwania mojej przeszłości, gdy tylko nauczyłbym się wieść tę egzystencję, jaka została mi przypisana. Byłbym towarzyszem dla panny Birdle. Dawałoby mi to stałą kartkę na mięso.

Takie myśli przemykały mi przez łeb podczas drzemki. Zdecydowałem w końcu, że zostanę tu tak długo, jak się to okaże możliwe.

W końcu panna Birdle się obudziła i zaczęła przygotowywać do wyjścia. — Nigdy nie opuszczam popołudniowej mszy — powiedziała do mnie.

Skinałem z aprobatą łbem, ale się nie podniosłem z wygrzanego miejsca. Słyszałem, jak starsza pani jakiś czas krząta się na górze, a później stukanie butów na schodach. Panna Birdle pojawiła się w drzwiach, doskonale się prezentując w białych rękawiczkach i ciemnoniebieskim, słomkowym kapeluszu. Miała na sobie różowy kostium i jaskrawoszmaragdową bluzkę z golfem. Wyglądała olśniewająco.

— Chodź, Fuks, czas na ciebie — powiedziała. Poderwałem łeb. A to co miało znaczyć?

„Jak to czas na mnie?“, zapytałem.

— Tak, czas na ciebie, Fuks. Nie mogę cię zatrzymać, należysz do kogoś innego. Może nie szuka cię zbyt gorliwie, ale należysz do niego. Miałabym kłopoty, gdyby cię tu odkryto, więc obawiam się, że musisz odejść. — Potrząsnęła głową przepraszająco i ku mojemu przerażeniu złapawszy mnie za obrozę, pociągnęła ku drzwiom. Jak na starszą osobę miała dużo siły. Nic mi nie pomogło zapieranie się łapami o podłogę. Wiktoria ucieszyła się, gdy zobaczyła, że jestem wleczony do wyjścia i z satysfakcją śmiała się na parapecie.

„Proszę mi pozwolić zostać — błagałem pannę Birdle. — Nie należę do nikogo, jestem sam”.

Na nic to się zdało — znalazłem się na progu. Panna Birdle zamknęła drzwi i ruszyła ścieżką, nawołując mnie za sobą. Nie miałem wyboru, więc ruszyłem za nią.

Przy bramie poklepała mnie po łbie i odepchnęła lekko od siebie.

— Zmykaj — ponagliła mnie. — Do domu! Bądź posłuszny, Fuks.

Ani myślałem się ruszyć z miejsca. Po paru minutach panna Birdle dała mi spokój i podreptała swoją drogą.

Obejrzała się jeszcze dwukrotnie, zanim dotarła na szczyt pagórka, chcąc się upewnić, że nie idę za nią. Odczekałem cierpliwie, aż zniknęła mi z oczu, po czym precyzyjnie się pod bramą i wróciłem błotnistą ścieżką do domku. Wiktoria zobaczywszy mnie przez okno, zaczęła krzyczeć, żebym sobie poszedł.

„Za Chiny — powiedziałem, siadając na tylnych łapach. Miałem zamiar czekać na powrót starszej pani. — Podoba mi się tutaj. Dlaczego miałabyś mieć to wszystko dla siebie?”

„Bo byłem tu pierwsza — odrzekła Wiktoria z rozdrażnieniem. — Nie masz żadnego prawa tu zostać”.

„Słuchaj, swobodnie możemy mieszkać tu oboje — powiedziałem, starając się być rozsądnym. — Moglibyśmy zostać przyjaciółmi. — Zadrzałem na myśl o zawarciu przyjaźni z tą wstrętną kreaturą, ale byłem gotów upokorzyć się, byle tylko zostać w tym miłym, przytulnym domku. — Nie wchodziłbym ci w paradę — powiedziałem najprzymilniejszym tonem, na jaki było mnie stać. — Mogłabyś pierwsza sobie wybierać najsmaczniejsze kaski, ile byś chciała (dopóki nie zaznajomiłbym się lepiej ze starszą panią, pomyślałem). Wybrałabyś sobie najlepsze miejsce do spania (dopóki nie wkradłbym się w łaski panny Birdle). Mogłabyś grać pierwsze skrzypce w domu, nie przeszkadzałoby mi to (dopóki nie zostalibyśmy kiedyś sami, wtedy pokazałbym ci, kto tu naprawdę jest szefem). I co ty na to?”

„Spadaj”, powiedziała kotka.

Dałem sobie spokój. Będzie musiała pogodzić się z moją obecnością w domu.

Panna Birdle wróciła mniej więcej godzinę później. Na mój widok zaczęła kręcić głową. Obdarzyłem ją swym najbardziej proszącym uśmiechem.

— Jesteś wredne psisko — skarciła mnie, lecz w jej głosie nie słychać było gniewu.

Wpuściła mnie do domku. Zacząłem bardzo gorliwie lizać jej stopy w pończochach. Smakowały obrzydliwie, ale skoro zdecydowałem się płaszczyć, to zamierzałem robić to do końca. Żałowałem, że nie stać mnie na taką godność jak Rumba, ale nic tak nie skłania do pokory, jak brak poczucia bezpieczeństwa.

Cóż, zostałem na tę noc. i na następną. Jednak trzeciego wieczoru moje kłopoty zaczęły się na dobre.

\* \* \* \* \*

O dziewiątej trzydzięci panna Birdle wypuszczała mnie na dwór, bym posłusznie dopełnił toalety. Wiedziałem, że tego się po mnie spodziewa, i za nic nie miałem zamiaru nawalić (przepraszam za kalambur — był nieumyślny).

Po chwili wpuszczała mnie z powrotem do domu i zamykała na noc w małym pokoiku na tyłach domku, gdzie przechowywała najrozmaitsze graty. Większość z nich nie nadawała się do gryzienia. Stały tam stare ramy od obrazów, fortepian, stareńka odłączona kuchenka gazowa i tym podobne graty.

Było tam tylko tyle miejsca, bym mógł zwinąć się pod klawiaturą fortepianu. Tam spędzałem noce, zrazu w wielkiej niewygodzie i przestraszony (pierwszą noc

przeplakałem, ale drugą jakoś wytrzymałem). Panna Birdle zamykała drzwi, by nie dopuścić mnie do Wiktorii, która nocowała w kuchni. Nie zawarłem przyjaźni z kocicą i panna Birdle doskonale zdawała sobie z tego sprawę.

Trzeciego wieczoru starsza pani nie zamknęła dokładnie drzwi. Rygiel nie zaskoczył i drzwi były uchylone. Prawdopodobnie nic by z tego nie wynikło, gdyby w środku nocy nie obudził mnie hałas. Ktoś tłukł się po kuchni. Mam lekki sen i nawet cichy odgłos kroków potrafił mnie zbudzić. Podpełzłem do drzwi i uchyliłem je powoli nosem. Dźwięk zdecydowanie dobiegał z kuchni. Stwierdziłem, że to zapewne Wiktorii się po niej kręci, i wróciłbym prawdopodobnie na swoje legowisko, gdyby nie dwaj agitatorzy — głód i pragnienie — którzy podburzyli mój żołądek. Wyprawa do kuchni mogłaby się okazać owocna.

Wypełzłem po cichu z rupieciarni i przeszedłem przez korytarzyk prowadzący do kuchni. Panna Birdle zawsze zostawiała w nim zapaloną małą lampkę (podejrzewam, że trochę się bała, ponieważ mieszkała sama). Nie miałem kłopotów z dotarciem do otwartych drzwi do kuchni.

Wepchnąwszy w nie nos, rozejrzałem się w ciemnościach. Przestraszyłem się na widok dwóch skośnych ślepi.

„To ty, Wiktorio?”, zapytałem.

„A niby kto!”, padła swarliwa odpowiedź.

Wsunąłem się głębiej.

„Co robisz?”

„Nie twój interes. Wracaj do swojego pokoju.”

Dostrzegłem jednak, czym zajmuje się Wiktorii. W łapach trzymała niewielką mysz polną. Schowawszy pazury, najwyraźniej igrała z nieszczęsnym stworzeniem, którego grzbiet wygięty był w łuk z paraliżującego strachu, a drobniutkie czarne ślepek lśniły jak zahipnotyzowane. Mysz musiała wleźć do domu w poszukiwaniu jedzenia. Brak myszy domowych (bez wątplenia wynik czujności Wiktorii) był dla niej zachętą, może też była zbyt głupia (lub głodna), by zdać sobie sprawę z obecności kota. W każdym razie nie miała co do tego obecnie żadnych wątpliwości; płaciła surową cenę natury za brak ostrożności.

Mysz — ten mysz — był przerażony, przyjąłem więc na siebie rolę jego rzecznika.

„Co zamierzasz z nim zrobić?”

„Nie twój interes”, padła zwięzła replika.

Wszedłem dalej do kuchni i powtórzyłem pytanie. Tym razem musiałem się zadowolić świszczącym prychnięciem zamiast odpowiedzi.

W naturze zwierząt nie leży współczucie dla swoich pobratymców, ale żalosne położenie bezbronnyego stworzenia zaapelowało do drugiej strony mojej natury — ludzkiej.

„Puść go, Wiktorio”, powiedziałem spokojnie.

„Pewnie, gdy tylko odgryzę mu łeb”, rzekła.

Co rzekłszy, zabrała się do spełnienia swej groźby, byle tylko mnie zirytować.

Błyskawicznie rzuciłem się w stronę Wiktorii i zacisnąłem szczęki na jej łbie. Zaczęliśmy się szamotać: mysz z łebkiem w paszczy kota, kot z głową w moim pysku.

Zmusiłem Wiktorię, by wypuściła z pyszczka przerażoną mysz polną, zanim wyrządziła jej poważniejszą krzywdę. Z satysfakcją ujrzałem, jak przerażone stworzonko smyrga w ciemny kąć, gdzie bez wątpienia znajdowała się dziura. Wiktoria pisnęła i wyrwała łeb z mojego pyska, orając mi pazurami mostek. Zaskomlałem czując żądający ból i rzuciłem się na nią ponownie, tym razem rozwścieczony nie na żarty.

Zaczęliśmy ganiać w kółko po kuchni, przewracając krzesła, wpadając z rozpędu na szafki, krzycząc i wrzeszcząc na siebie. Ogarnął nas zbyt wielki zwierzęcy gniew, byśmy zważali na czyniony hałas i wyrządzane szkody. W pewnym momencie udało mi się złapać koniec ogona Wiktorii. Kotka zahamowała w miejscu, wydając z siebie okrzyk zaskoczenia. Obróciła się i przejechała ostrymi pazurami po moim pysku. Musiałem ją puścić, ale od tej chwili koniuszek ogona miała łysy. Rzuciłem się za nią, lecz Wiktoria wskoczyła na suszarkę do naczyń, strącając stertę statków pozostawionych przez pannę Birdle. Porcelana roztrzaskała się na kamiennej posadzce w drobny mak. Usiłowałem także wskoczyć na zlew i prawie mi się to udało, gdy nagle widok Wiktorii czmychającej łbem naprzód przez zamknięte okno zaskoczył mnie tak bardzo, że straciłem równowagę i ześliznąłem się na podłogę. Jeszcze nigdy nie widziałem, by kot — czy jakiegokolwiek inne zwierzę — zrobiło coś takiego!

Leżałem na podłodze całkiem oszołomiony, gdy nagle w drzwiach pojawiła się postać w białej nocnej koszuli. Na widok zjawy zamarłem na chwilę, dopiero potem uświadomiłem sobie, że to panna Birdle. Wtedy zamarłem ponownie.

Jej oczy zdawały się ciskać błyskawice w ciemności. Siwe włosy zwisały bezładnie na ramiona, a powiewna koszula nocna trzeszczała naelektryzowana. Cała dygotała od narastającej furii, przez co zdawało się, że jej kruche ciało rozsypie się na kawałki. Otwarte usta drżały, ale nie dobywały się z nich żadne słowa. Zdolna była jedynie do nieartykułowanego gulgotania. Zdołała jednak unieść drżącą rękę i włączyć światło. Jaskrawe oświetlenie ukazało mnie leżącego pośród roztrzaskanej zastawy.

Przełknąłem ślinę i spróbowałem przeproszać. Gotów byłem zwalić na kotkę winę za wszystko, jednak skrzeczenie, które wydobywała z siebie starsza pani, przekonało mnie, że w tej chwili nie mam co sobie strzepić języka. Zwiąłem pod kuchenny stół.

Niestety, marna to była osłona. Obuta w elegancki bambosz stopa zderzyła się z moimi żebrami ze stuprocentową dokładnością. Jeszcze parę razy oberwałem po bokach, zanim wpadłem na pomysł, że lepiej zmykać spod stołu. Rzuciłem się w stronę otwartych drzwi, nieludzko przestraszony zachowaniem przemilej staruszki. Przemiała staruszka cisnęła za mną krzesłem. Zawyłem, gdy spadło mi na grzbiet. Panna Bridle ruszyła za mną, wymachując dziko ramionami. Kopniakami i ciosami pięści prawie pozbawiła mnie przytomności. Byłem przerażony, ile wykazywała przy tym siły. Złapała mnie za obrożę, powlokła do zagraconego pokoju „gościnnego”. Wrzuciła do środka i zatrzasnęła za mną drzwi. Zza drzwi usłyszałem stek wyzwisk. Staruszka używała języka, do którego przywykłem na złomowisku Szefa, ale którego nie spodziewałem się usłyszeć w przytulnym wiejskim domku z ust przemilej starszej damy. Leżałem dygocząc i rozpaczliwie starając się zachować kontrolę nad jelitami i pęcherzem. Wystarczająco już popadłem w niełaszkę.

Spędziłem okropną noc. Nikt lepiej ode mnie nie zdaje sobie sprawy z trafności powiedzenia „pieski żywot”. Sądzę, że żadne inne zwierzę nie przechodzi takiej huśtawki nastrojów co pies. Może sami sobie przysparzamy kłopotów, może jesteśmy przeczuleni, a może po prostu głupi. Może jesteśmy zbyt „ludzcy”.

Prawie nie spałem. Spodziewałem się, że lada chwila otworzą się drzwi i do środka wpadnie prastary demon, by wymierzyć mi dalszy ciąg kary. Drzwi jednak pozostały zamknięte. Przez trzy kolejne dni.

Skamlałem, wyłem, gniewałem się i warczałem, nic to jednak nie dało. Zanieczyszczyłem podłogę i płakałem, ponieważ wiedziałem, że czekają mnie przez to kolejne kłopoty. Zdychałem z głodu i przeklinałem mysz, przez którą wpadłem w takie opały. Paliło mnie w gardle, bo nie miałem nic do picia i przeklinałem złośliwego kota, który wpakował mnie w takie położenie. Łapy zesztyniały mi z braku ruchu i przeklinałem pannę Birdle za starczą sklerozę. Jak mogła zmieniać się z dnia na dzień z czarującej, delikatnej starszej pani w szalejące monstrum? Dobrze, zgadza się, że w pewnym stopniu byłem winny — istotnie, jej kot wyskoczył przez okno, rozbijając szybę — ale czy to był wystarczający powód, żeby głodzić mnie w zamknięciu? Litowałem się nad sobą, wpadłem w czarną rozpacz, okresowo przemieniając się we wściekłość i z powrotem w żal.

Trzeciego dnia klamka zaskrzypiała, obróciła się i drzwi powoli się uchyliły.

Skuliłem się pod fortepianem, ledwie ważąc się podnieść wzrok. Gotów byłem przyjąć kolejne lanie z godnością.

— No chodź, Fuks. Gniewasz się? — Panna Birdle uśmiechała się do mnie słodkim, babcinym uśmiechem. W jej spojrzeniu widniała łagodność charakterystyczna wyłącznie dla ludzi bardzo młodych i bardzo starych. Westchnąłem i odmówiłem wyjścia.

— Chodź już, Fuks. Przebaczyłam ci wszystko.

Aha, pomyślałem, aż do kolejnego napadu.

— Chodź, zobacz, co ci przyniosłam. — Panna Birdle zostawiła otwarte drzwi i przeszła do kuchni, wołając mnie kusząco. Doszła mnie woń mięsa i z opuszczonym ogonem ostrożnie podążyłem śladem starszej pani. Zastałem ją przy wykładaniu do miski na posadzce całej puszkę pokarmu dla psów.

Ja mogłem być niepokorny, ale mój żołądek był innego zdania, nalegał, żebym wszedł do kuchni i się najadł. Co oczywiście zrobiłem, ograniczając walkę ze sobą do niezbędnego minimum. Jednak cały czas uważnie śledziłem zachowanie starszej pani. Wkrótce uporałem się z jedzeniem i wodą, które od niej dostałem, ale moje zdenerwowanie nie przeminęło tak szybko. Wiktoria przyglądała mi się przez cały czas z koszyka stojącego w rogu kuchni, powoli wyginając ogon w jedną i drugą stronę, co świadczyło o chłodnej furii. Nie zwracałem na nią uwagi, właściwie jednak byłem zadowolony, że skok przez okno nie wyrządził jej poważniejszej krzywdy. (Przyjemność sprawił mi również widok jej gołego koniuszka ogona).

Skuliłem się i odsunąłem, gdy panna Birdle wyciągnęła do mnie rękę. Jej spokojne słowa rozluźniły jednak moje napięte nerwy. Pozwoliłem się jej pogłaskać i wkrótce znów zostaliśmy przyjaciółmi. Pozostaliśmy nimi jeszcze przez następne dwa tygodnie.

Wiktoria starała się nie wchodzić mi w drogę i muszę przyznać, że ze swej strony również dokładałem starań, by ją omijać. Biegałem za panną Birdle, gdy szła na zakupy do miasteczka, zawsze starając się przy tych okazjach zachowywać jak najprzystojniej. Pokusa, by coś ściągnąć, była niemal nie do odparcia, jednak jakoś sobie z nią radziłem. Byłem w miarę dobrze karmiony i wkrótce zapomniałem o całym incydencie z Wiktoria i myszą. Panna Birdle przedstawiła mnie wszystkim

swoim przyjaciółkom i przyjaciołom (zdawało się, że zna wszystkich w miasteczku); byłem bardzo hołubiony. Popołudniami uganiałem się po polach za domkiem, dokuczając mieszkającym tam zwierzętom, wdychając słodczy pachnącego kwiecica i rozkoszując się ciepłem nadchodzącej wiosny. Roztaczały się przede mną coraz to nowe barwy, coraz to nowe zapachy drażniły moje powonienie; życie znów stało się dobre. Byłem coraz zdrowszy. Dwa tygodnie szczęścia — a potem kotu znów udało się wszystko zepsuć.

Było słoneczne popołudnie. Panna Birdle krzątała się we frontowym ogródku, doglądając kielkujących kwiatów. Wchodziłem i wychodziłem przez otwarte drzwi, sycąc się radością z przebywania w domu, w którym miałem wolną rękę (łapę?). Za trzecim czy czwartym przejściem przez drzwi podeszła do mnie Wiktoria. Powinieniem wyczuć, że coś się święci, ponieważ z krzywym uśmiezkiem wszczęła ze mną rozmowę. Jak ostatni idiota chcąc wszędzie, gdzie się da, zjednywać sobie przyjaciół, dałem sobie spokój z podejrzliwością i rozłożywszy się na wycieracze, zacząłem odpowiadać na jej pytania, gotując się do miłej pogawędki. Jak już powiedziałem, koty podobnie jak szczury nie są specjalnie rozmowne. Byłem zadowolony, że Wiktoria się stara. Ocenilem, że pogodziła się wreszcie z moją obecnością w domu i pragnie jak najlepiej ułożyć nasze stosunki. Pytała mnie, skąd przychodzę, czy znam inne koty, czy lubię ryby — tego rodzaju czczą konwersacją. Przez cały jednak czas szperała spojrzeniem żółtych ślepi po pokoju, jak gdyby czegoś się spodziewała. Kiedy w końcu jej wzrok spoczął na kredensie z elegancką porcelaną, uśmiechnęła się do siebie. Wtedy przyszła pora na obelgi: czego tu szuka taki parszywy kundel jak ja? Czy wszystkie psy są tak głupie jak ja? Dlaczego tak śmierzdę? i inne podobne uprzejmostki. Mrugałem ślepiami, zaskoczony nagłą zmianą jej zachowania. Czyżbym ją czymś obraził?

Podeszła bliżej, tak że znaleźliśmy się niemal nos w nos, i utkwiała we mnie pełne napięcia spojrzenie.

„Jesteś brudnym, zapchlonym, lizusowskim, robaczywym kundlem! Jesteś złodziejem i bandytą! — Spojrzała na mnie z pewną satysfakcją. — Twoją matką była hiena, która spółkowała z szakalem! Jesteś prostak i cham!”

Jest wiele obelg, którymi można bezkarnie obrzucić psa, ale z jedną nigdy się nie pogodzi, na jedną zawsze się obrazi. Właśnie o tę chodzi — b r u d a s! (Naturalnie, często jesteśmy brudni, ale nie lubimy, kiedy się nam to wypomina). Warknąłem, żeby się zamknęła.

Wiktoria oczywiście nie zwróciła na to uwagi i kontynuowała potok obelg. Rzuciła oszczerstwa niegodne zacytowania. Niektóre z nich były bardzo wyrafinowane jak na kogoś o tak ubogim słownictwie. Mimo to zniósłbym pewnie wylewane przez nią pomyje, gdyby w końcu nie napluła mi w pysk. Rzuciłem się na nią, o co jej oczywiście chodziło.

Skoczyła na kredens, miaucząc i prychając. Usiłowałem wspiąć się za nią, wrzeszcząc na całe gardło, sam wyszukując dość pomysłowe obelgi. Wiktoria cofała się po kredensie, podczas gdy ja bezskutecznie starałem się do niej dobrać. W końcu, gdy skuliła się pod ścianą, przewróciły się zdobione talerze, balansujące na brzegach na pierwszej półce.

W drzwiach pojawił się cień, ale półgłówkę (a jak mnie inaczej nazwać?) szczekał dalej na miauczącego kota. Obecność panny Birdle uświadomiłem sobie dopiero wówczas, gdy oberwałem po grzbiecie. Rzuciłem się w stronę drzwi, ale starszej pani



jak gdyby wyrosły skrzydelka u pięt, ponieważ znalazła się przy nich przede mną. Zatrzasnęła je i odwróciła się w moją stronę, ściskając jak lancę grabie w węzłastej dłoni. Ich zębaty koniec prawie dotykał mojego nosa. Spojrzałem pannie Birdle w twarz i ścisnęło mnie w gardle.

Oblicze starszej pani przybrało paśową barwę. Drobne popękane żyłki na jej czole zdawały się nabrzmiewać jak ropuchy, a niegdyś łagodne oczy napierały na oczodoły, jak gdyby lada chwila miały z nich wyskoczyć i stoczyć się po policzkach. Ruszyłem się ułamek sekundy przed nią i dzięki temu grabie rąbnęły w podłogę zaledwie o cale ode mnie. Wykonaliśmy błyskawiczną rundkę dookoła pokoju, podczas gdy kocica przyglądała się nam z szerokim uśmiechem na pyszczku z bezpiecznego schronienia na wierzchu kredensu. Przy trzecim okrążeniu panna Birdle dostrzegła kotkę i wymierzyła jej cios grabiami (podejrzewam, że nie za jej bezczelność, wynikało to raczej ze złości, że nie mogła się dostać do mnie). Wiktoria dostała tak, że zatrzeszczały jej kości, i jak kula armatnia została zdmuchnięta na podłogę, dołączając do mnie. Niestety (dla nas) machnięcie grabiami strąciło z kredensu jeszcze kilka sztuk zastawy, włącznie z wiszącymi filizankami i małą antyczną wazą. Podążyły śladem kota, ale oczywiście nie zaczęły się z nami bawić w berka, lecz rozbite legły beż życia tam, gdzie upadły.

Pełen wściekłości wrzask za nami oznaczał, że nie należy się spodziewać poprawy położenia: panna Birdle teraz dopiero wpadła w szal! Wiktoria wybrała na swoje schronienie wąską przestrzeń między sofą a frontową ścianą przy oknie. Wepchnąłem się za nią, w pośpiechu o mało nie włączając jej na plecy. Było tu ciasno, ale udało się nam pokonać połowę pogrążonego w półmroku szlaku. I tu zatrzymaliśmy się, dygocząc. Gdybyśmy przesuwali się dalej, wynurzylibyśmy się po drugiej stronie.

„To twoja wina”, powiedziała faryzeuszowskim tonem kotka.

Nim zdołałem zaprotestować, poczułem na zadzie koniec trzonka od grabi. Zostałem nagle pchnięty w wyjątkowo bolesny i niegodny sposób. Spleceni w bezładny kłęb zaczęliśmy przepychać się do drugiego końca wąskiego tunelu. Cel pomagały nam osiągnąć brutalne szturchnięcia od tyłu. Razem wypadliśmy zza sofy. Starsza pani natychmiast rzuciła się nam na spotkanie.

Będąc większym celem zdecydowanie częściej obrywałem grabiami, miło mi jednak stwierdzić, że panna Birdle nie zaniebdywała także swojej kotki. Bawiliśmy się tak jeszcze przez parę minut w kucanego berka, nim Wiktoria zdecydowała, że lepiej salwować się ucieczką przez komin. Ona do góry — sadza w dół. Kłęby, które buchnęły z kominka, były wręcz niesamowite. Zaiste piekielne. Nie poprawiło to humoru panny Birdle, sadza bowiem osiadła ciemną warstwą na wszystkim dookoła kominka.

Do zwyczajów starszej pani należało układanie drewna każdego poranka i rozpalanie go wieczorami, nawet wtedy, gdy się ociepliło. Tym razem zdecydowała się jednak pospieszyć z wykonaniem dziennego rozkładu. Zabrała się do rozpalania ognia.

Przypatrywałem się ze zgrozą, jak papier czernieje i zajmują się ogniem szczapki drewna. Zapomniawszy na razie o mnie, panna Birdle zasiadła na fotelu przed kominkiem, złożony w gotowości grabie na kolanach. Wpatrywaliśmy się w kominek — panna Birdle z nieubłaganą zawziętością, ja z krańcową zgrozą. W pokoju panował totalny bałagan, zniknęły resztki przytulności.

Płomienie zaczęły lizać drwa, dym buchnął w górę, z komina posypała się znów

sadza i dobiegło nas krztuszenie się. Kot siedział w środku niezdolny wspiąć się wyżej. Zesztywniałe usta panny Birdle wykrzywiły się w okrutnym uśmiešku. Czekaliśmy w ciszy przerywanej jedynie potrzaskiwaniem płonącego drewna.

Na odgłos stukania do drzwi oboje podskoczyliśmy.

Panna Birdle odwróciła głowę. W jej spojrzeniu dostrzegłem panikę. Stukanie powtórzyło się, stłumiony głos zawołał: — Panno Birdle, jest tam pani?

Starsza pani rzuciła się do działania. Grabcie wepchnęła za sofę, postawiła poprzewracane fotele, a rozbitą porcelanę zmiotła pod jeden z foteli. Tylko wybrudzony sadzą dywan i pewien nieporządek wskazywały, że w pokoju działo się coś odbiegającego od normy. Panna Birdle odczekała jeszcze kilka sekund. Poprawiła fryzurę, doprowadziła do ładu swoje ubranie, po czym podeszła do drzwi.

Wikary z uniesioną już do kolejnego zapukania dłonią uśmiechnął się przepraszająco do panny Birdle.

— Bardzo przepraszam, że przeszkadzam — powiedział. — Przychodzę w sprawie kwiatów na niedzielną uroczystość. Czy możemy liczyć na pani udział w tym roku, panno Birdle? Nie wątpię, że i tym razem cudownie je pani ułoży.

Starsza pani uśmiechnęła się do niego słodko.

— Oczywiście, księżu Shelton. Czy kiedykolwiek zawiodłam?

Przemiana, jaka się w niej dokonała, była zdumiewająca: demon-prześladowca zamienił się z powrotem w wiekowego anioła niewinności. Wdzięczyła się i łąsiła do wikarego, a wikary wdzięczył się i łąsił do niej; a kot przez cały czas wędził się w kominie.

— To jest ten pani przybłąkany towarzysz? — usłyszałem pytanie wikarego.

— Och, bardzo sobie chwali pobyt u mnie — powiedziała panna Birdle. Miała na tyle beczelności, że odwróciła się i uśmiechnęła do mnie.

— Chodź, Fuks, przywitaj się z księdzem wikarym.

Pewnie powinienem był podbiec do osoby duchownej i zacząć lizać jej dłoń, merdając ogonem dla okazania, jak bardzo mnie cieszy jej widok. Byłem jednak tak wstrząśnięty, że stać było mnie jedynie na ukrycie się za fotelem.

— Aha, nie lubi obcych, prawda? — zachichotał wikary.

Nie byłem pewny, czy mówi do panny Birdle, ponieważ jego głos nabrał prostackiego tonu, jakiego ludzie zazwyczaj używają przy zwracaniu się do zwierząt. Obydwoje wpatrywali się we mnie z czułością.

— Tak, Fuks jest bardzo lękliwy — powiedziała panna Birdle głosem ociekającym miodem.

— Czy policja odnalazła jego właściciela? — spytał wikary.

— Konstabl Hollingbery powiedział mi nie dalej jak wczoraj, że nikt nie zgłosił meldunku o jego zaginięciu, więc sędzę, że ktokolwiek był panem Fuksa, nie tęskni za nim przesadnie.

Obydwoje zacmokali ze współczuciem i popatrzyli w moją stronę z wywracającą trzewia litością.

— Trudno — powiedział pogodnie wikary. — W każdym razie znalazł się teraz

w dobrym domu. Nie wątpię, że to docenia. Na pewno to dobry piesek, prawda? — zwrócił się bezpośrednio do mnie.

O tak, pomyślałem. A kicia to bardzo dobry kotek. Dobrze uwędzony.

— Och, panno Birdle, zdaje się, że tu pełno dymu. Zapchał się pani komin?

Starsza pani zaśmiała się i bez zmrużenia oka powiedziała: — Ach, nie, zawsze tak jest, gdy pale po raz pierwszy po dłuższej przerwie. Trochę trwa, zanim w kominie zrobi się porządny ciąg.

— Trzeba by się tym zająć, panno Birdle. Nie warto niszczyć takiego przemilego mieszkanka paskudnym dymem. Przyślę jutro mojego parobka, żeby się tym zajął. A co do spotkania Koła Gospodyń w przyszłym tygodniu...

W tym właśnie momencie Wiktoria wypadła ze swego ukrycia.

Wikary wpatrywał się z rozdziawionymi ustami w pokrytego sadzami kota, który prychając i wrzeszcząc spadł w ogień, po czym wyprysnął z niego prosto w otwarte drzwi. Wiktoria przemknęła koło wikarego tak szybko, że mógł jedynie przyglądać się w osłupieniu, jak tłące się, szerniałe zwierzę znika, pozostawiając za sobą smugę rzędnącego dymu. Z wciąż otwartymi ustami wikary przeniósł spojrzenie na starą parafiankę i pytająco uniósł brwi.

— Cały czas zastanawiałam się, gdzie zniknęła Wiktoria — powiedziała panna Birdle.

\* \* \* \* \*

Kot już nie wrócił, przynajmniej dopóty, dopóki nie opuściłem panny Birdle. Poważnie wątpię, czy Wiktoria zrobiła to kiedykolwiek. Życie w domku potoczyło się dalej w swój normalny szalony sposób; moja dobrodziejka zapomniała o całym incydencie, jak gdyby się nigdy nie wydarzył. Przez następny tydzień kilkakrotnie stawała we frontowych drzwiach i nawoływała Wiktorię, podejrzewam jednak, że ta była już parę hrabstw dalej (wciąż prześladują mnie koszmary, w których tłąca się Wiktoria kręci się niedaleko w ciemnościach, obserwując mnie). Wkrótce jednak panna Birdle zapomniała zupełnie o Wiktorii i całą uwagę poświęciła mnie. Chyba nie będzie w tym nic dziwnego, jeśli powiem, że nie mogłem jej już obdarzyć pełnym zaufaniem. Czas spędzałem na niespokojnym wyczekiwaniu na kolejny wybuch. Czuję się jak na polu minowym, czyniłem wszystko, by powściągać swojego niespokojnego ducha. Przychodziło mi do głowy (łba), by ją opuścić, muszę się jednak przyznać, że pokusa dobrej strawy i wygodnego legowiska była silniejsza niż lęk przed tym, co może się jeszcze wydarzyć. Jednym słowem, byłem głupi (Rumbo miał rację). Sam jestem zdumiony, jak idiotyczna okazała się moja kolejna omyłka.

Pewnej nocy na skraju kuchennego zlewu znalazłem sympatyczny, nadający się do zucia plastikowy przedmiot. Po zniknięciu Wiktorii kuchnia stała się teraz moją sypialnią, a jej kosz moim legowiskiem. Często myszkowałem po niej nocami lub bladym porankiem. i tej nocy miałem szczęście: znalazłem coś do zabawy. Niezbyt twardy, nie za miękki przedmiot, skrzypiący, kiedy zaciskało się na nim zęby. Nie nadawał się do zjedzenia, przyjemnie było jednak patrzeć na jego różową powierzchnię z białymi, karbowanymi brzegami. Miałem dzięki niemu zabawę na długie godziny.

Kiedy jednak następnego poranka panna Birdle weszła do kuchni, nie wykazywała

najmniejszych objawów rozbawienia. Jej bezzębne usta rozwarły się, by wydać niemy krzyk wściekłości. Gdy ujrzałem nagie dziąsła, uświadomiłem sobie, co leży przede mną przeżute, powykręcane i zszargane.

— Moje fępy! — wykrztusiła z siebie panna Birdle po pierwszym bezgłośnym okrzyku. — Moje fhtuthne fępy!

W jej oczach pojawił się dobrze mi znajomy błysk.

Zgadza się, jestem głupi. Tak głupi, że czasami sam siebie zdumiewam. Dla najgłupszego nawet psa nadchodzi jednak chwila, w której wie dokładnie, co powinien zrobić. Tak było i ze mną.

Wyskoczyłem przez okno tak samo jak Wiktoria (już przez nową szybę). Przerazenie pomogło mi dokonać to, czego nie udało mi się poprzednim razem (to znaczy wskoczyć na zlew). Widok panny Birdle sięgającej po długi nóż do rozbierania mięsa, wiszący pomiędzy jej kulinarnymi pomocnikami, świadczył, że zanosi się na jej największy napad. Stwierdziłem, że nie warto czekać, by dowiedzieć się, jaki będzie miał przebieg.

Przeskoczyłem przez kwiaty, przelazłem przez krzaki, po czym wypadłem na otwarte pola. Przerazający widok panny Birdle w długiej białej koszuli nocnej, goniącej za mną ze złowieszczą wyglądającym nożem kuchennym w ręku, pomógł mi w pokonaniu sporego dystansu. Bez wątplenia posiadanie czterech nóg pomaga w ciągłych ucieczkach.

Oddaliłem się na znaczną odległość od wiejskiego domku i wyczerpany zwałem się na ziemię, podjąwszy solenne postanowienie, że nigdy już tam nie wrócę. Nawet pies nie zasługiwał na taki żywot. Zadrzałem na myśl o schizofrenicznej damulce, tak czarującej w jednej chwili, a tak krwiożerczej w następnej. Czy wszystkie przyjaciółki panny Birdle dawały się zwieść jej staromodnej uprzejmości, czarującemu staropanieństwu? Czy nikt nie dostrzegał tego, co tkwiło pod tą pozłotą, gotowego do wychynięcia na wierzch przy najdrobniejszej prowokacji? Podejrzewam, że nie. Wydawało się, że jest powszechnie lubiana przez mieszkańców miasteczka. Wszyscy kochali pannę Birdle. I panna Birdle kochała wszystkich. Któż by podejrzewał, że zniewalająca swym wdziękiem starsza pani ma w sobie choćby najdrobniejszą żyłkę okrucieństwa? Komuż przysłoby to do głowy? Znajac uroczą stronę jej osobowości nawet mnie było trudno uwierzyć, że jej uprzejmość mogła zmienić się w brutalność. Przyrzekłem sobie, że już nigdy nie zaufam rozkoszным starszym paniom. Jak wytłumaczyć takie zwichrowanie ludzkiej natury? Co czyniło ją dobrą w jednej chwili, a złą w następnej? To zupełnie proste. Miała nie po kolei w głowie.

## Rozdział czternasty

Pieski żywot, pogoda pod psem, psu na budę, na psa urok, pies na baby, gryźć się jak psy, nie dla psa kielbasa, kochać jak psy dziada w ciasnej ulicy, pies na sianie, tu jest pies pogrzebany, psim śwędem, użył jak pies w studni — dlaczego tak często się nas obraża? Nie mówi się kreci żywot, królikowi na norę czy żaba na baby. Prawda, używa się czasami nazw gatunków zwierząt na określenie ludzkich cech — zając (tchórz), małpa (ktoś obrzydliwy), geś (idiotka), odnoszą się one jednak do poszczególnych osób, nie rozciągają się jak odium na cały gatunek. Jedynie psy szarga się bezustannie — no właśnie, wiesz na nich psy. Nazw zwierząt używa się nawet czasem jako komplementów: słoń nigdy nie zapomina (nieprawda), szczęśliwy jak skowronek (bzdura), odważny jak lew (zdecydowanie nieprawda), mądry jak sowa

(czyste kpiny). Gdzie jednak komplementy dla psów? A mimo to ludzie nas lubią, hołubią i uważają za najlepszych przyjaciół. Strzeżemy człowieka, służymy mu za przewodnika, potrafimy się z nim bawić i polować. Urządzenie nawet wyścigi z udziałem moich pobratymców. Wykorzystujecie nas do pracy i zdobywacie za nas nagrody. Jesteśmy wierni, ufni i kochamy was — nawet najgorszy człowiek może być adorowany przez psa. Dlaczego więc uważacie nasze unię za uwłaczające? Dlaczego nie mówicie, że ktoś jest „wolny jak pies”, „dumny jak pies” czy „sprytny jak pies”? Dlaczego nieszczęśliwe życie ma zwać się pieskim żywotem? Dlaczego rozpustnik ma być nazywany psem na baby? Dlaczego noce bywają takie zimne, że nawet psa żal na nie wygnać? Co zrobiliśmy, żeby nam tak urągać? Czy to dlatego, że bez przerwy popadamy w jakieś biedy? Czy dlatego, że wydajemy się głupi? Czy to dlatego, że pozornie jesteśmy nadpobudliwi i zbyt skorzy do ulegania emocjom? Czy dlatego, że jesteśmy zajadli w walce, ale tchórzymy, gdy wznosi się nad nami dłoń pana? A może dlatego, że czystość nie należy do naszych zwyczajów? *Czy dlatego, że jesteśmy bardziej podobni do ludzi niż jakiegokolwiek inne zwierzę?*

Czy uświadamiacie sobie, że nasze nieszczęścia są podobne do waszych, że nasze osobowości stanowią uproszczone odbicie waszych? Czy żałujecie, kochacie i nienawidzicie nas dlatego, że dostrzegacie w psach swoje człowieczeństwo? Czy właśnie dlatego obrażacie nasze imię? Czy w ten sposób nie obrażacie również siebie?

Leżąc zdyszany na trawie, w pełni sobie uświadomiłem, co znaczy „psi żywot”. Czy zawsze w życiu musiały spotykać mnie zawody i nieszczęścia? Widzisz, znów górę brała ludzka część mojej natury, zwierzęta bowiem nie zwykły tak filozofować (z pewnymi wyjątkami). Strach i ta prastara ludzka cecha, czyli litowanie się nad sobą, przebudziły uśpioną stronę mojej osobowości; zacząłem myśleć znów ludzkimi pojęciami.

Otrząsnąłem się z uzalania nad sobą tak, jak to czynią psy i podniosłem na równe łapy. Miałem cel, który zaniedbałem; musiałem teraz zabrać się do kontynuowania moich poszukiwań.

Dzień był cudownie świeży, a powietrze przesycone aromatycznymi zapachami. Znów nie miałem ani pana, ani przyjaciela, ale dzięki temu byłem wolny. Mogłem robić, co chciałem i iść tam, dokąd miałem ochotę. Byłem odpowiedzialny jedynie przed sobą.

Nie zastanawiając się dłużej, zerwałem się do sprintu. Znów zacząłem pędzić ile sił w nogach, lecz tym razem nie uciekałem od czegoś, ale biegłem ku czemuś. Instynktownie wybrałem kierunek i wkrótce znalazłem się z powrotem na drodze prowadzącej do miasteczka, które wydawało mi się znajome.

Za każdym razem, gdy przemykały koło mnie samochody, wystraszony odskakiwałem na pobocze. Mimo wielu miesięcy spędzonych w ruchliwym mieście wciąż bardzo się bałem tych mechanicznych monstrów. Wiedziałem jednak — nie wiem skąd — że kiedyś, w innym życiu, prowadziłem podobny pojazd. Dotarłem do gęsto zalesionego obszaru i zdecydowałem się na skręcenie między drzewa, wiedząc, że dzięki temu oszczędzę sobie kilka mil drogi.

Las okazał się fascynujący. Rozbrzmiewał brzęczeniem niewidocznych stworzeń. Niewidocznych z początku, wkrótce bowiem zacząłem dostrzegać stworzenia, którym (ku mojemu zaskoczeniu) zdolny byłem przypisać właściwe nazwy. Były to żuki, komary, ważki, moskity, muchy końskie, osy i pszczoły. Z liścia na liść przefruwały pазie królowej. Ryjówki, myszy polne i krety przemykały w poszyciu, a wokół

skakało pełno szarych wiewiórek. Siedzący na gałęzi dzieciół przyjrzał mi się z zaciekawieniem, ignorując moje serdeczne przywitanie. Przestraszona sarna wyskoczyła ze swojego ukrycia, gdy prawie w nie wlałem. Niezliczone tysiące mszyc (tych samych co na burakach cukrowych) wysysały soki z liści i łądyg, wydzielając rosę miodową, zbieraną przez pszczoły i mrówki. Ptaki — drożdżiki, zięby i sójki, i mnóstwo innych — przelatywały z gałęzi na gałąź i nurkowały w poszycie w poszukiwaniu pożywienia. Dżdżownice wynurzały się i zakopywały w ziemię pod moimi łapami. Byłem zdumiony bogactwem życia tętniącego w lesie, nawet nieco oszołomiony, nigdy bowiem nie zdawałem sobie sprawy, że jest tu taki ruch. Intensywność barw przyprawiała mnie prawie o ból oczu. Nieustający hałaśliwy gwar wibrował mi we łbie. Wprawiające w zachwyt doznania sprawiły, że wydawało mi się, iż wreszcie zacząłem żyć pełnią życia.

Cały dzień spędziłem na radosnych poszukiwaniach i badaniach lasu. Wszystko postrzegalem nowymi oczyma i z całkowicie nowym nastawieniem, ponieważ nie byłem już wyłącznie obserwatorem, ale także mieszkańcem tego świata. Tu i ówdzie zawierałem przyjaźnie, aczkolwiek zaprzątnięte własnymi sprawami zwierzęta przeważnie mnie ignorowały — zarówno owady, jak i ptaki oraz gady. Zupełnie nie można było przewidzieć ich nastawienia w stosunku do mnie, na przykład raz uciałem sobie bardzo przyjemną pogawędkę z jadowitą żmiją, podczas gdy innym razem elegancka ruda wiewiórka, na którą się natknąłem, okazała się wyjątkową impertynentką. Wygląd zwierząt nie miał nic wspólnego z ich naturą. Rozmowa ze żmiją była oczywiście osobliwa, ponieważ żmije mają tylko ucho wewnętrzne, odbierające wibracje za pośrednictwem czaszki. Powtórnie uświadomiłem sobie, że komunikujemy się za pomocą myśli. Stwierdziłem, że niesprawiedliwie oczernia się żmije, ta bowiem, którą spotkałem, okazała się dobroduszna — podobnie zresztą jak prawie wszystkie, które napotkałem później.

Zapomniałem na jakiś czas o głodzie i bez przeszkód rozkoszowałem się otoczeniem, wachając ślady przejścia i zaznaczone uryną i wydzieliną gruczołów zapachowych granice terytoriów rozmaitych zwierząt. Od czasu do czasu też znaczyłem swoją drogę, raczej jako pamiątkę mojego pobytu — „Fuks tu był” — niżby to miało pomóc w odnalezieniu drogi powrotnej. Nie zamierzałem nigdzie wracać.

Przedrzemałem na słońcu całe popołudnie i gdy się przebudziłem, poszedłem nad strumyk napić się wody. Siedziała tam żaba, pożerająca długiego różowego robaka. Oskrobywała go lepкими palcami z błota. Żaba — samiec — przerwała na chwilę posiłek i wybałuszonymi ślepiami przyjrzała mi się z zaciekawieniem. W tym czasie biedne robaczysko rozpaczliwie próbowało się wyswobodzić. Żaba mrugnęła dwukrotnie i wróciła do jedzenia. Robak zniknął jak żywe spaghetti. Na pożegnanie machnął jeszcze ogonkiem (łebkiem?) przed opuszczeniem tego świata, przy czym żaba wybałuszyła ślepią jeszcze bardziej niż przedtem.

„Ładna pogoda”, powiedziałem uprzejmie.

Żaba mrugnęła raz jeszcze i rzekła:

„Rzeczywiście, dość ładna.”

Zastanowiłem się przez chwilę, jak by smakowała, ale oceniłem, że nie jest wystarczająco apetyczna. Przypomniałem sobie, że jej uduka mogłyby być dość dobre.

„Chyba się jeszcze nie spotkaliśmy”, stwierdziła żaba.

„Tylko tędy przechodzę”, odrzekłem.  
„Przechodzę? Co masz na myśli?”  
„Noo... jestem w podróży.”  
„Dokąd?”  
„Do miasta.”  
„Co to jest miasto?”  
„Po prostu miasto. Miejsce, gdzie żyją ludzie.”  
„Ludzie?”  
„Wielkie stworzenia, na dwóch nogach.”  
„Nigdy nie słyszałem”, zdziwiła się żaba.  
„Ludzie nigdy tędy nie przechodzili?”  
„Nigdy ich nie widziałem — powtórzyła. — Miasta też. Tu nie ma miast.”  
„Miasto jest niedaleko stąd.”  
„Niemożliwe. Nigdy czegoś takiego nie widziałem.”  
„Nie, nie w lesie, ale dalej.”  
„Nie ma żadnego dalej.”  
„Oczywiście, że jest! Świat jest o wiele większy niż ten las.”  
„Jaki las?”  
„Dookoła nas — powiedziałem, wskazując nosem. — Za tymi drzewami.”  
„Za nimi nic nie ma. O niczym innym nie wiem.”  
„Nigdy nie opuszczałeś tej polany?”  
„Po co?”  
„Zobaczyć, co jest dalej.”  
„Dalej nie ma nic. Znam wszystko.”  
„Nie znasz. Świat jest o wiele większy.”  
„Mylisz się.”  
„Nigdy mnie przedtem nie widziałaś, zgadza się?”  
„Owszem.”  
„No właśnie. Przybywam spoza lasu.”  
Żaba zamyśliła się przez chwilę.  
„Dlaczego? — zapytała w końcu. — Dlaczego przybyłeś spoza lasu?”  
„Bo podróżuję. Chcę dotrzeć do pewnego miejsca.”  
„Jakiego?”  
„Do miasta.”  
„Co to jest miasto?”

„Miejsce w którym... och, nieważne!”

Żaba natychmiast dała sobie spokój z wypytywaniem. Tak naprawdę nie interesowało jej to wszystko.

Ruszyłem dalej, zdesperowany.

„Nigdy nie zmienisz się w przystojnego księcia!”, krzyknąłem jeszcze na pożegnanie.

„Co to znaczy: przystojny?!”, odkrzyknęła żaba.

Rozmowa ta kazała mi zastanowić się nad zwierzęcym punktem widzenia. Płaz najwyraźniej sądził, że świat obejmuje wyłącznie to, co znajduje się w polu jego widzenia. Nie chodziło nawet o to, czy dalej znajdowało się cokolwiek, ponieważ żaba w ogóle o to nie zapytała. Tak właśnie jest ze wszystkimi zwierzętami (poza nielicznymi wyjątkami, do których się zaliczam) — świat składa się wyłącznie z tego, co jest im znajome, i niczego innego.

Spędziłem niespokojną noc pod dębem. Prawie w ogóle nie spałem z powodu hałasu czynionego przez parę sów (jedna huczała a druga szczebiotała). Nie tyle straszło mnie ich nawoływanie, ile niespodziewane wypadki za bezbronne krety krzątające się w dole. Nieoczekiwane skrzeczenia uwięczone piskiem przerażenia ofiary wytrącały mnie z równowagi. Nie miałem odwagi narazić się socom, ponieważ wydawały się silne i złośliwe, nie odważyłem się również szukać w ciemnościach nowego miejsca na nocleg. W końcu udało mi się jednak zapaść w niespokojny sen.

A później wyruszyłem na polowanie na kury z moim nowym przyjacielem (jak mi się wtedy wydawało) — rudym lisem.

\* \* \* \* \*

Przebudziło mnie szczekanie. Było jeszcze ciemno — oceniłem, że do świtu pozostało parę godzin. Szczekanie rozbrzmiewało gdzieś z bliska. Leżąc w całkowitym bezruchu starałem się ustalić, skąd dobiega i kto je wydaje. Czyżby w lesie były jakieś szczeniaki? Upewniwszy się, że sowy odpoczywają, cały spięty, powoli zacząłem pełznąć w kierunku, skąd słychać było szczekanie. Niedaleko, w zagłębieniu pod wystającym korzeniem drzewa, natrafiłem na lisią jamę. W nozdrza uderzyła mnie piżmowa woń ekskrementów oraz zapach pożywienia. Dostrzegłem wpatrujące się we mnie dwie pary ślepi.

„Kto to jest?”, zapytał ktoś na poły agresywnie, na poły z przestachem.

„Proszę się nie denerwować — powiedziałem spieszenie uspokajającym tonem. — To tylko ja.”

„Pies?” — padło pytanie i jedna para ślepi odsunęła się od drugiej. Z półmroku wysunął się lis. Raczej wyczułem, niż dostrzegłem, że tam była ona — lisica.

„No?”, ponagliła mnie.

„Hm, tak, jestem psem”, powiedziałem.

„Czego tu chcesz?” — Jej głos przybrał nagle groźne zabarwienie.

„Usłyszałem twoje szczeniaki. Byłem po prostu ciekawy.”

Wydawało się, że lisica stwierdziła, iż nie stanowi zagrożenia, ponieważ się odprężyła.



„Co robisz w tych lasach? — zapytała. — Psy rzadko pokazują się tutaj w nocy.”

„Podróżuję.” — Nie powiedziałem, dokąd. Pewnie by też nie zrozumiała.

„Do domów, w których mieszkają wielkie zwierzęta?”

„Tak, do miasta.”

„Jesteś z farmy?”

„Farmy?”

„Farmy po drugiej stronie lasu. Za łąkami.”

Jej świat był większy niż żaby.

„Nie, nie jestem stamtąd. Jestem z wielkiego miasta.”

„Aha.”

Lisica najwidoczniej przestała się mną interesować, ponieważ odwróciła się tyłem. Nagle z ciemności rozległ się słaby głosik: „Mamo, jestem głodny”. Brzmiała w nim wyraźna skarga.

„Siedź cicho! Zaraz wracam.”

„Ja też jestem głodny”, powiedziałem, i tak było w istocie.

Lisica obróciła błyskawicznie łeb w moją stronę.

„No to idź, poszukaj sobie jedzenia!”

„Eee... Nie wiem, jak się do tego zabrać w lesie.”

Spojrzała na mnie z niedowierzaniem.

„Nie potrafisz zdobyć sobie pożywienia? Nie dasz rady upolować królika, myszy czy wiewiórki?”

„Jeszcze nigdy nie byłem do tego zmuszony. Zabijałem szczury i myszy, ale nigdy nic większego.”

Lisica potrząsnęła z niedowierzaniem łbem.

„No to jak ci się udało przeżyć? Myślę, że dokarmiały cię wielkie istoty — widziałam, że wy z nimi trzymacie. Dajecie się nawet wykorzystywać do polowań na nas!”

„Nie ja! Ja jestem z miasta. Nigdy nie polowałem na lisy.”

„Dlaczego miałabym ci uwierzyć? Skąd mam wiedzieć, że nie próbujesz mnie oszukać?” Zademonstrowała mi spiczaste zębki w uśmiechu, który praktycznie był pogróżką.

„Jeśli chcesz, pójdę sobie. Nie chcę cię denerwować. Może jednak moglibyśmy z twoim partnerem zdobyć coś do jedzenia.”

„Nie mam już partnera!” — rzuciła gniewnie lisica. W jej słowach słychać było ból.

„Co się z nim stało?”, zapytałem.

„Został złapany i zabity”, z trudem powiedziała lisica.

„Mamo, znajdź nam coś do jedzenia”, dobiegła znów płacziwa prośba.

„Cóż, może mógłbym ci pomóc”, zasugerowałem.

„Phi — prychnęła lisica, ale jej głos natychmiast się zmienił. — Może i przydasz się na coś”, powiedziała w końcu z namysłem.

Wyprężyłem się.

„Zrobię wszystko. Umieram z głodu.”

„No dobrze. Dzieci, zostaniecie tutaj. Macie nie wychodzić! Zrozumiano?”

Małe lisy potwierdziły.

„No to chodźmy.” Lisica przeszła obok mnie, ocierając się o mnie.

„Dokąd?”, zapytałem gorliwie, ruszając za nią.

„Zobaczysz.”

„Jak masz na imię?”, zawołałem.

„Bądź cicho! — skarciła mnie szeptem, po czym zapytała: — Co to jest imię?”

„To, jak się nazywasz.”

„Nazywam się lis. Lisica, dokładniej mówiąc. Ty nazywasz się pies, zgadza się?”

„Nie. Ja jestem psem. Ty jesteś lisicą. Nazywam się Fuks.”

„Idiotyzm. Fuks to robak!”\*

„Tak, ale ludzie nazwali mnie Fuksem — bo miewałem szczęście, czyli fuksa. To takie ich wyrażenie.”

Wzruszyła ramionami, podejrzewając mnie o głupotę. I nie odezwała się do mnie ani słowem przez następne półtorej mili. Potem zbliżyła się do mnie i rzekła:

„Jesteśmy już prawie na miejscu. Od tej pory masz się zachowywać bardzo cicho i bardzo ostrożnie poruszać.”

„Dobrze”, wyszeptałem. Dygotałem z podniecenia.

Ujrzałem przed nami farmę. Z zapachu, jaki od niej dobiegał, oceniłem, że nastawiona jest głównie na produkcję mleka.

„Co zrobimy? Zabijemy krowę?”, zapytałem zupełnie poważnie. Przepelniał mnie entuzjazm.

„Zgłupiałeś? — syknęła lisica. — Zapolujemy na kury. Trzymają ich tu trochę.”

I bardzo dobrze, pomyślałem. To też może być bardzo interesujące.

Popelzliśmy w stronę farmy. Dokładnie naśladowałem styl lisicy: czołgałem się do przodu w absolutnej ciszy, węszyłem, zatrzymywałem się, nasłuchiwałem, po czym znów ruszałem po cichu od krzaka do krzaka, przekradając się przez wysoką trawę. Zauważyłem, że wiatr wieje w naszą stronę: niósł od farmy cudowne zapachy. Dotarliśmy do wielkiej otwartej szopy i wśliznęliśmy się do niej bez przeszkód. Po lewej stronie znajdowały się wielkie bele zeszłorocznej słomy jęczmiennej, a po prawej spiętrzone wysoko worki nawozu. Gdy wyleźliśmy z drugiej strony szopy, przystanąłem przy korycie z wodą i nachleptałem się jej do woli.

„No, chodź! — wyszeptała niecierpliwie lisica. — Nie ma na to czasu. Wkrótce

---

\*Słowo „fluke” (czyli „fuks”) jest w języku angielskim również obiegową nazwą pasożyta — motylicy wątrobowej (przyp. tłum.)

świt.”

Podreptałem za nią, czując się odświeżony. Nerwy miałem napięte jak postronki. Przemknąłem z lisicą przez podwórze służące do suszenia ziarna, koło koryt i silosu, a w końcu obok ohydnie śmierdzącego dołu na nawóz. Zmarszczyłem nos — nie za dużo tego dobrego? — i przyspieszyłem kroku za chytrą lisicą. Z wielkiej obory słychać było donośne chrapanie krów. Zapach jęczmienia z mijanego gigantycznego silosu zbożowego prawie zabił woń gnoju (aczkolwiek nie do końca). Wkrótce pokonaliśmy podwórze. Dojrzałem przed sobą mroczne zarysy domu oświetlonego księżycową poświatą.

Lis zatrzymał się i zaczął węszyć. Po chwili nasłuchiwania rozluźnił się i odwrócił w moją stronę.

„Jest tu tylko jeden twój ziomek, wielka, okrutna bestia. Musimy uważać, żeby go nie zbudzić, śpi koło domu. Zrobimy tak... — Podeszła bliżej i stwierdziłem, że jest całkiem atrakcyjna na swój drapieżny sposób. — Kury trzymane są tam, za siatką. Jest cienka, ale wytrzymała. Jeśli uda mi się ją dobrze złapać zębami, zdołam ją podnieść, byśmy mogli przeleźć pod spodem. Nie jest to trudne, wymaga tylko odrobiny wprawy. Gdy znajdziemy się w środku, rozpęta się piekło... (Czy rzeczywiście rozumiała ideę piekła, czy tylko tak sobie tłumaczyłem w myślach to, co mi przekazywała?)... Będziemy mieli bardzo mało czasu na złapanie kur i ucieczkę.”

Jestem pewny, że jej ślepia musiały błyszczeć z podniecenia w ciemności, ale byłem zbyt podekscytowany — albo zbyt tępy — by to zauważyć.

„Kiedy będziemy uciekać, musimy się rozdzielić — kontynuowała lisica. — Żeby psisko i dwunogie istoty, które go trzymają, straciły orientację. Dwunoga istota...”

„Człowiek”, wtrąciłem.

„Co?”

„Człowiek. Tak nazywa się ta istota.”

„Tak jak Fuks?”

„Nie, ona jest człowiekiem.”

Lisica wzruszyła barkami.

„Nieistotne. Człowiek ma długi, krzyczący kołek. Potrafi również zabijać — sama widziałam — musisz więc uważać. Najlepiej będzie, jeśli pobiegiesz przez podwórze w tę stronę, bo jest tu za czym się ukryć. Ja będę uciekała w przeciwną stronę, przez pola, bo jestem chyba od ciebie szybsza. Zgoda?”

„Zgoda”, powiedziałem gorliwie. (Rumbo pewnie się przewracał w grobie.)

W milczeniu zaczęliśmy się skradać bez tchu. Wkrótce dotarliśmy do kurnika ogrodzonego siatką. Wybieg dla kur nie był zbyt duży — farmer prawdopodobnie traktował ich hodowlę jako zajęcie uboczne, a dochody czerpał przede wszystkim z krów. Kur było trzydzieści do pięćdziesięciu. Od czasu do czasu słychać było ze środka szelest skrzydeł, ale kury bez wątplenia nie wyczuły naszej obecności.

Lisica próbowała chwycić w zęby spód siatki. W końcu się jej to udało i podciągnęła ją z całej siły w górę. Drut oderwał się od deski, do której był przybity, moja współniczka nie zdołała jednak utrzymać go w zębach. Siatka opadła luźno. Dźwięk szarpanych drutów przebudził kury. Usłyszeliśmy, jak wiercą się w kurniku. Zaraz zaczęły hałasować.

Lisica spróbowała jeszcze raz podnieść drut — tym razem z powodzeniem. Między nim a deską pozostała spora wolna przestrzeń.

„Szybko”, szepnęła i wcisnęła się do środka.

Usiłowałem podążyć jej śladem, ale ponieważ byłem większy, utknąłem w połowie drogi, wbijając sobie na dodatek drut w grzbiet. Lisica tymczasem pokonała krótki dystans, podniosła nosem niewielką klapkę i błyskawicznie wpadła do kurnika. Zdrętwiałem ze strachu, słysząc dobiegające ze środka gdakanie i trzepot skrzydeł. Szybko jednak odzyskałem zdolność ruchu, gdy od strony domu dobiegło mnie gardłowe warczenie. Próbowałem się uwolnić, zdając sobie sprawę, że zaraz pojawi się farmer z „krzyczącym kołkiem”.

Klapka dla kur nagle stanęła otworem i ze środka zaczęło wysypywać się rozgdakane ptactwo, siejąc na wszystkie strony pierzem jak z rozprutej poduszki.

Nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale w kurzym stadzie podobnie jak w wielu zwierzęcych grupach panuje hierarchia, zwana w tym wypadku „porządkiem dziobania”. Ten, kto dziobie najsilniej i najzłośliwiej, zostaje przywódcą; ktoś, kto ustępuje tylko jemu, musi się go słuchać, ale jest również szefem dla całej reszty, i tak dalej, aż do najsłabszych. Teraz jednak wydawało mi się, że nastąpiła absolutna równość.

Kury rozbiegły się jak szalone, współzawodnicząc jedynie w tym, która wyżej frunie.

W końcu ze środka wynurzyła się lisica, niosąca w pysku kurę prawie tak dużą jak ona. Rzuciła się do siatki, pod którą tkwiłem, nie mogąc się ruszyć ani w przód, ani w tył.

„Wylaż stąd!”, padła stłumiona komenda.

„Utknąłem!”, odkrzyknąłem.

„Szybko, pies tu goni!”, krzyknęła, desperacko biegnąc w lewo i prawo wzdłuż ogrodzenia.

Jednakże pies musiał być na łańcuchu, ponieważ wciąż czekał z daleka. Potem dobiegł nas łoskot otwieranego okna.

To dodało mi ostrogi. Potężnym szarpnięciem w tył oswobodziłem się z ogrodzenia, okrutnie rozdrapując sobie grzbiet. Ja i lisica z kurą błyskawicznie rzuciliśmy się do ucieczki.

„Biegnij tędy!”, krzyknęła do mnie lisica, wypluwając z pyska pęk piór.

„Dobrze!”, zgodziłem się, i oczywiście pobiegłem w stronę domu, psa i farmera ze strzelbą, podczas gdy moja przyjaciółka zaczęła oddalać się w przeciwnym kierunku.

Pokonałem połowę drogi, nie zatrzymałem się i powiedziałem sobie: spokojnie! Obejrzałem się w porę, by zobaczyć, jak ciemna sylwetka lisicy z kurą niknie za polem w żywopłocie.

Odwróciłem się ponownie, słysząc łoskot otwieranych drzwi. Ze środka wyskoczył farmer w spodniach, kaftanie i ciężkich buciorach. Widok tego, co trzymał w rękach, sprawił, że o mało nie zemdlałem. Pies prawie odchodził od zmysłów, pragnąc się do mnie dorwać. Zobaczyłem, że jest to krzepko wyglądający buldog. Miałem wrażenie, że jego łańcuch zerwie się lada chwila.

Jęknąłem i zastanowiłem się, w którą stronę zmykać. Po lewej stronie miałem róg obory, po prawej zabudowania gospodarcze. Przede mną był rozwścieczony pies i jego pan. Miałem do dyspozycji tylko jedną drogę, którą, oczywiście, wybrała lisica. Zawróciłem o sto osiemdziesiąt stopni i rzuciłem się w stronę otwartych pól.

Farmera całkiem zatkalo ze zdziwienia, kiedy koło kurnika zobaczył psa (czyli mnie). Usłyszałem, że schodzi z ganku. Nie musiałem się oglądać, by wiedzieć, że podnosi strzelbę do ramienia. Odgłos wystrzału kazał mi zrewidować zdanie: to była jednak dubeltówka. Świst śrutu koło uszu. Farmer nie był najgorszym strzelcem. Przyspieszyłem jeszcze bardziej. Serce tłukło mi się opętańczo jak metronom wybijający rytm łapom.

Kroki farmera ucichły. Przymierzał się pewnie do kolejnego strzału. Skuliłem się, by stać się jak najmniejszym celem, i zygzakami pomknąłem w stronę pól. Wystraszone przeze mnie kury poderwały się w powietrze — bez wątpienia sądziły, że wróciłem po dokładkę.

Nagle poczułem, że mój ogon rozpada się na strzępy. Zaskowyczałem urywanymi szczęknięciami, jakie wydają psy, którym stała się krzywda. Nie zatrzymywałem się jednak, czując ulgę, że jeszcze jestem w stanie biec dalej. Szczekanie za mną stało się wręcz furiackie. Zorientowałem się, że buldog został spuszczoney z łańcucha. Szalał z chęci zatopienia kłów w moim gardle. Zapraszające pola pomknęły mi na spotkanie. Przelazłem pod ogrodzeniem i wypadłem na nie. Miałem wrażenie, że ogon pali mi się płomieniem.

„Bierz go!”, rozległ się rozkaz. Zorientowałem się, że potworny pies dogania mnie. Rozciągające się przede mną w blasku księżycy pole zdawało się robić coraz dłuższe i szersze, a żywopłot po jego drugiej stronie malał, zamiast rosnać. Buldog jeszcze mnie nie dogonił, słyszałem już jednak za sobą jego ciężkie sapanie. Przestał czekać, by zaoszczędzić tchu i energii. Sukinsyn, rzeczywiście chciał mnie złapać.

W duchu przeklinałem się za głupotę, że odegrałem dla lisicy rolę zasłony dymnej. Byłem tak zły, że o mało nie wyładowałem wściekłości na goniącym mnie psie. O mało..., a jednak nie zrobiłem tego. Tak głupi mimo wszystko nie byłem.

Buldog zdawał się dyszeć prosto w moje lewe ucho. Zorientowałem się, że jest naprawdę blisko. Obróciłem błyskawicznie łeb, by zobaczyć, jak blisko, i natychmiast tego pożałowałem — jego wyszczerzone kły niemal dosięgały mojego lewego boku.

Skręciłem, a buldog kłapnąwszy zębiskami, przewrócił się i przekoziółkował w trawę. Natychmiast się poderwał i skoczył za mną, lecz powtórnie skręciłem, tak iż znów biegł w niewłaściwą stronę.

Przede mną zamajaczył żywopłot. Ucieszyłem się, że przestał się bawić ze mną w chowanego. Zanurkowałem weń, modląc się, żebym nie zaplątał się w pędach krzewów. Buldog rzucił się za mną. Kolce porały nam skórę, a wystraszone ptaki zaczęły hałasować z urazą. Przelecieliśmy przez żywopłot i znaleźliśmy się na sąsiednim polu. Wiedząc, że buldog zaraz mnie dogoni, znów zacząłem biec zygzakami. Na szczęście buldog nie był zbyt błyskotliwy i kilkakrotnie dał się nabrać na moje zwody. Było to jednak bardzo wyczerpujące, parę razy też przejechał mi kłami po bokach, ale w końcu nawet jemu zaczęło brakować sił. Po którymś wyjątkowo udanym manewrze odsądziłem się od niego na co najmniej pięć metrów i przystanąłem, by złapać tchu. Buldog też się zatrzymał. Wpatrzyliśmy się w siebie, ciężko dysząc z wysiłku.

„Słuchaj — wychrypiałem. — Porozmawiajmy spokojnie.”

Buldog jednak nie miał nastroju do pertraktacji. Zerwał się z miejsca i rzucił z warczeniem w moją stronę. Zacząłem więc znów uciekać.

Po drodze wyczułem znajomy zapach. Lisy zazwyczaj bardzo starannie maskują swoją woń — zawracają, wspinają się na drzewa, wskakują do wody i wślazą między owce — kiedy jednak dźwigają w pysku ociekającą krwią, martwą kureę, z której sypie się pierze, to zupełnie inna historia. Lisica pozostawiła ślad tak wyraźny jak pasy na jezdni.

Buldog również zwęszył lisicę i na moment stracił zainteresowanie mną, po czym obaj pobiegliśmy jej śladem. Pokonaliśmy jeszcze jeden żywopłot i znaleźliśmy się w lesie, wymijając pnie i gęste kępy krzewów. Przestraszone nocne zwierzęta zmykały na nasz widok do nor, hałaśliwie protestując przeciw najściu.

Nie sądzę, by buldog widział w nocy równie dobrze jak ja — był zapewne o wiele starszy — zwolnił bowiem nieco biegu i kilkakrotnie z okrzykiem bólu wpadł na pnie drzew. Odbiłem się od niego i zacząłem mieć nadzieję, że uda mi się go zgubić. Wówczas wpadłem na lisicę.

Kura utrudniała jej ucieczkę. Widocznie musiała ją zgubić po drodze i teraz po nią wróciła. Nie żywiłem wobec lisicy złych zamiarów — zbyt przerażał mnie mój prześladowca, by zawracać sobie łeb chęcią odwetu — i prawdopodobnie w ogóle bym jej nie zauważył, gdybym nie wpadł na nią, skuloną przy ziemi. Zwaliliśmy się na siebie i przetoczyliśmy jak jeden kłęb — pies, kura i lis — lecz natychmiast rozdzieliliśmy się, gdy do zabawy dołączył buldog. Gryzł wszystko, co znajdowało się w zasięgu jego szczęk. Na szczęście (dla mnie i lisicy) udało się nam porzucić go z kurą w zębach. Prawdę mówiąc, rozszarpał ją na strzępy.

Farmer z pewnością musiał się ucieszyć, kiedy buldog wrócił do domu ze skrwawionym, oblepionym pierzem pyskiem.

Ruszyliśmy w różne strony: lisica do szceniąt, a ja, by znaleźć jakiś zakątek, w którym spokojnie mógłbym wylizać swoje rany. Z każdą minutą robiło się jaśniej. Śpieszyłem się, by opuścić ten teren. Nie wiedziałem dokładnie, gdzie się skierować, pragnąłem jednak pokonać przed wschodem słońca jak największy dystans. Wiedziałem (skąd?), że farmerzy zadają sobie wiele trudu, by odszukać bezpańskie psy, nękające ich zwierzynę domową. Farmer, z którym miałem do czynienia, bez wątpienia uważał mnie właśnie za takiego rabusia. Ogon palił mnie okrutnie, przez co wszystkie inne rany wydawały się mniej bolesne, nie odważyłem się jednak zatrzymać, by zbadać, jakie poniosłem obrażenia. Przepląnąłem strumień, do którego dotarłem, z radością napawając się kojącym ból chłodem wody. Z niechęcią wygrzebywałem się na drugi brzeg. Otrząsnąłem się porządnie i ruszyłem w drogę, chcąc znaleźć się jak najdalej od farmy.

Gdy w końcu znalazłem schronienie dla siebie, słońce już weszło i z każdą chwilą przygrzewało coraz silniej. Rany bolały i piekły. Nie byłem zdolny do czegokolwiek, zwałem się więc na ziemię, by odzyskać siły. Po jakimś czasie zdołałem obrócić głowę i przyjrzeć się ogonowi. Rana nie była nawet w połowie tak groźna, jak się spodziewałem. Straciłem jedynie koniuszek ogona i sporo sierści. Wiktorina byłaby zadowolona, nasze ogony wyglądały teraz podobnie. Klucia zadrapañ na grzbiecie i bokach od siatki i zębów buldoga nie były zbyt bolesne, ale uciążliwe. Złożyłem łeb między łapy i zasnąłem.

Kiedy się obudziłem, słońce było już wysoko na niebie i mocno przygrzewało. Z gorącą zaschło mi w gardle, a rany pulsowały tępym bólem. W brzuchu burczało mi z głodu. Podniósłszy się, stwierdziłem, że leżałem w zagłębieniu łagodnego stoku. Przedemną rozciągała się dolinka. Po drugiej stronie dolinki wznosiły się wzgórza zwieńczone kępami buków. Ruszyłem w dół, mając nadzieję znaleźć tam jakieś źródelko. Po drodze skubałem rozmaite trawy. Trawa — konkretnie owcza kostrzewa — nie była zbyt smaczna. Wiedziałem jednak, że jada ją wiele zwierząt z dolin, więc przynajmniej powinna być pożywna. Znów się zastanowiłem, skąd wiedziałem o takich rzeczach? Skąd wiedziałem, że winniczek, którego trąciłem pyskiem, wykorzystywał do budowy skorupki wapń zawarty w glebie nizinnych hrabstw? Skąd wiedziałem, że ptak, śpiewający nie opodal, to skowronek? Skąd wiedziałem, że motyl, który przeleciał koło mnie, to adonis, przedwcześnie obudzony z zimowego snu przez ciepłe promienie słoneczne? Najwidoczniej w przeszłym życiu interesowałem się przyrodą i wiele czasu spędziłem na poznawaniu tajników natury. Czyżbym był przyrodnikiem lub botanikiem? A może miałem tylko takie hobby? Może zostałem wychowany na wsi i dlatego bez problemu przypominałem sobie nazwy i obyczaje zwierząt? Potrząsnąłem łbem z frustracją: musiałem się dowiedzieć, kim i czym byłem. Dlaczego umarłem i w jaki sposób stałem się psem. Musiałem się też dowiedzieć, kim był mężczyzna z moich snów, który wydawał się promieniować złem, zagrażać mojej rodzinie. Moja rodzina — żona i córka... Musiałem je odnaleźć, musiałem dać im znać, że żyję. Musiałem im przekazać, że jestem psem. Czy ktoś mógłby mi w tym pomóc?

Był ktoś taki. Minęły jednak dwie noce, zanim go spotkałem.

## Rozdział piętnasty

Słuchaj uważnie tego, co ci teraz powiem. Przedstawię ci ważny fragment mojej historii, kiedy dowiedziałem się, dlaczego zaistniałem jako pies. Może stanowić to dla ciebie wsparcie. Jeśli się z tym nie pogodzisz, trudno, to zależy od ciebie. Pamiętaj jednak, o co cię prosiłem: miej umysł otwarty.

\* \* \* \* \*

Wędrowałem przez dwa kolejne dni, w końcu z ulgą odnalazłem właściwą drogę. Postanowiłem nie marnować więcej czasu, lecz odnaleźć swój dom i zdobyć odpowiedzi na trapiące mnie pytania.

Coraz ciężiej przychodziło mi odczytywanie znaków drogowych; musiałem długo się w nie wpatrywać, wyężając całą uwagę. Jednakże odnalazłem właściwą drogę i trzymałem się jej zadowolony, że w końcu dotarłem do następnego miasteczka. Znalezienie się wśród ludzi (i sklepów) oznaczało dla mnie możliwość zdobycia jedzenia. Kilkoro ludzi zlitowało się nade mną mimo mojego okropnego wyglądu (inni zaś przeganiali mnie, jak gdybym był czymś plugawym) i rzucali mi ochłapy. Spędziłem noc u pewnej rodziny, która mnie przygarnęła z zamiarem zatrzymania, jednak następnego ranka, gdy wypuszczono mnie, bym załatwił swoją potrzebę, ruszyłem w stronę następnego miasta. Czułem się obrzydliwie, odrzucając dobroć tej rodziny, lecz nic nie mogło mnie już odwieść od mojego celu.

W kolejnym mieście poszukiwanie jedzenia szło mi gorzej, ale poradziłem sobie jakoś. Droga stawała się coraz bardziej znajoma. Zorientowałem się, że znajduję się niedaleko domu. Moje podniecenie rosło.

Gdy zapadł zmierzch, znajdowałem się w drodze między miasteczkami, zszedłem więc z drogi i zaszyłem się głęboko w lesie. Głodny (oczywiście) i zmęczony (naturalnie) szukałem schronienia na sen. Nie wiem, czy kiedykolwiek spędziłeś samotnie noc w lesie, jest to jednak doświadczenie przyprawiające o dreszcz. Przed wszystkim jest ciemno jak u Murzyna za koszulą (nie ma latarni ulicznych), a zewsząd rozlega się potrzaskiwanie suchych gałązek i krzątające się zwierzęta nocne. Widzę dobrze w ciemności — lepiej niż ty — ale i tak było mi ciężko cokolwiek wypatrzeć w mroku. Serce mi łomotało na widok dziwnych pełgających światełek, dopóki po bliższym ich zbadaniu nie okazało się, że to para robaczków świętojańskich. Przestraszyłem się też niebieskawozielonkawej poświaty, która, jak się okazało, pochodziła od grzybów na spróchniałym pniu drzewa.

Słychać było krążące w powietrzu nietoperze. Ich wysokie piski sprawiały, że podskakiwałem ze strachu. Tuptający, Bóg wie gdzie, jeź przejechał mi kolcami po nosie. Zastanawiałem się, czy może wrócić na pobocze szosy, jednak oślepiające światła i ryczące silniki przejeżdżających samochodów były jeszcze bardziej przerażające.

W nocy w lesie panuje prawie taki sam ruch jak za dnia, jeśli pominąć fakt, że zwierzęta zachowują się ciszej i poruszają ostrożniej, jakby ukradkiem. Zacząłem się zachowywać podobnie. Przekradałem się przez poszycie w poszukiwaniu spokojnego miejsca na spoczynek. W końcu znalazłem sympatyczny kopczyk miękkiej ziemi pod pokrytą gęstym listowiem najniższą gałęzią drzewa. Zaszyłem się w tym przytulnym kąciku gotów do zaśnięcia, miałem jednak dziwne przeczucie, że zdarzy się coś ważnego. Okazało się, że instynkt słusznie mi podpowiadał. Sen przerwał mi borsuk i to on właśnie wyjaśnił mi wiele spraw.

Nie udało mi się zasnąć głęboko. Leżałem w ciemnościach, a przy najśłabszym odgłosie otwierałem ślepią. Dźwięk przesypanyj ziemi gdzieś za mną sprawił, że podskoczyłem i odwróciłem się, by sprawdzić, jaka jest przyczyna hałasu. W wylocie nory na skarpie ukazały się trzy szerokie białe pasy. Podrygujący nos na końcu środkowego pasa węszył we wszystkie strony.

Nos znieruchomiał, gdy dotarła do niego moja woń.

„Kto tam?”, rozległo się pytanie.

Nie odpowiedziałem — byłem gotów zmykać.

Białe pasy stały się szersze — właściciel podziemnego mieszkania podszedł bliżej.

„Śmieszny zapach — powiedział. — Niech no ci się przyjrzę.”

Po obu stronach środkowego białego pasa dostrzegłem błyszczące ślepką. Pomyślałem, że to borsuk. I rzeczywiście tak było; dwa czarne pasy łączące się na łbie nadawały mu podobieństwo do zębry. Cofnąłem się, zdając sobie sprawę, że jeśli to stworzenie się rozeźli, może zachowywać się bardzo gwałtownie.

„To... hmmm... pies? Tak, jesteś psem, zgadza się”, domyślił się borsuk.

Odchrząknąłem, nie mogąc się zdecydować, zostać czy uciekać.

„Nie bój się — powiedział borsuk. — Nie będę ci dokuczał, pod warunkiem, że nie masz zamiaru zrobić mi krzywdy.” Wygramolił się z nory. Ujrzałem, że jego pokryte szorstką sierścią ciało ma co najmniej metr długości.

„Tak, poznałem cię po zapachu. Rzadko się zdarza, żeby jakiś pies pojawił się tu sam. Jesteś sam, zgadza się? Nie polujesz po nocy z farmerem?”



Borsuk podobnie jak lis nie dowierzał psom z powodu ich związków z ludźmi. Odzyskałem głos i nerwowo zapewniłem go, że jestem absolutnie sam.

Zdawało się, że zaskoczyło to borsuka. Wyczułem raczej, niż zobaczyłem, że przygląda mi się uważnie. Cokolwiek sobie myślał, musiał przerwać, gdyż z nory wyszedł drugi borsuk. Zapewne była to jego samica.

„Co się dzieje? Kto to?”, usłyszałem jej ostry głos.

„Siedź cicho. To tylko pies. Nie zamierza nam zrobić nic złego — odpowiedział jej samiec. — Dlaczego jesteś sam w lesie, przyjacielu? Zgubiłeś się?”

Byłem zbyt zdenerwowany, żeby od razu odpowiedzieć. Wykorzystała to samica, która wtrącała się piskliwie:

„Przeçois go! Chce złapać nasze dzieci!”

„Ależ nie... — wydusiłem z siebie. — Proszę tak nie myśleć. Wędruję tylko. Zaraz sobie pójdę dalej. Proszę się nie denerwować.” Odwróciłem się, by potruchnąć w ciemność.

„Chwileczkę — powiedział szybko samiec. — Nie odchódź jeszcze. Chciałbym z tobą porozmawiać.”

Teraz bałem się uciekać.

„Przeçois go! Przeçois go! Nie podoba mi się”, ponaglała go samica.

„Cicho! — skarcił ją spokojnie, lecz surowo. — Ruszaj na łowy. Zostaw mi porządny ślad, żebym mógł cię znaleźć. Później do ciebie dołączę.”

Samica miała na tyle rozsądku, że się nie sprzeczała. Posapując minęła mnie. Zamiast komentarza roztoczyła ohydny woń z gruczołów zapachowych w okolicy odbytu.

„Podejdz bliżej — powiedział samiec po zniknięciu swej towarzyszki. — Chcę ci się przyjrzeć.”

Jego wielgachne ciało się zmniejszyło. Uświadomiłem sobie, że poprzednio na mój widok musiał nastroszyć sierść, która wróciła teraz do normalnego położenia.

Nerwowo podszedłem bliżej, gotów rzucić się do ucieczki.

„Masz pana?”

„Nie, nie należę do nikogo. Kiedyś tak, ale już nie.”

„Źle cię traktowano?”

„Rzadko zdarza się szczęśliwy pies.”

Na te słowa borsuk pokiwał łbem.

„Rzadko kiedy zwierzęta są szczęśliwe, ale i z ludźmi jest podobnie”, powiedział sentencjonalnie.

Tym razem ja przyjrzałem mu się ze zdumieniem. Co on mógł wiedzieć na temat ludzi?

Borsuk rozsiadł się wygodnie na ziemi i zaprosił mnie, abym zrobił to samo. Po chwili wahania usłuchałem go.

„Opowiedz mi o sobie. Czy ludzie dali ci jakieś imię?”, zapytał.

„Fuks — powiedziałem, znów zaskoczony jego wiedzą. Zdawał się bardzo „ludzki” jak na borsuka. — A ty?” — zapytałem.

Borsuk zaśmiał się cicho.

„Dzikie zwierzęta nie mają imion. Sami wiemy, kim jesteśmy. Tylko ludzie nadają zwierzętom imiona.”

„Skąd o tym wiesz? To znaczy o ludziach?”

Borsuk zaśmiał się na głos.

„Kiedyś byłem człowiekiem”, powiedział.

Byłem oszołomiony. Czyżbym się przesłyszał? Opadła mi szczęka.

Borsuk roześmiał się ponownie. Wystraszony — zwalczając chęć, by wziąć nogi za pas — wyjąkałem:

„B-byłeś kiedyś...”

„Tak. Ty również. Tak samo jak wszystkie zwierzęta.”

„Ale... ale ja wiem, że byłem człowiekiem! Zdawało mi się, że jestem wyjątkiem! Ja...”

Uśmiechnął się i przerwał mi dalsze jękanie.

„Już dobrze. Od chwili, gdy cię pierwszy raz powąchałem, wiedziałem, że jesteś inny niż reszta. Spotykałem zwierzęta podobne do ciebie, ale ty jesteś wyjątkowy. Uspokój się i opowiedz mi o sobie, a potem ja powiem ci co nieco o sobie — o nas.”

Próbując uspokoić łomoczące mi w piersi serce, zacząłem opowiadać borsukowi o swoim życiu: o pierwszych wspomnieniach z targu, schronisku dla psów, złomowisku samochodów, Szefie, Rumbie, starszej pani oraz o epizodzie z chytrą lisicą. Opowiedziałem mu, dokąd zdążałem, o swoich ludzkich wspomnieniach. W miarę opowiadania uspokoiłem się, choć ekscytacja nie ustępowała. Cudownie było rozmawiać z kimś w ten sposób, zwierzyć się komuś, kto uważnie słuchał, kto rozumiał, co mówiłem, co czułem. Borsuk przez cały czas opowieści milczał, od czasu do czasu kiwając łbem, w innych momentach potrząsając nim ze współczuciem. Kiedy skończyłem, byłem całkiem wyczerpany, ale równocześnie czułem osobliwe uniesienie. Czułem, że jak gdyby spadł mi z serca wielki ciężar. Nie byłem sam — istniał jeszcze ktoś, kto wiedział to, co ja! Utkwiłem żarliwe spojrzenie w borsuka.

„Dlaczego chcesz się dostać do tego miasteczka — do Edenbridge?”

„Zobaczyć moją rodzinę, oczywiście! Moją żonę i córkę! Chcę dać im znać, że nie umarłem.”

Borsuk milczał przez chwilę, po czym powiedział:

„Przecież umarłeś.”

Byłem tak wstrząśnięty, że o mało nie stanęło mi serce.

„O czym ty mówisz? Przecież żyję! Nie jako człowiek, ale jako pies. Żyję w ciele psa!”

„Nie, człowiek, którym byłeś, umarł. Człowiek, którego znały twoja żona i córka, nie żyje. Byłbyś dla nich tylko psem.”

„Dlaczego? — zawyłem. — W jaki sposób stałem się psem? Dlaczego?!”

„Dlaczego psem? Mogłeś równie dobrze zostać każdym innym stworzeniem. Zależało to przede wszystkim od twojego poprzedniego życia.”

Otrząsnąłem się sfrustrowany i jęknąłem:

„Nie rozumiem.”

„Nie wierzysz w reinkarnację, Fuks?”, spytał borsuk.

„Reinkarnację? Życie po raz kolejny jako ktoś inny w innym czasie? Nie wiem. Nie sądzę.”

„Jesteś żywym dowodem, że to prawda.”

„Nie, musi być jakieś inne wyjaśnienie.”

„Na przykład?”

„Nie. mam pojęcia. Dlaczego jednak miałbym wracać na ziemię jako ktoś inny — jakieś inne stworzenie?”

„A jaki byłby sens, gdyby żyło się tylko raz?”

„A jaki, gdyby dwa razy?”, odparowałem.

„Czy też trzy lub cztery? Człowiek musi się uczyć, Fuks. Wszystkiego nie nauczy się w ciągu jednego życia. Wiele religii na ziemi głosi wiarę w reinkarnację w zwierzęcym wcieleniu. Człowiek musi się uczyć we wszystkich fazach rozwoju.”

„Czego?”

„Pokory.”

„Dlaczego miałbym się uczyć pokory? Po co?”

„Byś mógł przejść do kolejnego stadium.”

„Mianowicie?”

„Nie wiem. Jeszcze go nie osiągnąłem. Wierzę, że jest dobre. Czuję to.”

„Skąd więc tyle wiesz? Co ciebie czyni wyjątkowym?”

„Jestem na ziemi już bardzo długo, Fuks. Obserwowałem, uczyłem się, żyłem wiele razy. Myślę, że moim zadaniem jest pomagać takim jak ty.”

Mówił cicho i dziwnie uspokajająco, nie chciałem jednak przyjąć do wiadomości tego, co chciał mi przekazać.

„Słuchaj, płacze mi się wszystko — powiedziałem. — Chcesz powiedzieć, że mam pogodzić się z tym, że jestem psem?”

„Musisz przyjmować wszystko, co daje ci życie. i przyjmować to w pełnym słowa tego znaczeniu. Musisz nauczyć się pokory, Fuks, a to stanie się dopiero wtedy, gdy zaakceptujesz swoje położenie. Wówczas będziesz gotów do przejścia do kolejnego stadium.”

„Chwileczkę — powiedziałem zrozpaczony, zmieniając taktykę — twierdzisz, że wszyscy stajemy się zwierzętami po śmierci, tak?”

Borsuk pokiwał łbem.

„Prawie wszyscy. Ptakami, rybami, ssakami, owadami — nie ma reguł określających, do jakiego gatunku się trafi.”

„Ale przecież na świecie żyją teraz miliardy miliardów żywych istot. Nie wszystkie mogą być kolejnymi wcieleniami ludzi, nasza cywilizacja nie trwała tak długo.”

Borsuk się roześmiał.

„Oczywiście, masz rację. Obecnie znanych jest co najmniej milion gatunków, z czego ponad trzy czwarte to owady — najbardziej zaawansowane formy życia.”

„Owady są najbardziej zaawansowane?” — spytałem niedowierzającym tonem.

„Zgadza się. Pozwól jednak, że odpowiem na pierwszą część twojego pytania. Nasza planeta jest bardzo stara i przeżyła wiele razy splukujące ją do czysta powodzie. Ich celem było umożliwienie nowego początku życia, stałe powtarzanie cyklu ewolucyjnego, pozwalającego za każdym razem nauczyć się nam trochę więcej. Nasza cywilizacja bynajmniej nie była pierwsza.”

„I ci... ci ludzie wciąż wracają na ziemię, wciąż... się uczą?”

„Oczywiście. Przeważająca część postępu zależy od pamięci genetycznej gatunku, a nie od doświadczenia poszczególnych jego członków.”

„W każdym razie bez względu na to, kiedy to się zaczęło, człowiek pochodzi od zwierząt, prawda? W jaki sposób zwierzęta mogą być wcieleniami ludzi, skoro były na ziemi pierwsze?”

Borsuk skomentował to tylko śmiechem.

Wyobrazasz sobie, jak się czułem: połowa mej natury chciała mu uwierzyć, ponieważ potrzebowałem odpowiedzi (a on przemawiał w rzeczowy, bardzo spokojny sposób), a druga połowa zastanawiała się, czy nie był pozbawiony zmysłów.

„Powiedziałeś, że owady są bardziej zaawansowane w rozwoju...”

„Tak, godzą się ze swoim życiem, które jest krótsze i zapewne bardziej pracowite. Cykl życiowy samicy muszki owocowej trwa dziesięć dni, a na przykład żółw potrafi dożyć trzystu lat.”

„Strach pomyśleć, co żółw musiał zrobić w poprzednim wcieleniu, by zasłużyć sobie na taką pokutę”, powiedziałem sucho.

„Pokutę? Tak, to dobre określenie”, rzekł z namysłem borsuk.

Jęknąłem w duchu i podskoczyłem, gdy borsuk się roześmiał.

„Za wiele tego dla ciebie? — spytał. — To zrozumiałe. Pomyśl jednak, dlaczego niektóre stworzenia są dla człowieka odrażające? Dlaczego się je rozdeptuje, maltretuje, zabija czy też po prostu gardzi nimi? Może te stworzenia były tak ohydne w poprzednim wcieleniu, że część tej ohydy przetrwała? Może to kara za przeszłe winy? Wężę spędzają życie, pełzając na brzuchu, pajaka człowiek nieodmiennie rozgniata, gdy go tylko zobaczy. Ludzie robakami gardzą, na widok ślimaków ogarnia ich dreszcz. Biedne raki gotuje się żywcem. Ich śmierć jest jednak błogosławieństwem, wybawieniem od nędznej egzystencji. Natura dała im krótki żywot, a instynkt człowieka każe mu zabijać te zwierzęta. Czyni to nie tylko z odrazy, ale i ze współczucia, chęci położenia kresu ich cierpieniom. Zapłaciły za swoje. Pod powierzchnią ziemi żyje mnóstwo stworzeń, Fuks, na których nigdy nie spoczęło oko człowieka. Na przykład robaków, które żyją w płomieniach blisko jądra ziemi. Jakież zło musiały wyrządzić, by zasłużyć sobie na taką egzystencję? Czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego ludzie uważają, że piekło znajduje się w dole? A dlaczego spoglądają w górę, gdy mówią „niebo”? Czyżbyśmy byli obdarzeni instynktowną

wiedzą o tych rzeczach? Dlaczego tylu ludzi lęka się śmierci, podczas gdy inni czekają na nią z utęsknieniem? Czyżby wiedzieli, że to wymuszona hibernacja, jedynie przerwa przed życiem w innym wcieleniu, w którym trzeba będzie odpowiedzieć za wyrządzone zło? Nic dziwnego, że ci, którzy wiodą spokojne życie, mają mniej powodów, by się bać.”

Borsuk przerwał, by zaczerpnąć tchu lub też dać mi czas na przemyślenie tego, co powiedział.

„A jak wytłumaczysz istnienie duchów? — spytałem. — Wiem, że istnieją, bo je widziałem — ciągle je widuję. Dlaczego nie odrodziły się jako zwierzęta? Czy też przeszły przez to stadium? Czy właśnie do takiego poziomu zmierzamy? Jeśli tak, nie jestem pewny, czy chcę go osiągnąć.”

„Ależ nie. Obawiam się, że nie osiągnęły jeszcze naszego stadium rozwoju, Fuks. Są bliżej świata niż w poprzednim wcieleniu — dlatego łatwiej jest nam je dostrzegać — ale się zgubiły. Dlatego właśnie roztaczają wokół siebie intensywną aurę smutku. Są oszołomione i zagubione. Z niewielką pomocą odnajdą w końcu drogę i się odrodzą.”

Odrodzenie. Uderzyło mnie to słowo. Czy dlatego mój wzrok, barwy, które postrzegałem, były tak niewiarygodnie jaskrawe? Czy dlatego byłem w stanie wyczuwać najsubtelniejsze i najsilniejsze zapachy? Czy dlatego, że byłem odrodzony, zachowałem niejasne wspomnienia poprzedniego istnienia? Mogłem porównywać stare zmysły z nowymi! Noworodek widzi wszystko po raz pierwszy, wszystko jest dla niego nowe, nie mające precedensów, wkrótce jednak uczy się adaptować wzrok, tłumić barwy, eliminować zbędne elementy kształtów — uczy się nie przyjmować tego, co widzi, takim, jakim jest w rzeczywistości. Mózg uczy się sortować to, co postrzega, i przepuszczać stopniowo dane. Mój wzrok nie był już tak dobry jak w czasach szczeniństwa. Ze słuchem było podobnie. Mózg na początku był zdolny do przyjmowania wszystkich informacji, nauczył się teraz selekcjonować materiał do przyswojenia i nie był już tak wszystkim oszołomiony jak przedtem.

Wyrzuciłem z głowy takie myśli i spytałem:

„A dlaczego inne zwierzęta nie pamiętają przeszłości? Dlaczego nie są takie same jak ja?”

„Na to pytanie nie potrafię odpowiedzieć, Fuks. Jesteś inny, ale nie wiem dlaczego. Może reprezentujesz wyższy etap rozwoju? Kolejny stopień ewolucji? Spotykałem inne podobne stworzenia, ale nikogo takiego jak ty. Może rzeczywiście jesteś tylko fuksem. Chciałbym to wiedzieć.”

„Nie jesteś taki jak ja? Rumbo był prawie taki sam. Także szczur, którego kiedyś spotkaliśmy.”

„Tak, jesteśmy trochę do siebie podobni. Przypuszczam, że ja bardziej niż twój przyjaciel Rumbo i szczur. Jesteś jednak wyjątkowy, Fuks. Ja również, ale — jak ci powiedziałem — w inny sposób. Istnieję, by pomagać. Może Rumbo i szczur byli podobni do ciebie, ale sądzę, że inaczej niż ja. Niewykluczone, że jesteś zwiastunem, iż wszystko może ulec przemianie.”

„Dlaczego jednak pamiętam tylko fragmenty? Dlaczego nie mogę sobie przypomnieć wszystkiego?”

„Nie powinieneś pamiętać. Wiele stworzeń jest obdarzonych tymi samymi cechami osobowości co w poprzednich wcieleniach, ale wiele ma też tylko niejasne ich

wspomnienia, myślą jednak inaczej niż ty, nie ludzkimi kategoriami. Walka, jaka się w tobie toczy — ludzkiej i psiej natury — jak sądzę, w końcu rozstrzygnie się sama. Albo staniesz się wyłącznie psem, albo osiągniesz równowagę obydwóch części. Mam nadzieję, że stanie się to drugie — mogłoby to oznaczać postęp dla nas wszystkich. Pamiętaj jednak, że już nigdy nie staniesz się człowiekiem.”

Ogarnęła mnie rozpacz. Czego się spodziewałem? Że jakimś cudem któregoś dnia wrócę do starego ciała? Że będę mógł dalej prowadzić zwyczajne życie? Zawylem w ciemności i rozplakałem się jak nigdy przedtem.

W końcu pozbawionym wszelkiej nadziei głosem zwróciłem się do borsuka:

„Co mam teraz robić? Jak mam żyć?”

Borsuk podszedł bliżej i powiedział bardzo spokojnie:

„Pogódź się z tym. Pogódź się, że jesteś psem i to wyjątkowym psem. Może zresztą nie jesteś aż takim wyjątkiem, ale w każdym razie musisz żyć jak pies.”

„Muszę się dowiedzieć, kim byłem!”

„To ci nic nie da. Zapomnij o przeszłości i rodzinie — nie mają teraz z tobą nic wspólnego.”

„Potrzebują mnie!”

„Nie możesz nic dla nich zrobić.”

Podniosłem się z ziemi i popatrzyłem na niego ponuro.

„Nie rozumiesz. Koło nich kręci się ktoś zły. Potrzebują mojej ochrony. Myślę, że ten ktoś mnie zabił!”

Borsuk ze znużeniem pokręcił łbem.

„To nieważne, Fuks. Nic już na to nie poradzisz. Musisz zapomnieć o swojej przeszłości. Możesz pożałować, jeśli tam wrócisz.”

„Nie! — warknąłem. — Może dlatego tak dużo pamiętam. Może dlatego jestem inny. Potrzebują mojej pomocy!

Zapamiętałem to, mimo że umarłem. Muszę do nich wrócić!”

Uciekłem od borsuka, bojąc się, że każe mi ze sobą zostać. Kiedy jednak oddaliłem się na bezpieczną odległość, odwróciłem się i krzyknąłem:

„Kim jesteś, borsuku? Kim byłeś?!”

Odpowiedzi nie było. Borsuk zniknął w ciemnościach.

## Rozdział szesnasty

Mocna rzecz, prawda? Trochę przerażająca? Rzeczywiście, byłem przerażony. Czy dostrzegasz jednak sens, jaki w tym wszystkim tkwi? Jeśli jest jakiś cel, do którego zmierzamy — czy jest nim doskonałość, szczęście, ostateczny spokój umysłu czy jakkolwiek to nazwać — to najwyraźniej nie jest łatwo go osiągnąć. Trzeba sobie na to zasłużyć. Nie wiem dlaczego i wciąż nie jestem pewny, czy sam w to wierzę (a przecież jestem psem, który niegdyś był człowiekiem), więc nie będę cię winił, jeśli masz wątpliwości. Lecz, jak już kilkakrotnie powtarzałem, miej umysł otwarty.

\* \* \* \* \*

Znalazłem się na High Street w Edenbridge chyba następnego dnia. Nie jestem pewny, ile czasu zabrało mi dotarcie tam, ponieważ jak sobie pewnie wyobrażasz, w moim umyśle panował zamęt po spotkaniu z borsukiem. Musiałem się pogodzić z tym, że umarłem jako człowiek (jeśli miałem wierzyć w rewelacje borsuka), że nigdy już nim nie będę w następnych wcieleniach. Skoro jednak umarłem, jak to się stało? Ze starości? Nie wiem, czemu wątpiłem w to. We wspomnieniach żona wydawała mi się całkiem młoda, a córka nie mogła mieć więcej niż pięć lub sześć lat. Wskutek choroby? Być może. Dlaczego w takim razie żywiłem bardzo nieprzyjemne uczucia wobec owego tajemniczego mężczyzny? Dlaczego wydawał mi się zły? Czy mnie zabił?

Byłem pewny, że taka właśnie jest odpowiedź, bo niby dlaczego miałbym odczuwać w stosunku do niego nienawiść? Byłem zdecydowany dojść prawdy. Przede wszystkim musiałem jednak odnaleźć moją rodzinę.

Na High Street było tłoczno od kupujących i ciężarówek dostawczych. Widok ten był mi dziwnie znajomy. Musiałem tu mieszkać, powiedziałem sobie, i pewnie dlatego tak przyciągało mnie to niewielkie miasteczko. Po prostu inaczej nie trzymałoby się to kupy, powtarzałem sobie.

Kupujących musiał zastanawiać widok mieszkańca krążącego po ulicy, wpatrującego się w twarze mijających go ludzi, zaglądnącego ukradkiem do otwartych sklepowych drzwi. Ignorowałem wszelkie przywoływania, ponieważ miałem o wiele ważniejsze zadanie niż beztrioskie igraszki.

Do późnego popołudnia nie posunąłem się ani o krok do przodu. Nie przypominałem sobie dokładnie żadnego sklepu, baru ani ludzi, choć wszystko wydawało mi się dziwnie znajome. Dał mi znać o sobie stary druh — dokuczliwy głód, wcale nie zamierzał wypuścić mnie ze swych objęć tylko dlatego, że miałem inne problemy na głowie. Sklepikarze przeganiali mnie, gdy tylko wtykałem wężący nos za drzwi. Kłapnięcie zębami koło przeładowanej siatki z zakupami przypłaciłem trzepnięciem po pysku i potokiem przekleństw.

Nie chcąc narobić sobie kłopotów (nie zamierzałem dać się złapać przez policję, ponieważ musiałem zostać w miasteczku do zdarzenia się czegoś, co przywróciłoby mi pamięć), opuściłem główną ulicę i znalazłem się w sporej dzielnicy willowej. Do Edenbridge w ciągu ostatnich dwudziestu lat przeprowadziło się wielu mieszkańców południowych dzielnic Londynu, porzucając slumsy na rzecz domów w eleganckiej wiejskiej okolicy. Wielu z nich przywykło do nowego środowiska, ale byli i tacy (jak Lenny, współnik Szefa), którzy wciąż tęsknili za starym otoczeniem i spędzali mnóstwo czasu na krążeniu między dwiema całkowicie odmiennymi społecznościami. Zdawałem sobie z tego sprawę, ponieważ najprawdopodobniej mieszkałem w tym miasteczku i znałem jego historię. Nie wiedziałem jednak dokładnie, gdzie mieszkałem. Czy w jednej z tych willi? Nie, chyba nie.

Pobiegłem za dwoma chłopcami do ich domu, ku ich wielkiemu zadowoleniu. Dzięki temu poderwałem kilka smakowitych kąsków od ich boczącej się, ale łaskawej matki. Nie najadłem się do syta, wystarczyło jednak na tyle, by kontynuować poszukiwania. Wymknąłem się więc przez ogród i pobiegłem z powrotem na High Street.

Tym razem skręcałem we wszystkie boczne uliczki po jednej stronie po kolei. Później to samo zrobiłem po drugiej stronie, nic jednak nie wyzwoliło fali

wspomnień, której się spodziewałem.

Zapadła noc, a ja pograżyłem się w czarnej rozpacz. Nie posunąłem się ani o krok w swoich poszukiwaniach. Byłem pewny, że po dotarciu do miasteczka uda mi się bez trudu odnaleźć mój dom — znajoma sceneria posłużyłaby mi za przewodnika — tymczasem tak się nie stało. Myśli moje wciąż błądziły w ciemnościach, tak jak ja po mieście.

Dotarłem na sam kres miasta, mijając most, wielki garaż i szpital. Przedemną rozpościerały się tylko ciemne pola. Zrozpaczony wlałem na teren szpitala, znalazłem zakątek na tyłach białego parterowego budynku i zasnąłem.

Następnego ranka obudził mnie cudowny zapach potraw. Kierując się tym zapachem, dotarłem do otwartego okna, przez które się wydobywał. Wspiąwszy się na tylne łapy, położyłem łeb na parapecie. Niestety, okno było zbyt wysoko, bym mógł zajrzeć do środka, lecz wystawiwszy nos, napawałem się wspaniałymi zapachami. Głośno wyraziłem aprobatę, po czym nade mną pojawiła się wielka okrągła, z ciemnymi włosami głowa, szczerząca w uśmiechu białe zęby. Na twarz postawnej kobiety na mój widok wykwitł czerwonopomarańczowy rumieniec.

— Głodny jesteś, mordko? — spytała kobieta. Zamerdałem ogonem z ozywieniem.  
— Zaczekaj chwilę, nie odchodź — powiedziała.

Po chwili pojawiła się znów rozpromieniona twarz kucharki. Uśmiech, jaki na niej widniał, groził, że głowa rozpadnie się na połówki. Przed moim nosem zakołysał się cienki płat na poły przypalonego boczku.

— Wtrząchnij to, słodziutki — powiedziała kucharka, wrzucając mi gorący skrawek mięsa do pyska.

Wyplułem boczek natychmiast, ponieważ oparzył mi gardło. Poczekąłem chwilę, po czym łapczywie go połknąłem.

— Dobry piesek — dobiegł mnie z góry głos kobiety. Koło mnie na żwir pacnął jeszcze jeden plasterk boczku. Nie ostał się dłużej niż poprzedni. Podniosłem łeb i z nadzieją wywiesiłem język.

— Łapczywy jesteś, wiesz? — powiedziała kolorowa (wielokolorowa) kucharka ze śmiechem. — No dobrze, dostaniesz jeszcze jeden, ale później zmykaj, bo mi się za ciebie oberwie!

Obiecany trzeci plasterk zniknął również szybko, po czym znowu podniosłem łeb, licząc na jeszcze. Wciąż chichocząc kobieta pogroziła mi palcem i kończąc naszą znajomość, zamknęła okno.

Dzięki takiemu nie najgorszemu początkowi dnia odzyskałem nieco humoru. Ruszyłem w stronę głównego wejścia do szpitala. Miałem w brzuchu ciepłe jedzenie i czekał mnie cały dzień poszukiwań. Może życie (czy też śmierć) nie było takie najgorsze! Jak powiedziałem, psy to urodzeni optymiści.

Pokonałem bramę i skręciłem w stronę High Street. Byłem pewny, że jedynie tam mogę znaleźć coś czy kogoś, kogo znałem.

Zamyślony wszedłem na jezdnię i wrzasnąłem z przerażenia, gdy koło mnie z rykiem przejechał zielony potwór. Autobus zjechał na pobocze, a ja uciekłem na drugą stronę drogi z podkulonym ogonem, ścigany przekleństwami kierowcy i gniewnym wyciem klaksonu. Skuliłem się w żywopłocie, łypiąc ze strachu ślepiami. Kierowca po ostatnim groźnym geście wrzucił wreszcie bieg i powoli odjechał.



Z rzędu okien mijającego mnie autobusu wyglądały w moją stronę twarze pasażerów. Niektórzy wpatrywali się we mnie oskarżycielsko, inni z politowaniem. Jedna para oczu przyglądała mi się najdłużej. Mała dziewczynka odwróciła głowę i wpatrywała się we mnie przez tylną szybę, dopóki nie zniknąłem jej z oczu.

Dopiero gdy autobus zniknął za mostem, uświadomiłem sobie, na kogo patrzyłem i kto mnie się przyglądał. Była to moja córka, Gillian. Nazywałem ją Polly, ponieważ bardziej mi się podobało to imię. Miałem rację! Edenbridge było moim domem! Odnalazłem rodzinę!

Jednak nie do końca. Autobus odjechał, mnie się przypomniały imiona mojej córki i drobna sprzeczka na ich temat. I co dalej? Czekałem na pojawienie się innych wspomnień. Jednak nic więcej nie wypłynęło z głębin mojej pamięci.

Jęknąłem z rozpaczy i tęsknoty. Ruszyłem za autobusem, zdecydowany go dogonić, by nie zmarnować szansy wynikającej z tego spotkania. Gdy dotarłem na most, dostrzegłem autobus w oddali stojący na przystanku. Naszczekując gorliwie, przyśpieszyłem tempo. Pomknąłem High Street jak kula armatnia. Na nic mi się to jednak zdało: autobus ruszył powoli z przystanku i potoczył się długą ulicą. Patrzyłem za nim, jak staje się coraz mniejszy. Narastający ból w łapach zmusił mnie do zatrzymania się. Ledwie dyszałem z wysiłku.

Przegrałem. Autobus z moją córką zniknął w oddali.

Kolejne dwa dni spędziłem na meczących poszukiwaniach — poszukiwaniach w miasteczku i w swoim umyśle. Okazały się bezowocne. Dzięki szczodrości kolorowej kucharki ze szpitala regularnie jadałem śniadania i kolacje. Resztę czasu spędzałem na krążeniu po mieście i jego obrzeżach. Wszystko okazało się bezskuteczne. Wreszcie trzeciego dnia — musiała być to sobota, sądząc po tłumie kupujących — powiodło mi się.

Krążyłem w tę i z powrotem po High Street, starając się jak najmniej rzucać się w oczy (kilka osób próbowało mnie już złapać, zaczęli też poznawać mnie sklepikarze). Trafiłem na zaułek prowadzący na parking na tyłach sklepów i nagle zobaczyłem tam znajomą małą figurkę, podskakującą koło kobiety. Zniknęły za rogiem, natychmiast jednak sobie uświadomiłem, kto to był. Serce o mało nie wyskoczyło mi gardłem, nagle straciłem władzę w nogach.

„Carol! — wychrypiąłem. — Carol! Poły! Zaczekajcie na mnie! Stańcie!”

Kupujący musieli pomyśleć, że zabląkał się pomiędzy nich wściekły pies. Zamarli na dźwięk mojego szczekania i ze zdumieniem przyglądali się, jak chwiejnie wchodzę w zaułek. Czułem się jak w złym śnie: wstrząs sprawił, że nogi zamieniły mi się w galarete i za nic nie chciały funkcjonować. Starąłem się wziąć w garść, zdając sobie sprawę, że była to szansa, której nie mogłem stracić. Usiłowałem tchnąć siły w odmawiające posłuszeństwa kończyny. W końcu mi się to udało, straciłem jednak cenne sekundy. Ruszyłem w pościg za matką i córką, za moją żoną i dzieckiem. Zdażyłem zobaczyć, że wsiadają do zielonego renault.

„Carol! Zatrzymaj się! To ja!”

Obydwie odwróciły się i popatrzyły w moją stronę. Na ich twarzach pojawiło się zaskoczenie, które zastąpił strach.

— Szybko, Gillian — usłyszałem głos mojej żony — wsiadaj do samochodu i zamknij drzwi.

„Nie, Carol, to ja! Nie poznajesz mnie?”

Błyskawicznie pokonałem parking i przypadłem szcękając do zielonego renault. Rozpaczliwie pragnałem, by żona mnie poznała.

Żona i córka wpatrywały się we mnie z przerażeniem. Nie potrafiłem na tyle dojść do siebie, by się opanować; ogarnęło mnie zbyt wielkie podniecenie. Carol opuściła okno po swojej stronie i zaczęła machać na mnie ręką: — Precz, idź sobie! Brzydki pies!

„Carol, na miłość boską, to ja, Nigel!” (Nigel? Przypomniałem sobie, że tak brzmiało moje poprzednie imię. Chyba wołałem to niż „Horacy”).

— Mamo, to ten biedny piesek, o którym ci opowiadałam. Ten, którego o mało nie przejechał autobus — usłyszałem głos mojej córki.

Córki? Zastanowiłem się. Czy rzeczywiście była to moja córka? Wydawała się o wiele starsza, niż pamiętałem. Przynajmniej o dwa lub trzy lata. Tą kobietą była jednak Carol i wołała na dziewczynkę Gillian. Oczywiście, że to była moja córka!

Znów skoczyłem na bok samochodu i przytknąłem nos do opuszczonej do połowy szyby.

„Polly, to ja twój tatuś! Nie przypominasz mnie sobie, Polly?” — spytałem błagalnie.

Carol trzepnęła mnie po łbie, nie złośliwie, lecz w samoobronie. Silnik samochodu ożył, odezwały się zmieniane biegi i samochód powoli ruszył z miejsca.

„Nie! — krzyknąłem. — Nie zostawiaj mnie, Carol! Proszę cię, nie zostawiaj mnie!”

Rzuciłem się niebezpiecznie blisko odjeżdżającego samochodu, wkrótce jednak zostałem z tyłu. Szlochałem na widok wymykających się moich dwóch kobiet. Wiedziałem, że nigdy nie dogonię samochodu, że znów znikają z mojego życia. Miałem ochotę rzucić się im pod koła, byle je tylko zatrzymać. Powstrzymał mnie jednak zdrowy rozsądek i mój stary druh, tchórzostwo.

„Wróćcie, wróćcie!”, krzyczałem, ale oczywiście nie wróciły.

Ujrzałem jeszcze przerażone oczy Poiły, gdy samochód skręcał z wąskiej uliczki na drogę w stronę przedmieścia. Siłą woli chciałem zmusić żonę do zatrzymania się, ale na próżno. Odjechały.

Wielu gapiów przyglądało mi się z zaciekawieniem. Miałem na tyle rozumu, że zmyłem się, nim komuś wpadło do głowy donieść o mnie policji. Ruszyłem za renault. Po drodze w mojej głowie kłębiły się coraz to nowe wspomnienia.

Wkrótce przypomniałem sobie, gdzie mieszkałem.

## Rozdział siedemnasty

Marsh Green to mała wioska tuż pod Edenbridge. Ma jedną uliczkę. Na jednym jej końcu znajduje się kościół, a na drugim bar, do tego dochodzi sklep wielobranżowy w środku i kilka domów w dwóch rzędach. Zatrzymałem się właśnie przed jednym z tych domów i utkwilem w nim wzrok.

Wiedziałem, że kiedyś mieszkałem tu z żoną i córką. Nazywałem się Nigel Nettle. Pochodziłem z Tonbridge w hrabstwie Kent. Jako chłopiec często pomagałem tamtejszym farmerom (stąd moja wiedza o wsi i zwierzętach), ale karierę zrobiłem —

któż by uwierzył — jako producent tworzyw sztucznych. Udało mi się założyć małą fabryczkę w Edenbridge (w niewielkiej dzielnicy przemysłowej pod miasteczkiem) i wyspecjalizowałem się w produkcji elastycznych tworzyw do pakowania. W miarę rozwoju interesu zakładałem filie w innych rejonach. Przeprowadziliśmy się do Marsh Green, by być bliżej fabryczki, i coraz więcej czasu zajmowały mi dojazdy do Londynu w sprawach firmy (dlatego właśnie znajoma była mi droga do metropolii).

O ile sobie przypominałem, byliśmy bardzo szczęśliwi; miłość do Carol nie malała z upływem czasu, lecz stawała się coraz dojrzała. Poili była radością naszej rodziny, mieliśmy wymarzony dom, a przedsiębiorstwo szybko się powiększało. Co się więc stało? Umarłem, oto co.

Jak i kiedy (Polly była teraz o wiele większa, niż sobie przypominałem), tego jeszcze się musiałem dowiedzieć; byłem jednak coraz bardziej przekonany, że moja śmierć łączyła się z tajemniczym mężczyzną, który tak często pojawiał się w moich snach i wspomnieniach, a którego mimo to nie udawało mi się rozpoznać. Jeśli wciąż stanowił zagrożenie dla mojej rodziny (ta myśl mnie nie opuszczała) i jeśli miał coś wspólnego z moją śmiercią (coś mi podpowiadało, że był jej przyczyną), wtedy musiałbym znaleźć sposób, jak się z nim porachować. Teraz jednak chciałem natychmiast znaleźć się koło Carol i Polly.

O ile pamiętani, było około piątej po południu. Słońce kryło się za ciężką opończą chmur. Znajdowałem się u wylotu drogi i wpatrywałem się w stojący przede mną dom. Ściany parteru zbudowane były z czerwonej cegły, a pierwsze piętro pokrywały czerwone płytki; otwory okien i drzwi pomalowano na biało. Rozlewało się we mnie dziwne ciepło; bez przerwy przelykałem ślinę.

Musiałem się opanować. Zachowanie takie jak w Edenbridge nie miało sensu. Wystraszyłoby jeszcze bardziej żonę i córkę. Zachowuj się jak normalny pies; kiedy się do ciebie przyzwyczają, będzie mnóstwo czasu na przekazanie im, kim jesteś — tłumaczyłem sobie.

Podniosłem łapą rygiel w bramce do ogrodu, pchnąłem bramkę i ruszyłem ścieżką, panując nad rozdygotanymi nerwami i drżącym ciałem. Dotarłem do frontowych drzwi i poskrobałem w nie łapą.

Cisza. Spróbowałem raz jeszcze. i tym razem nie było reakcji. Wiedziałem, że są w środku, ponieważ zielony renault stał w otwartym garażu po lewej stronie.

Zaszczekałem, zrazu cicho, potem głośniejsze:

„Carol! — wołałem. — To ja, Carol, otwórz drzwi!”

Usłyszałem w środku kroki zbliżające się korytarzem. Z wielkim wysiłkiem woli powstrzymałem się od szczekania i powarkiwania. Drzwi uchyliły się lekko i przez dwucalową szparę wyjrzało oko.

— Mamo, to znowu ten pies! — zawołała Polly. Szczelina zwężyła się. Oko wpatrywało się we mnie z zainteresowaniem, ale i z obawą.

Na korytarzu rozległy się ponownie kroki, po czym nad okiem Poili pojawiło się oko Carol. Popatrzyła na mnie ze zdumieniem.

— Jak się tu znalazłeś? — zapytała.

„Pamiętałem, gdzie mieszkamy, Carol. Nie mogłem pogonić za samochodem, ale pamiętałem. Nie zabrało mi to wiele czasu!” — Z trudem się hamowałem.

— Uciekaj! Bądź dobrym psem, idź sobie! — pogoniła mnie Carol.

Zaskomlałem. Nie chciałem odchodzić, ledwie ich odnalazłszy.

— Och, mamusiu, on jest chyba głodny — powiedziała Polly.

— Może być niebezpieczny, kochanie. Nie możemy ryzykować.

„Proszę — jęknąłem, obdarzając je najbardziej błagalnym spojrzeniem, na jakie było mnie stać. — Potrzebuję was, nie wyrzućcie mnie!”

— Patrz, mamó, on chyba płacze.

Istotnie tak było. Łzy spływały mi po policzkach.

— To niemożliwe. Psy nie płaczą — powiedziała Carol. Jest jednak inaczej. Prawdę mówiąc, nie płakałem, ale ryczałem jak bóbr.

— Proszę, mamó, wpuść go. Jestem pewna, że nie zrobi nam krzywdy — powiedziała błagalnie Polly. Carol popatrzyła na mnie z powątpiewaniem.

— Bo ja wiem? Nie wygląda na bardzo groźnego, ale z psami nigdy nic nie wiadomo. Trudno przewidzieć ich zachowanie.

Płasczyłem się przed nimi, starając się wyglądać jak najżałośniej. Byłem zdolny skruszyć najtwardsze serce, a wiedziałem, że serce mojej żony nie należało do twardych.

— No dobrze, wchodź do środka — powiedziała z westchnieniem.

Drzwi się otworzyły. Wpadłem do środka jak błyskawica, jednocześnie śmiejąc się i płacząc, całując i liżąc im stopy oraz dłonie. Żona i córka z początku cofnęły się przestraszone, wkrótce jednak zdały sobie sprawę, że nie mam wobec nich złych zamiarów.

— Jest uroczy, mamusiu! — zawołała Polly i przyklękła na oba kolana, by się ze mną pobawić. Na twarzy Carol na moment pojawił się lęk, znikł jednak, gdy ujrzała, jak obsypuję buzię Poity wilgotnymi pocałunkami. Nie potrafię przekazać ci, jak się w tamtej chwili czułem — nawet teraz na jej wspomnienie serce podchodzi mi do gardła. Jeśli jednak chwile życia kończą się jak epizody w książce, byłby to koniec rozdziału. Może nawet koniec książki.

Moja żona przyłączyła się do córki. Przykucnęła i czule głaskała mnie po karku. Popełniłem błąd, starając się ją objąć i pocałować w usta. Krzyknęła przestraszona, ale i zachwycona. Przewróciliśmy się na dywanik w korytarzu, chichocząc szaleńczo. Starając się mnie oderwać od matki, Poity wbiła mi palec w zębra. Zacząłem się zwijać po podłodze od łaskotek. Mocny uścisk zamienił się w delikatne łaskotanie, gdy Polly uświadomiła sobie, że jestem na nie wrażliwy. Zabawa skończyła się, gdy trysnęła ze mnie pierwsza stróżka uryny (staralem się temu zapobiec, ale nigdy nie radziłem sobie najlepiej z pęcherzem). Carol zerwała się z podłogi i pociągnęła mnie za obrozę do drzwi.

Znów znalazłem się na ścieżce. Chcąc przekonać żonę, że naprawdę jestem czystochem, wykonałem przesadzoną pantomimę z uniesieniem łapy (co samo w sobie jest sztuką) i zroszeniem grządki z kwiatami. Carol nie była z tego zbyt zadowolona, ale zrozumiała, że w ten sposób chciałem czegoś dowieść. Czekałem cierpliwie, uśmiechając się do niej promiennie i szaleńczo machając ogonem, tak że tworzył rozmazaną plamę, desperacko pragnąc objąć ją i powiedzieć, jak bardzo wciągam ją kocham, póki znów nie zaprosiła mnie do domu.

„Dziękuję!”, szczechnąłem i wpadłem pomiędzy jej nogami na korytarzyk.

Polly pogoniła za mną. Jej śmiech dźwięczał w moich uszach jak najpiękniejsza muzyka. Dotarłem do kuchni i zacząłem się sycić jej widokiem. Wspomnienia wracały jak starzy znajomi z przechadzki. Wszystko było znajome: wielki stary poczerniały piec z żelazną płytą — relikwium przeszłości, który zdecydowaliśmy się zachować, okrągły sosnowy stół pokryty rozmyślnie wydrapanymi inicjałami, kółeczkami, krzyżykami, napisami KOCHAM CIĘ, WSZYSTKIEGO NAJLEPSZEGO i wszelkimi innymi, jakie uznaliśmy za godne zachowania dla potomności, antyczny zegar, który zawsze informował nas, że jest wpół do czwartej, ale czynił to w skończenie elegancki sposób, niebiesko — żółta waza na parapecie, wyglądająca, jak gdyby powstała z układanki (rezultat moich troskliwych prac konserwatorskich po tym, jak Polly strąciła ją na podłogę, tłumacząc się później, że „ona tylko przechodziła obok”). W kuchni, oczywiście, znajdowały się też nowe sprzęty, ale uważałem je tu za obce wtręty. Westchnąłem, gotów znów zalać się łzami, gdy z nostalgii wyrwała mnie dłoń Carol, chwytająca za obrożę.

— Zobaczmy, czyj jesteś — powiedziała Carol, obracając blaszkę z imieniem. — Fuks? Tak się nazywasz? Polly przyłożyła dłoń do ust i zachichotała szczebiotliwie.

— Nie ma adresu. Nikt cię nie chce, co? — spytała Carol, kręcąc głową. Przytaknąłem.

— Możemy go zatrzymać? — spytała Polly z podnieceniem.

— Nie — odpowiedziała zdecydowanie Carol. — Zabierzemy go jutro na posterunek i sprawdzimy, czy nikt nie zgłosił jego zaginięcia.

— Ale zatrzymamy go, jeśli nikt nie będzie go chciał?

— Nie wiem, będziemy musiały spytać wujka Rega.

„Wujek Reg? A któż to taki?”, pomyślałem.

Polly na razie to wystarczyło. Zaczęła przegarniać palcami sierść na moim grzbiecie. — Możemy nakarmić Fuksa, mamó? Na pewno jest bardzo głodny.

— No dobrze, zobaczą, co mamy dla niego.

„Proszę, Carol, nie mów o mnie w trzeciej osobie. Mów mi Fuks, nawet Horacy, ale nie tak.”

Carol podeszła do lodówki, której tu kiedyś nie było, i zajrzała do środka.

— Na pewno masz ochotę na nogę jagnięcia lub soczysty stek, co, Fuks?

Pokiwałem głową, oblizując się, Carol jednak zamknęła lodówkę i powiedziała do Polly:

— Pobiegnij do sklepu, kup mu puszkę pokarmu dla psów. To mu powinno z powodzeniem wystarczyć do jutra.

— Mogę zabrać Fuksa ze sobą, mamó? — Poiły podskoczyła z radością, ucieszona perspektywą wyprawy. Udzieliła mi się jej radość.

— Dobrze, ale pilnuj, żeby nie wbiegł na jezdnię.

Ruszyliśmy więc, córka i ja, dziewczynka i pies, drogą, która dochodziła do ulicy prowadzącej ku jednemu sklepowi w wiosce. Po drodze się bawiliśmy; zapomniałem nawet na kilka chwil, że jestem ojcem Polly — stałem się jej towarzyszem zabawy. Trzymałem się blisko jej stóp, co jakiś czas podskakując, by chwycić zębami za

sweterek. Gdy się potknęła i upadła, polizałem jej twarz. Usiłowałem też wylizać jej otarte kolana, ale odepchnęła mnie i pomachała przed nosem ostrzegawczo podniesionym palcem. Kiedy kupowała mi jedzenie w sklepie, zachowywałem się przykładnie, nie dając się skusić stercie łątych do sięgnięcia chrupek „wielosmakowych”. Wróciliśmy biegiem. Pozwoliłem jej wyprzedzić się przez większość drogi, a gdy dotarła do bramy, ukryłem się za drzewem. Polly rozejrzała się zaskoczona i zawołała mnie po imieniu. Zagrzebałem się w wysoką trawę pod pnem i nie wychodziłem. Usłyszałem kroki kierujące się z powrotem drogą i gdy znalazły się koło mojej kryjówki, zerwałem się, okrążyłem drzewo i pognałem do bramy. Polly rzuciła się za mną w pościg, ale nie miała szans w tej gonitwie.

Rozchichotana i zdyszana, dopadła mnie wreszcie, zarzuciła mi ręce na szyję i uściśnęła mocno.

Weszliśmy do domu — mojego domu. Polly opowiedziała Carol o wszystkim, co się zdarzyło. Pół puszki pokarmu znalazło się na talerzu na podłodze przede mną oraz miska pełna wody. Dorwałem się do jedzenia i sprzątnąłem wszystko. Później poprosiłem o dokładkę. I otrzymałem.

Wszystko było cacy. Byłem w domu ze swoją rodziną. Miałem pełen brzuch i nadzieję w sercu. Zamierzałem znaleźć sposób poinformowania ich, kim byłem, a gdyby mi się nie powiodło... cóż, czy rzeczywiście miało to takie znaczenie? Wystarczy, że byłem z nimi i mogłem je chronić przed tajemniczym intruzem. Moja prawdziwa tożsamość nie była najistotniejsza. Nie martwiłem się mającą nastąpić wizytą na posterunku, bo wiedziałem, że nikt się po mnie nie zgłosi. Byłem pewny, że uda mi się wkraść w łaski żony na tyle, by zdecydowała się mnie zatrzymać. Tak — wszystko było cacy.

Niestety, sprawy zwykły się zawsze obracać przeciwko mnie, kiedy wydawało się, że wszystko jest jak najbardziej cacy.

\* \* \* \* \*

Zaczęła się pierwsza noc w domu, który był znów moim domem (taką miałem nadzieję). Polly powędrowała do łóżka na górę. Carol siedziała na sofie z podwiniętymi nogami i oglądała telewizję. Leżałem koło niej rozciągnięty na podłodze, nie spuszczać z niej oka. Od czasu do czasu Carol spoglądała na mnie; uśmiechałem się do niej, wzdychając głęboko z ukontentowania. Kilkakrotnie próbowałem jej powiedzieć, kim jestem, lecz najwidoczniej tego nie rozumiała. Kazała mi jedynie przestać szczyrzyć zębiska. Zrezygnowałem w końcu i poddałem się ogarniającemu mnie zmęczeniu. Nie zasypiałem — byłem na to zbyt szczęśliwy. Pełnym podziwu wzrokiem patrzyłem na żonę.

Nieznacznie się postarzała. W kącikach oczu i na szyi pojawiły się kreseczki, których nie było tam wcześniej. Wyczuwało się w niej smutek, był to jednak smutek głęboko ukryty, taki, który widziało się raczej oczami duszy i ciała. Było dla mnie oczywiste, dlaczego tak jest.

Zastanawiałem się, jak sobie beze mnie radzi, jak Poily przyjęła moją śmierć. Zastanawiałem się, czy pogodziłem się ze stwierdzeniem borsuka, że definitywnie umarłem jako człowiek. W saloniku było nadal tak przyjemnie jak w moich o nim wspomnieniach. Atmosfera całego domu była jednak teraz odmienna. Zniknęła z niego ta część osobowości, którą tworzyłem. To ludzie tworzą atmosferę, nie cegły, drewno czy sprzęty — te stanowią jedynie wystrój domu.

Rozglądałem się za fotografiami, mając nadzieję, że znajdę zdjęcie, z którego dowiem się, jak wyglądałem. Ku mojemu zdumieniu nie było żadnego. Gorączkowo się starałem przypomnieć sobie, czy w domu znajdowała się moja fotografia w ramce, lecz jak to zwykle się zdarzało, gdy usiłowałem sobie coś świadomie przypomnieć, nic z tego nie wychodziło. Być może zdjęcia stanowiły dla Polly i Carol zbyt bolesne wspomnienia i zostały schowane do czasu, aż będzie można na nie patrzeć bez bólu.

Nie miałem pojęcia, jak się dowiedzieć, czy moja firma należy do żony, czy została sprzedana. Nie wyglądało jednak na to, by Carol miała jakieś kłopoty finansowe. Wskazywała na to obecność w domu nowych sprzętów — lodówki w kuchni, nowego telewizora w saloniku oraz rozmaitych mebli.

Mimo zmarszczek Carol była równie atrakcyjna jak kiedyś. Nigdy nie uchodziła za piękność, ale w jej twarzy było coś, co kazało tak o niej myśleć. Jej ciału wszędzie brakowało cała do pulchności jak zawsze. Miała cudowne nogi o wdzięcznym kształcie. Paradoksalne, ale jej widok wywołał w moim psim ciele po raz pierwszy przypływ pożądania, przebudzenie tego głodu. Pożądałem swojej żony, ona jednak była kobietą, a ja psem.

Szybko wróciłem myślami do Polly. Jak ona wyrosła! Straciła dziecięcą pyzatość, ale nadal była urokliwa. Jasna cera i ciemniejące włosy podkreślały niewielką delikatną twarzyczkę. Ze zdumieniem i dziwnym wzruszeniem widziałem, że wieczorem włożyła do oglądania telewizji okulary w brązowych oprawkach. Jeszcze w nich wysubtelniała. Byłem z niej zadowolony. Wyrosła na dobre dziecko, pozbawione drażliwości czy niezgrabności, jaką wykazuje wiele dziewczynek w jej wieku. Między nią a matką zdawała się istnieć wyjątkowa więź, być może zrodzona ze straty bliskiego im obojgu człowieka.

Jak wcześniej zauważyłem, miała mniej więcej siedem lub osiem lat. Zastanawiałem się, jak długo nie żyję.

Na zewnątrz niebo zmatowiało i zaczęła się noc. W powietrzu czuć było wieczorny chłód, Carol włączyła długi, wąski piecyk elektryczny (kolejny nowy sprzęt; kiedyś woleliśmy rozpalać ogień w prawdziwym kominku, buchający wysoko płomieniami; być może romantyzm odszedł wraz ze mną) i wróciła na sofę. Wnętrze pokoju nagle oświetliły reflektory zajeżdżającego pod dom samochodu. Samochód zatrzymał się i ruszył ponownie po otwarciu przez kierowcę bramy. Carol przekrzywiła głowę i spojrzała w okno, po czym zręcznie poprawiła włosy i wygładziła spódnice na udach. Światła samochodu jeszcze raz przejechały po salonie i zniknęły. Silnik ucichł, trzasnęły drzwiczki i koło okna przeszła pogrążona w cieniu sylwetka, postukująca po szybie palcami.

Poderwałem łeb i zawarczałem groźnie, nie spuszczać cienia z oka, póki nie zniknął spod okna.

— Cśśś, Fuks, uspokój się — powiedziała Carol, klepiąc mnie po łbie.

Usłyszałem zgrzyt klucza obracającego się w zamku i kroki w korytarzu. Poderwałem się na równe nogi. Zaniepokojona Carol chwyciła mnie za obrożę. Sprężyłem się, zeszytniałem, gdy zaczęły się uchylać drzwi do salonu.

— Halo... — powiedział wchodzący do pokoju mężczyzna z uśmiechem na twarzy.

W tym momencie wyrwałem się Carol i rzuciłem na niego, rycząc z wściekłości i nienawiści. Rozpoznałem tego człowieka.

To on mnie zabił!

## Rozdział osiemnasty

Skoczyłem, zębami starając się złapać go za gardło. Udało mu się jednak wystawić rękę. Było to lepsze niż nic, więc wbiłem w nią zęby.

Carol krzyczała, nie zwracałem na nią uwagi. Nie miałem zamiaru pozwolić zbliżyć się do niej temu mordercy. Mężczyzna krzyknął z bólu i wczepił drugą rękę w moją sierść. Zatoczyliśmy się na ościeżnicę drzwi i osunęliśmy na podłogę. Wściekłość dodawała mi sił przy ataku. Czuć było od niego woń strachu, która napawała mnie radością.

Carol usiłowała oderwać mnie od mężczyzny; najwyraźniej bała się, że go zabije. Nie rozwierałem jednak zaciśniętych szczęk. Czyżby nie rozumiała, że grozi jej niebezpieczeństwo?

Przez kilka chwil patrzyłem mu prosto w twarz. Wydał mi się dziwnie znajomy. On też — być może należy to złożyć na karb mojej wyobraźni — zdawało się, że mnie poznawał. Chwila ta wkrótce minęła i zwaliliśmy się na podłogę, spleceni w bezładny kłęb. Carol zdołała w tym czasie zacisnąć ręce na mojej szyi, równocześnie dusiła mnie i odciągała od mężczyzny, który wolną ręką złapał mnie za pysk, próbując rozluźnić uścisk szczęk. Ich połączone siły zrobiły swoje — musiałem go puścić.

Mężczyzna natychmiast walnął mnie pięścią w podbrzusze. Zaskowyczałem z bólu, z trudem łapiąc powietrze.

Rzuciłem się z powrotem do ataku, mężczyźnie udało się jednak zewrzeć ręce na moich szczękach, unieruchamiając mi łeb. Usiłowałem podrapać go pazurami, ale chroniła go marynarka. Próbowałem przewrócić go. Niestety, szarpnięcie w przód uniemożliwiały mi dłonie Carol zaciśnięte na moim karku. Krzyczałem, żeby mnie puściła, ale spomiędzy zaciśniętych zębów dobywało się jedynie stłumione warczenie.

— Trzymaj go, Carol! — wydyszał mężczyzna. — Wyrzucimy go za drzwi!

Zaciskając mocno rękę na moim pysku, drugą dłonią chwycił obrożę i zaczął ciągnąć mnie korytarzykiem. Carol pomagała mu, trzymając mnie za ogon. Wspólnie wlekli mnie ku wyjściu. W ślepiach wzbierały mi łzy zawodu. Dlaczego Carol mu pomagała?

Gdy znalazłem się w pół drogi do drzwi, ujrzałem przez moment u szczytu schodów Polly. Po jej twarzy spływały łzy.

— Zostań tam! — krzyknęła Carol, gdy ją również spostrzegła. — Nie schodź na dół!

— Co robicie z Fuksem, mamó? — jęknęła Polly. — Dokąd go zabieracie?

— Nic się nie stało, Gillian — powiedział mężczyzna między stęknieniami. — Musimy wyprowadzić go na zewnątrz.

— Dlaczego? Co on zrobił?

Zignorowali jej pytania, ponieważ uświadamiając sobie, że przegrywam, zdwoiłem wysiłki. Szarpnąłem się, kręciłem szyją, zapierałem się łapami w dywanik. Na nic się to zdało, byli silniejsi.

Znaleźliśmy się przy drzwiach wejściowych. Carol je otworzyła. Na sierści poczułem świeży powiew powietrza. Rozpaczliwym wysiłkiem wyrwałem łeb z rąk



trzymającego mnie mężczyzny i krzyknąłem: „Carol, to ja, Nigel! Wróciłem do ciebie! Nie pozwól mu, żeby mnie wyrzucił!”

Carol oczywiście usłyszała jedynie wściekłe psie szczekanie.

Zanim zostałem wyrzucony i zatrzasnęły się za mną drzwi, zdążyłem jeszcze rozerwać rękaw marynarki mężczyzny i rozorać mu zębami nadgarstek.

Skakałem na drzwi, wyjąc rozpaczliwie. Dobiegł mnie zza nich głos Carol uspokajającej Poiły. Potem usłyszałem głos mężczyzny. Do uszu dotarły mi jego słowa: „wściekły”, „agresywny”. Zorientowałem się, że rozmawia przez telefon.

„Nie! Nie pozwól mu na to, Carol! Proszę, przecież to ja!” Wiedziałem, że wzywa policję.

I faktycznie, po najwyżej pięciu minutach u wylotu wyboistej drogi pojawiły się światła reflektorów samochodu. W tym czasie biegałem jak szalony pod oknami. Wyłem, wrzeszczałem rozpaczliwie. Carol, Polly i mężczyzna przyglądali mi się przez okno wystraszeni. Ku mojemu przerażeniu ujrzałem, że mężczyzna obejmuje Carol i Poiły ramionami.

Niewielka, niebiesko — biała panda zahamowała z piskiem opon. Drzwi stanęły otworem, jak gdyby samochodowi niespodziewanie wyrosły skrzydła. Ze środka wyskoczyły dwie ciemne sylwetki. Jedna z nich niosła długą tyczkę z doczepioną pętlą. Wiedziałem, do czego służy. Uciekłem więc w noc, ale nie za daleko.

\* \* \* \* \*

Później, kiedy policja przestała przeszukiwać okolicę, wróciłem ukradkiem pod dom. Usłyszałem głosy, trzaśnięcie drzwi, odgłos zapuszczanego silnika i zgrzyt opon na żwirze, oddalającego się w dół drogi dojazdowej samochodu. Bez wątplenia policja wróci tu następnego dnia, by szczegółowo przeszukać okolicę. Ale na razie byłem bezpieczny.

Czekałem, aż mężczyzna wyjdzie z domu. Zamierzałem podążyć jego śladem lub też od razu się z nim porachować. W końcu zdecydowałem, że to byłby idiotyzm; przstraszyłbym tylko Carol i Polly, zresztą Carol pewnie znów wezwałaby policję. Poza tym mężczyzna był trochę dla mnie za silny. Najlepszym wyjściem byłoby śledzenie go — może nawet zdołałbym zapamiętać zapach pozostawiony przez jego samochód (samochody również są obdarzone dającymi się rozróżnić woniami) — i zaatakowanie znienacka. Był to durny pomysł, ale w końcu byłem durnym psem. Siadłem więc na ziemi i zacząłem czekać.

Kilka godzin później dotarła do mnie prawda, wprawiając w oszołomienie: mężczyzna zamierzał spędzić u Carol całą noc. Jego samochód stał na podjeździe, wiedziałem więc, że nie odjechał. Nie było też powodu, dla którego miałyby go zabrać policja. Został więc na noc!

Jak mogłaś, Carol? W porządku, leżałem już w grobie co najmniej parę lat, ale jednak jak mogłaś. Z nim?! Z człowiekiem, który mnie zamordował? Jak mogłaś zrobić coś takiego po tym wszystkim, co nas łączyło? Czy tak niewiele to dla ciebie znaczyło, że tak szybko zapomniałaś?

Zawylem na całe gardło. Sekundę później odchyliła się firanka w sypialni. Mojej sypialni!

Jak mogło się coś podobnego zdarzyć? To okropne! Zabił mnie, a później posiadał

moją żonę. Zapłaci za to. Och, zadbam o to, by zapłacił!

Uciekłem spod domu, nie mogąc nań dłużej patrzeć. Zbyt przepelniony byłem bólem, zbyt wyraziście stawało mi przed oczami, co działo się w środku. Tłukłem się w ciemnościach, płosząc zwierzęta, niepokojąc śpiących ludzi. W końcu padłem bezwładnie, zapłakany, w zaroślach jeżyn. Tam zostałem do świtu.

## Rozdział dziewiętnasty

Bądź cierpliwy — moja opowieść prawie dobiega końca. Czy wciąż mi nie wierzysz? Nie mam ci tego za złe, ponieważ czasami sam nie jestem pewien, czy w to wierzę. Może po prostu jestem psem z halucynacjami. Jak to się jednak dzieje, że mnie rozumiesz? Bo przecież rozumiesz mnie, prawda?

Bardzo cię boli? Zapomnisz o tym. O bólu szybko się zapomina, gdy minie. Boisz się? Mniej się boisz, czy bardziej niż przedtem? Pozwól w każdym razie, że będę kontynuował. Nigdzie się nie śpieszysz, a ja mam do dyspozycji cały czas świata. Na czym stanąłem? Ach, tak...

\* \* \* \* \*

Świt zastał mnie znów litującego się nad sobą, oszołomionego i rozczarowanego. Jak ci jednak już mówiłem, psy są urodzonymi optymistami. Postanowiłem konstruktywnie podejść do mojego nieszczęścia. Zdecydowałem, że przede wszystkim muszę dowiedzieć się więcej o sobie, na przykład, kiedy umarłem. Nie było to trudne, ponieważ gdy dotarłem do znajomej okolicy, zacząłem sobie coraz więcej przypominać. Hmm, może nie da się tego nazwać dokładnie wspomnieniami, ale — jak mam to określić? — coraz więcej rozpoznawałem znajomych rzeczy. Znajdowałem się w stronach, gdzie kiedyś mieszkałem. Miałem nadzieję, że dzięki temu odżyją moje wspomnienia.

Następnie musiałem dowiedzieć się, jakie były okoliczności mojej śmierci. Miałem nadzieję, że widok znajomych miejsc może mi w tym pomóc, postanowiłem więc odwiedzić moją fabrykę tworzyw sztucznych.

Przed wszystkim jednak musiałem ustalić datę śmierci.

\* \* \* \* \*

Bez trudu odnalazłem cmentarz, ponieważ znałem położenie górującego nad nim kościoła (choć nie znane mi było jego wnętrze). Trudniej natomiast było mi odszukać swój grób. Odczytywanie nagrobków było teraz dla mnie znacznie trudniejsze. Poza tym sporo z nich było i tak marnie oznakowanych. Wreszcie po dwóch godzinach odczytywania napisów udało mi się odnaleźć swój grób. Ucieszyłem się, że wygląda schludnie i elegancko. Uważasz to za makabryczne? Przysięgam ci jednak, że śmierć jest najnaturalniejszą rzeczą na świecie. Szwendanie się koło własnego nagrobka w ogóle nie wytrącało mnie z równowagi.

Miejsce mojego wiecznego (?) spoczynku znaczył mały biały krzyż, na którym widniały zgrabnie wyryte takie oto słowa: NIGEL CLAIREMOUNT NETTLE. UKOCHANY MAŻ CAROL, KOCHANY OJCIEC GILLIAN. 1943—1975. Umarłem w wieku lat trzydziestu dwóch, mało więc było prawdopodobne, bym umarł śmiercią naturalną. Pod tym widniały wyryte w kamieniu dwa jeszcze słowa, które

sprawiły, że przed moimi ślepiami pojawiła się mgła. Głosiły one po prostu: WIECZNIE PAMIĘTANY.

Czyżby? — pomyślałem zgryźliwie.

\*            \*            \*            \*            \*

Bez trudu także zlokalizowałem fabrykę tworzyw sztucznych. Muszę wspomnieć, że po drodze przez miasto coraz lepiej przypominałem sobie sklepy, restauracyjki i bary. Miałem przemożną chęć wejść do jednego z nich i zamówić kufel piwa! Zorientowałem się jednak, że jest niedziela. High Street była bowiem jeszcze pusta, w oddali słychać było wywołujące uczucie winy bicie dzwonów, a bary zostaną otwarte dopiero za parę godzin. Przypomniałem sobie, że zawsze cieszyła mnie odrobina alkoholu wypita do niedzielnego obiadu.

Widok parterowej fabryki miłą za miastem obudził stare wspomnienia, mieszaninę dumy, podniecenia i lęku. Był to niewielki, lecz zwarty i nowoczesny budynek. Zobaczyłem, że dobudowano dość duże nowe skrzydło. Przez całą długość nowej ściany ciągnął się napis wykonany także z plastikowych liter (wiedziałem, że świeciły w nocy), głoszący: NETTLE AND NEWMAN — ADVANCED PLASTICS LTD.

Zadumałem się. Newman? Kto to był...? Pewnie się domyśliłeś. Zgadza się, zabił mnie mój wspólnik.

Wszystko zaczynało nabierać kształtu, wszystko zaczynało do siebie pasować. Najbardziej bolesny był fakt, że rzekomy przyjaciel nie zadowolił się przejęciem mojej fabryki, ale musiał też zabrać mi żonę. Przypomniałem sobie teraz wyraźnie, wyraźnie zobaczyłem jego twarz, jego sylwetkę. Wspólnie zaczęliśmy działać w tej branży, stworzyliśmy zakłady z niczego, razem dzieliliśmy niepowodzenia i razem cieszyliśmy się sukcesami. Miał świetną głowę do interesów (choć czasem niepotrzebnie ryzykował), ja natomiast dysponowałem większą — niemal instynktowną — wiedzą na temat tworzyw sztucznych. Wydaje się to teraz niedorzeczne i głupie, ale byłem dumny z fabryki. Masy plastyczne! Nawet nie nadają się do jedzenia. Przez długi czas byliśmy dobrymi wspólnikami, prawie braćmi, szanującymi swoje uzdolnienia. Nie tylko mojemu cwanemu partnerowi, ale i mnie czasem udawało się wykazać spryt w interesach. O ile pamiętałem, wspólnik bywał uparty, gdy przychodziło do wyboru kierunku działania. Sądzę, że to właśnie jego upór doprowadził do konfliktu.

Tego, czego dotyczyły nasze konflikty, nie mogłem sobie jeszcze przypomnieć, jednak natarczywie stawały mi przed oczyma obrazy zażartej kłótni w końcowym okresie naszej wspólnej pracy. W pewnym momencie wydawało się, że nieporozumienia doprowadzą do rozpadu spółki. Co jednak stało się później?

Najwyraźniej zostałem zamordowany.

Newman. Reginald Newman. Wujek Reg! Właśnie to imię powiedziała Carol, gdy Poiły pytała, czy może mnie zatrzymać w domu. „Będziemy musiały zapytać wujka Rega”, czy coś w tym stylu. Ten drań wcisnął się do mojej rodziny! Czy dlatego właśnie byłem odmieńcem? Czy należałem do tych nieszczęśliwych duchów, które za swoje winy są przywiązane do przeszłej egzystencji, które powstrzymuje jakieś nie wypełnione zadanie? Czy pozwolono mi (czy też wynikało to z mojego wrodzonego uporu?) zatrzymać dawne wspomnienia, bym mógł pomścić doznaną krzywdę?

Najeżyłem się. Dyszałem chęcią zemsty, nie bacząc na nierówną szansę z moim

przeciwnikiem. Zamierzałem bronić rodziny. (Nie ma nic gorszego niż idiota natchniony żądzą odwetu!)

Fabryka oczywiście była w niedzielę zamknięta, węszyłem jednak wokół niej, zastanawiając się, co znaczy nowo dodane do fabryki skrzydło. Najwidoczniej mimo mojej śmierci interes nie szedł najgorzej.

Po jakimś czasie się znudziłem. To dziwne, ale firma, która tak wiele znaczyła dla mnie za życia, teraz wydała mi się nieciekawa, wręcz trywialna. Nagle zdałem sobie sprawę, że przeszłość stała się dla mnie czymś bardzo pospolitym. Zostawiłem więc w spokoju fabrykę i zacząłem ganiać króliki na łące.

Kiedy wróciłem później pod swój dom, z zaskoczeniem stwierdziłem, że jest pusty. Z podjazdu zniknął samochód, a w środku panowała absolutna cisza. Dom wydał mi się pustą skorupą — podobnie jak fabryka. Obydwie budowle straciły dla mnie znaczenie. Bez mieszkańców, bez emocjonalnego zaangażowania było to jedynie nagromadzenie cegieł i zaprawy.

Moją największą troską stał się teraz głód — a właściwie zaspokojenie głodu — Potruchtałem więc z powrotem główną uliczką wioski do otwartego bez przerwy sklepu spożywczego. Błyskawiczny rajd na stoisko wielosmakowych chrupek zaopatrzył mnie w niezbyt sycący obiad. Z Marsh Green musiałem się jednak salwować ucieczką.

Dotarłem do otwartych pól, gdy koło mnie zahamował niebiesko — biały wóz patrolowy. Z okna wystawił głowę policjant i zaczął mnie przywoływać. Nie dałem się zwabić. Wiedziałem, że policja będzie miała na mnie oko po ataku na drogiego Reggie'ego poprzedniego wieczoru, nie wolno bowiem napadać na Bogu ducha winnego obywatela, chyba że zostało się do tego celu specjalnie przeszkolonym.

Przez godzinę barszkowałem radośnie wśród stada włochatek (dla ciebie owiec). W końcu pojawił się zajadły collie, który mnie przepłoszył. Zirykowały mnie owce szydzące z mojego odwrotu, nie było po co jednak zaczynać rozsądnej rozmowy z ich strażnikiem: był zbyt posłuszny człowiekowi.

Napiłem się wody z raźnie toczącego się strumyka, skubnąłem trochę lejków — jadalnych grzybów — i przedrzemałem resztę popołudnia w wysokiej trawie.

Obudziłem się odświeżony, mając w głowie tylko jedno. Wróciłem pod fabrykę i zacząłem czuwać.

\* \* \* \* \*

Pojawił się następnego ranka, o wiele wcześniej niż którykolwiek z naszych — to znaczy jego — pracowników. Wtrząchałem właśnie młodego królika, którego poprzedniego wieczoru przyłapałem na drzemce na pobliskim polu (przykro mi, ale psie instynkty brały coraz częściej nade mną górę — prawdę mówiąc, byłem bardzo dumny z rezultatu polowania), gdy usłyszałem znajomy dźwięk samochodowego silnika. Skuliłem się, choć i tak nie było mnie widać zza między odgradzającej pole od fabryki, i zawarczałem groźnie. Stopy mężczyzny przy wysiadaniu z samochodu wzniewały małe obłoki kurzu.

Mięśnie napięły mi się na karku, gdy sprężyłem się do ataku. Nie byłem pewny, co mu mogę zrobić, lecz nienawiść nie pozostawiała wiele miejsca na logikę. Gdy już miałem się rzucić do przodu, z szosy zjechał jeszcze jeden samochód i zatrzymał się koło wozu Newmana. Wysiadł z niego pyzaty mężczyzna w szarym garniturze, który

pomachał Newmanowi ręką. Jego twarz była mi znajoma. Dopiero jednak, gdy mignął mi w pamięci jego obraz ubranego w biały laboratoryjny fartuch, przypomniałem sobie, że to dyrektor do spraw technicznych. Dobry człowiek, nieco pozbawiony wyobraźni, ale nadrabiał ją sumiennością i pracowitością.

— Znów dzisiaj będzie spiekota, panie Newman — powiedział, uśmiechając się do mojego nieprzyjaciela.

— Nie ma wątpliwości. Pewnie przygrzeje jak wczoraj — odrzekł Newman, wyciągając neseser z tylnego siedzenia swojego wozu.

— Opalił się pan trochę — powiedział dyrektor techniczny. — Pewnie w ogródku?

— Nie, chciałem oderwać się od wszystkiego i zabrałem Carol z Gillian nad morze.

— Nie wątpię, że im się to podobało.

Newman zaśmiał się krótko.

— Tak. Za wiele weekendów spędzałem ostatnio z papierzyskami. Żona nie miała żadnych rozrywek.

Dyrektor techniczny pokiwał głową, czekając, aż Newman otworzy wejście do biur fabryki. — Jak się dziś miewa? — dobiegło mnie jego pytanie.

— Och... o wiele lepiej. Oczywiście wciąż jej go brakuje, mimo że minęło tyle czasu, ale przecież wszyscy za nim tęsknimy... Jak się trochę uspokoi, zajmiemy się planem na ten tydzień... — Ich głosy odzywały się echem w korytarzu, a po zamknięciu drzwi ucichły zupełnie.

Żona? Carol wyszła za niego? Byłem wstrząśnięty. I jeszcze bardziej zraniony. Naprawdę zabrał wszystko!

Wściekłość gotowała się we mnie przez cały dzień. Ukryłem się w pobliżu fabryki i czekałem. W końcu się opanowałem. Z zaciętą mściwością zdecydowałem, że doczekam się jeszcze właściwej chwili.

Newman pojawił się ponownie około południa. W rozluźnionym krawacie i bez marynarki. Pozostałem w ukryciu, ponieważ w pobliżu fabryki znajdowało się zbyt wielu pracowników. Jedni siedzieli w cieniu, opierali się plecami o ścianę i jedli kanapki, inni wygrzewali się na słońcu. Newman wsiadł do samochodu, opuścił okno i odjechał główną drogą.

Zazgrzytałem z rozczarowania zębami. Postanowiłem czekać dalej.

Morderca wrócił mniej więcej godzinę później, lecz i tym razem nie mogłem nic zwojować — wokół był wciąż za duży ruch.

Do wieczora się przespałem. Pracownicy — spośród których wielu rozpoznawałem — opuścili budynek, z radością uciekając przed wyczerpującym żarem. Obsada biura, składająca się z dwóch sekretarek i dyrektora administracyjnego, pracowała mniej więcej godzinę dłużej, a po kolejnej godzinie odjechał dyrektor techniczny, Newman pozostał w fabryce.

Gdy zapadł zmierzch, w skrzydle biurowym zapaliło się światło. Wiedziałem, że pali się w naszym — jego — gabinecie. Wylazłem z ukrycia i podpełzłem pod budynek, zaglądając w okno. Wspiąłem się na tylne łapy, przednimi opierając się o nie wyprawiony mur, bez względu na to jednak, jak bardzo wyciągałem szyję, nie

widziałem w środku nic poza świetlówkami na suficie.

Opadłem na łapy i okrążyłem szybko budynek, szukając wejścia, którym mógłbym się dostać do środka. Niestety, nie znalazłem.

Gdy zakończyłem okrążenie, ujrzałem samochód zaparkowany przodem do budynku. Zbliżywszy się do niego, spostrzegłem, że okno po stronie kierowcy jest otwarte, by wewnątrz trochę się ochłodziło.

Wiedziałem, co powinienem zrobić w tej sytuacji. Trudniej było to wykonać. Z wielkim wysiłkiem udało mi się precyzyjnie przeczapać przez okno przednią część ciała do samochodu, ponieważ pazury tylnych łap ślizgały się po gładkiej powierzchni drzwi, a następnie przepchnąć brzuch. W końcu zdyszany zwałem się na siedzenie kierowcy. Po chwili odpoczynku prześliznąłem się przez lukę między przednimi siedzeniami na tył i ukryłem na podłodze.

Cały byłem rozdygotany.

Minęła co najmniej godzina, nim Newman zdecydował, że dość ma pracy na ten dzień, i opuścił biuro. Zastrzygłem uszami na dźwięk otwieranych drzwi i skuliłem się, gdy Newman otworzył drzwi samochodu. Samochód zakołysał się, gdy wsiadł do środka i rzucił neseser na siedzenie obok siebie. Z całych sił hamowałem się, by nie rzucić się na Newmana, kiedy zapuścił silnik, włączył światła i na wstecznym biegu wyjeżdżał z parkingu. Przerzucił dłoń przez oparcie. Musiałem się powstrzymać, by nie odgryźć mu palców. Chcąc jednak zrealizować swój plan zemsty, nie mogłem polegać tylko na sile zębów.

Czekałem, aż samochód się rozpędzi.

Newman wyjechał na drogę i ruszył na pełnym gazie w stronę miasteczka. Musiał przejechać przez Edenbridge, by dotrzeć do Marsh Green. Wiedziałem, że mam mało czasu na realizację swojego planu, ponieważ wioska znajdowała się niedaleko od miasta. Za miasteczkiem był długi prosty odcinek drogi, która skręcała następnie w stronę Hartfield; mniejsza odnoga drogi do Marsh Green odchodziła na szczycie haku zakrętu. Większość samochodów przejeżdżała z bardzo dużą prędkością przez odcinek przed zakrętem. Przypuszczałem, że i tym razem będzie tak samo, ponieważ o tej porze szosa powinna być prawie pusta. Zamierzałem wtedy właśnie przystąpić do realizacji swego planu, nawet jeśli miałbym przy tym zginąć. Umarłem już raz, bez trudu mogłem umrzeć ponownie. Bo co właściwie miałem do stracenia? Pieski żywot?

Myśl o złu wyrządzonym przez tego człowieka sprawiła, że krew uderzyła mi ponownie do głowy, a serce łomotało w piersi. W głębi gardła wezbrało powoli dobywające się na powierzchnię warczenie jak stopiona lawa pełna nienawiści, szukająca ujścia, torująca sobie drogę i w końcu buchająca na powierzchnię w postaci krzyku, erupcja gwałtowności.

Mężczyzna obejrzał się gwałtownie. Ujrzałem jego zbielełą twarz i oczy rozszerzone ze strachu. Zapomniał zdjąć stopę z pedału gazu; samochód toczył się naprzód nie kierowany. Zdążyłem jeszcze dostrzec, że znajdujemy się tuż przed zakrętem, zanim skoczyłem do przodu.

Newman schylił się, starając uchylić się przed moimi kłami, rzuciłem się jednak za nim i rozharatałem mu ucho. Zawył, ja zawyłem, samochód zawył — i zwałiliśmy się wszyscy z szosy.

Wyrzuciło mnie przez przednią szybę. Nagle skąpała mnie oślepiająca biel,

ześliznąłem się po masce samochodu i spadłem w snop światła reflektorów. Przez ułamek sekundy, trwającej wieki, miałem wrażenie, że pływam w świetlistym łonie. Później ogłuszył mnie ból i pograżyłem się w ciemności.

Wtedy przypomniałem sobie wszystko i zrozumiałem, jak bardzo się myliłem.

## Rozdział dwudziesty

Reg Newman był moim prawdziwym przyjacielem. Nawet po mojej śmierci.

Uświadomiłem sobie to z bólem, leżąc ogłuszony i pozbawiony tchu na pylistej dróżce — niewielkiej okolonej kamieniami odnodze, odchodzącej prostopadle od szosy, z której korzystali wyłącznie mieszkający przy niej ludzie. Mieliśmy szczęście, że nie wpadliśmy na drzewa porastające poboczne szosy. Samochód wjechał prosto w odnogę drogi i wyhamował raptownie, uderzywszy o wysokie pobocze.

Fragmenty złożyły się w całość, kawałki dopasowały do siebie, układanka odkryła swój sens. Zrozumiałem, dlaczego złe wspomnienia przetrwały po mojej śmierci, która jeszcze bardziej wypaczyła prawdę. Pojąłem, w jaki sposób głupstwa popełnione za życia mogą wypaczyć rozumienie spraw po śmierci, nie dając duszy spokoju. Leżąc w bezruchu poddałem się napływowi wspomnień, równocześnie odczuwając wstyd i ulgę. Zrozumiałem, że obraz współnika w moich wspomnieniach był niewyraźny dlatego, że łączyło się to z moją śmiercią, lecz część mnie pragnęła zapomnieć, kiedy i w jaki sposób zginąłem. Prawda była taka, że mogłem winić wyłącznie siebie.

Wielokrotnie kłóciliśmy się przez lata znajomości, ale na ogół któryś z nas ustępował, ponieważ szanował wiedzę drugiego w innych dziedzinach. Reg cenił moją znajomość tworzyw sztucznych, ja jego zmysł handlowy. Ostatnim razem było inaczej. Wówczas żaden z nas nie chciał ustąpić.

Staliśmy w obliczu konfliktu, jaki wcześniej czy później musiał się pojawić w miarę rozwoju naszej firmy: zachować dotychczasowy poziom czy rozwijać się dalej. Optowałem za utrzymaniem naszej pozycji w branży miękkich mas plastycznych oraz ulepszeniem i urozmaiceniem naszego asortymentu. Reg głosił za rozszerzeniem interesu. Chciał się zająć masami sztywnymi, interesowały go właściwości polipropylenu. Twierdził, że w końcu szkło przejdzie do historii, zostanie wyparte przez odporniejsze tworzywa sztuczne najpierw w opakowaniach, a następnie wszędzie, gdzie się go używało. Wydawało się, że polipropylen ma wszystkie właściwości potrzebne, by zastąpić szkło: przejrzystość, wytrzymałość, odporność na znaczną różnicę temperatur i zmienne warunki otoczenia.

W owym czasie korzystaliśmy przeważnie z polietylenu jako materiału na opakowania jednorazowe, na przykład na mrożonki czy nawozy ogrodnicze. Przystawienie się na masy sztywne oznaczałoby konieczność dużych inwestycji. Zgadzałem się ze współnikiem, że w przyszłości to one opanują rynek, ale twierdziłem, że nie jesteśmy jeszcze gotowi do ich stosowania. W fabryce potrzebne byłyby nowe wtryskarki, trzeba by również zainstalować nową aparaturę do zmiękczenia i modelowania surowca. Oznaczałoby to konieczność modernizacji czy też całkowitego przeniesienia fabryki do nowych, większych obiektów. Do tego potrzebny byłby nowy personel niewykwalifikowany i fachowcy, a koszty transportu wzrosłyby niebotycznie z powodu o wiele większej objętości przewożonych materiałów. Wszystko to oznaczało konieczność wyłożenia kapitału inwestycyjnego w wysokości co najmniej kilku milionów funtów oraz dokooptowania nowych współników, może nawet fuzji z innymi firmami. Twierdziłem, że interes jak na razie

świetnie prosperuje, a przecieranie nowych szlaków lepiej zostawić innym firmom. Poza tym podejmowanie takiego ryzyka wkrótce po kryzysie naftowym w 1973 roku byłoby idiotyzmem. Gdyby się powtórzył lub wynikłyby jakieś poważniejsze kłopoty z uruchomieniem wydobycia ropy z dna Morza Północnego, mnóstwo firm znalazłoby się na mieliźnie. Pora skłaniała raczej do utrzymywania stałego tempa wzrostu, stabilizacji na przyzwoitym poziomie ekonomicznym i wyczekiwania na lepszą koniunkturę. Reg jednak nie chciał się na to zgodzić.

Sugerował, że moje zachowanie wynika z oporów przed wprowadzeniem wspólników do stworzonego przez nas interesu. Oskarżał mnie, że nie potrafię dostrzec niczego poza produktami, jakie obecnie wytwarzaliśmy, że nie myślę o przyszłości. Zarzucał mi upór i brak wyobraźni. Obruszałem się na niego i obwiniałem go o chciwość.

Naturalnie, obydwaj przesadzaliśmy. Wiedzieliśmy, że podczas kłótni, w gniewie często się przejawia.

Sprawa stanęła na ostrzu noża, gdy Reg potajemnie rozpoczął rozmowy z firmą specjalizującą się w twardych masach plastycznych. „Próbowałem ich tylko wy badać”, tłumaczył się, gdy powiedziałem mu, że się o tym dowiedziałem (w czasie nieobecności Rega odebrałem telefon od dyrektora tamtej firmy, który nie wiedział o naszej różnicy zdań), nie dałem się jednak udobruchać. Odnosiłem się podejrzliwie do „praktyk”, jakie stosował w interesach, choć żywiłem szczerzy podziw dla jego zręczności. Sprawy zaczynały biec zbyt szybko dla mnie. Stwierdziłem, że moja wiedza fachowa nie znaczy nic wobec jego polityki ekonomicznej. Przepelniał mnie gniew wpływający z obawy.

Reg miał tego dość, przecież kierował się jak najlepiej pojętym dobrem firmy. Negocjował z innymi zakładami, ponieważ obawiał się, że jeśli nie rozszerzymy działalności, w końcu połkną nas większe firmy. Nie przejmował się, że stracilibyśmy sporo ze swej niezależności. W interesach nie można być biernym, stać w miejscu. Jedynie możliwy jest postęp lub... regres. Byłem dla niego zawadą, dopuszczającym do tego, by firma pogrążała się w stagnacji.

W końcu cisnął we mnie telefonem i wybiegł z biura.

Telefon uderzył mnie w ramię. Osunąłem się na fotel, zaskoczony nie tyle bólem, ile niespotykanym zachowaniem Rega. Po kilku sekundach wezbrał we mnie gniew i pobiegłem za nim.

Ledwie zdążyłem zauważyć, że jego samochód wyjeżdża na drogę dojazdową. Wygrzebałem pospiesznie kluczyki z kieszeni, otworzyłem drzwiczki własnego samochodu i wskoczyłem do środka. Docisnąłem z wściekłością pedał gazu do deski i ruszyłem w pościg za Regiem.

Tylne światła Rega tworzyły daleko przede mną dwa czerwone punkciki. Po chwili zaczęły się powiększać. Przemknęliśmy przez Edenbridge, później przez prosty odcinek szosy i w końcu przez łagodny zakręt. Znalezliśmy się w pozbawionej światła wiejskiej okolicy. Reflektorami dałem Regowi znak, by się zatrzymał. Chciałem się do niego wtedy dobrać. Reg zjechał w wiejską drogę prowadzącą do Southborough, gdzie mieszkał. Zwolniłem tylko na tyle, by zmieścić się w zakręcie.

Nacisnąłem hamulce, gdy zobaczyłem, że Reg zatrzymał się i wysiadł z samochodu. Mój wóz zakołysał się i stanął. Reg ruszył w moją stronę. Gdy zrównał się ze mną, wyciągnął przed siebie ręce i zaczął mówić: „Słuchaj, zachowujemy się



jak szcze...” Zignorowałem jednak wyciągniętą do mnie w geście zgody rękę oraz słowa mające przywrócić mi rozsądek.

Otworzyłem drzwi wozu, odtrąciłem jego rękę i... trzasnąłem go w szczękę. Natychmiast po tym wskoczyłem do samochodu, wrzuciłem wsteczny bieg i wjechałem z powrotem na główną drogę. Widziałem jeszcze, że Reg podnosi się z ziemi. Twarz zalewało mu światło moich reflektorów.

Poruszał ustami — zorientowałem się, że wypowiada moje imię — a na twarzy pojawił mu się wyraz zgrozy.

Gdy wjechałem z powrotem na główną drogę, oślepiło mnie białe światło. Poczułem, że samochód staje dęba i przez przenikliwy ból usłyszałem czyjś krzyk. Dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to mój krzyk. Potem ból, światło, krzyk stały się nie do zniesienia. Umarłem.

Odpywałem. Mój samochód był całkiem zmiądzony, kabina ciężarówki, w którą uderzyłem, była pogięta, wydobywał się spod niej kierowca, na jego wystraszonej twarzy malowało się niedowierzanie, Reg starał się wyciągnąć mnie z samochodu, wołał mnie po imieniu i płakał na widok mojego zmasakrowanego ciała. Potem zapadła ciemność. A potem... wydobywałem się z macicy mojej nowej matki.

\*            \*            \*            \*            \*

Podniosłem się. Chwiejnie stanąłem na nogach. Kręciło mi się we łbie, byłem oszołomiony, ale nie tylko od uderzenia w szybę. Oto nagle uświadomiłem sobie, że Reg nie był złym mężczyzną z moich snów. Był przyjacielem za życia i przyjacielem po śmierci. Respektując moją wolę, nie powiększał firmy. Nowe skrzydło świadczyło jedynie, że przynosiła dochody i rozrastała się tak, jak chciałem, że nie zaszły żadne dramatyczne zmiany, a jedynie ulepszenia istniejącego stanu. Czy Reg zachowywał ten stan przez szacunek dla mnie, czy może jego plany spaliły na panewce przez moje niezdecydowanie? Miałem wrażenie, że raczej przez szacunek dla mnie. Do tego Reg, zatwardziały stary kawaler, przyjaciel, który przyznał otwarcie, że dla niego zawsze istniała tylko jedna licząca się kobieta — moja żona — zdecydował się w końcu na ożenek. Nie był to tylko z jego strony szlachetny gest zaopiekowania się pograżoną w smutku rodziną. Zrobił tak dlatego, że zawsze kochał Carol. Znał ją dużo wcześniej niż ja (to on mi ją przedstawił). Nasza rywalizacja o jej względy była bardzo zazarta. Gdy wygrałem, pozostał bliskim przyjacielem nas obojga.

Nasza spółka w interesach często przeżywała burzliwe kłótnie, rzadko jednak miały one większy wpływ na naszą przyjaźń. Praktycznie stało się to dopiero przy ostatnim konflikcie. Wiem, że gorzko go żałował. Tak jak ja teraz.

Obejrzałem się na samochód. Silnik zgasł, ale reflektory wciąż były włączone. Wzburzony pył osiadał, tworząc widoczne w snopach światła wiry. Zamrugalem oślepiony silnym blaskiem i potykając się wyszedłem poza światła reflektorów. Moje ślepie szybko przyzwyczyły się do zmiany oświetlenia. Ujrzałem nieruchome ciało Rega, skulone pod rozbitą przednią szybą.

Sprawiał wrażenie martwego.

Jękawszy ze strachu, podbiegłem do samochodu i wskoczyłem na maskę. Jedna ręka Rega zwisała bezwładnie. Zalaną księżycową poświatą twarz miał zwróconą w moją stronę. Podczołgałem się i zacząłem zlizywać przeprasząco krew z porozcinanego policzka oraz ucha. Błagałem o wybaczenie za to, co zrobiłem, co

myślałem. Nie umieraj, Reg, modliłem się. Nie umieraj bez sensu tak jak ja.

Reg stęknął i się poruszył. Otworzył oczy i spojrzał mi prosto w ślepią. Przysiągłbym, że przez chwilę mnie rozpoznał.

W jego rozszerzonych oczach pojawił się łagodny wyraz. Sprawiał wrażenie, że czytał w moich myślach, jak gdyby rozumiał, co chciałem mu przekazać. Może sobie to tylko wyobraziłem, może był w szoku, niewątpliwie jednak uśmiechnął się do mnie i spróbował pogłaskać bezwładnie zwisającą ręką. W tej chwili oczy zaszyły mu mgłą i ponownie stracił przytomność. Poza rozciętym policzkiem i rozharatanym przeze mnie uchem nie był bardzo pokrwawiony. Przednią szybę wybiłem swoim ciałem, uniknął więc uderzenia w nią. Kierownica przytrzymała go w miejscu, uderzył tylko głową w karoserię nad szybą. Wtedy to właśnie prawdopodobnie musiał stracić przytomność. Sama kierownica, cofając się w tulei, także nie wyrządziła mu poważniejszej krzywdy. Następnego dnia „groziły” mu tylko siniaki na żebrach i brzuchu. Nie pachniał śmiercią.

Z oddali dobiegły mnie głosy ludzi, którzy powychodzili z domów, by sprawdzić, co się stało. Stwierdziłem, że czas na mnie. Nie miałem tu nic więcej do roboty.

Wyciągnąłem łeb i pocałowałem Rega w policzek. Drgnął, ale nie odzyskał świadomości.

Zeskoczyłem z maski i pobiegłem w noc.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Tak więc, starcze, wysłuchałeś całej opowieści.

Wierzysz mi? A może myślisz, że ból doprowadza cię do szaleństwa?

Nadciąga świt, a z nią śmierć — dla ciebie. Gdy znalazłem cię zeszłego wieczoru na poboczu, zorientowałem się, że jest za późno, by ci pomóc. Rak żołądka prawie dokonał swojego dzieła.

Jak długo tułałeś się po drogach? Nikt nie troszczył się o ciebie ani ty nie troszczyłeś się o nikogo. Cóż życie ci zrobiło, że od niego uciekałeś? Teraz już prawie się skończyło; przeminęły twoje lata wędrówki.

Ciekaw jestem, czy zrozumiałeś wszystko, co ci opowiedziałem? Myślę, że bliskość śmierci ułatwia nam porozumiewanie się. Jesteś w stadium przejściowym, które umożliwia umierającym odbiór mnóstwa rzeczy, na które przedtem były zamknięte ich umysły. Czy wciąż myślisz, że czeka cię tylko ciemność? Czy też niebo lub piekło? Gdybyż to było takie proste.

Niewiele mam ci więcej do opowiedzenia. Skrywszy się w ciemnościach, czekałem, aż Reg zostanie wyciągnięty z samochodu i odzyska przytomność. Na własnych nogach przeszedł do karetki, która po niego przyjechała. Widziałem, jak rozglądał się, by mnie wypatrzeć w ciemnościach. Pomagający mu ludzie pewnie myśleli, że doznał szoku, gdy bez przerwy pytał, czy nie widzieli psa.

Wkrótce potem opuściłem te okolice, po złożeniu ostatniej wizyty na swoim grobie. Nie wiem dokładnie, dlaczego to zrobiłem; być może chciałem w specyficzny sposób złożyć sobie wyrazy uszanowania. Był to dla mnie koniec pewnego etapu. Niewykluczone, że koniec życia.

Na grobie leżały świeże kwiaty. Nie byłem zapomniany. Wspomnienia: ojca, męża,

przyjaciela, zblakły z czasem, zawsze jednak zajmowały znaczącą pozycję w myślach moich bliskich.

Od tego czasu moje życie potoczyło się inaczej. Wspomnienia przeszłego życia nawiedzały mnie jeszcze co jakiś czas, zmieniły się jednak towarzyszące im emocje. Szybko stały się to uczucia psa, jak gdyby po zakończeniu poszukiwań psia natura wzięła górę nad ludzką duszą. Duszą, która stanowiła o moim człowieczeństwie. Czuję się wolny jak ptak. Wolny, by żyć jak pies. Biegłem prawie przez cały dzień i gdy w końcu zwałem się z nóg, z głowy wyparowały mi resztki dawnej jaźni. To wszystko zdarzyło się dwa lata temu, według twoich pojęć. Od czasu do czasu wracają do mnie dawne wspomnienia i nawyki. Przypominam sobie, że byłem człowiekiem. Ale tak się dzieje tylko w snach. Gdy znalazłem cię pod przydrożnym żywopłotem, umierającego i obawiającego się śmierci, te ukryte wspomnienia się obudziły. Związana z twym umieraniem aura wytrąciła z uśpienia dawne uczucia, którym towarzyszyły niezwykle wyraźne, niezwykle dojmujące wspomnienia. Być może pomogłeś mi, stary człowieku, bym nie zapomniał całkowicie o moich korzeniach, o moim pochodzeniu. Jak to określił borsuk? „Jesteś wyjątkiem”. Pewnie miał rację. Może prawdą jest wszystko, co mi powiedział. Może powinienem pamiętać. Może mam pomagać takim jak ty. Może...

Wiem jedynie, że coraz bardziej zapominałem, kim byłem, stając się tym, czym jestem.

I, ujmując rzecz ogólnie, cieszy mnie to, czym jestem. Widzę życie z innej perspektywy: z poziomu kolan. To zdumiewająca różnica. Przypomina zbliżanie się do celu z jakiegoś kierunku po to, by nagle stwierdzić, że podejście następuje z przeciwnej strony; to, co znajome, zmienia kształt, zaczyna wyglądać inaczej. Wciąż jest tym samym, znalazło się jednak w nowym kontekście. Rozumiesz, co mam na myśli?

Przemierzyłem cały kraj i pływałem w morzu. Nikt nie był później moim panem, od wielu jednak przyjmowałem pożywienie. Rozmawiałem, bawiłem się i wspólnie posilałem z przedstawicielami tak wielu gatunków, że głowa mnie boli, gdy próbuję je wszystkie zliczyć. Ze zdumieniem i śmiechem odkrywałem nerwice w świecie zwierzęcym: spotkałem świnie, której wydawało się, że jest koniem, byka, któremu grała na nerwach ryjówka z pastwiska, kaczątko, które uważało, że jest brzydkie (i tak było), kozła, któremu wydawało się, że jest Chrystusem, synogarlicę, która bała się latania (wszędzie chadzała piechotą), ropuchę, która rechotała sonety Szekspira (i niewiele poza tym), żmiję, która próbowała poruszać się w pozycji pionowej, lisa — wegetarianina, w końcu ciągle zacietrzewionego cietrzewia.

Stoczyłem krótką walkę z gronostajem (szybko odskoczyliśmy od siebie i pierchnęliśmy w przeciwne strony, inaczej roznieśliśmy się na strzępy), zabiłem sowę, która się na mnie rzuciła, walczyłem ze szczurzym stadem i byłem ścigany przez rój pszczół. Dokuczałem owcom i drażniłem konie. Filozofowałem z osłem nad prawdopodobnymi wpływami egzystencjalizmu na sztukę, etykę i psychologię. Śpiewałem z ptakami i żartowałem z jeżem.

I kochałem się z siedmioma sukami.

Twój czas się kończy. Śmierć jest już bardzo blisko. Mam nadzieję, że pomogła ci moja opowieść, mam nadzieję, że wniosła trochę ładu w twój rozgorączkowany umysł. Czujesz tę ciężką słodycz w powietrzu? Oznacza ona, że muszę cię opuścić. Czeka na mnie przyjaciółka. Mieszka na farmie trzy miedze stąd i jest gotowa na moje

przybycie. Muszę ją tylko jakoś uwolnić z szopy, w której zamknął ją farmer, ale nie powinno sprawić to kłopotu tak sprytnemu psu jak ja.

Jeszcze jedno. Pewnego dnia spotkałem Rumba. Spałem pod drzewem, gdy nagle na nos spadł mi żołądź i usłyszałem: „Cześć, kurduplu!” Spojrzałem w górę i zobaczyłem na gałęzi Rumba szczerzącego do mnie... wiewiórczą gębę. Zasypał mnie gradem żołądź. Kiedy go zawołałem po imieniu, udał, że nie rozumie, i zwiął. Wiem jednak, że to był on, ponieważ poznałem go po głosie czy też raczej po sposobie myślenia, jeśli wolisz, a poza tym któż inny nazwałby mnie kurduplem?

Sprawiło mi to radość, ale nie miałem ochoty go gonić. Miło było po prostu wiedzieć, że dobry stary Rumbo wrócił między nas.

Musisz mi wybaczyć, naprawdę nie mogę dłużej ignorować woni mojej przyjaciółki. I tak już nie potrzebujesz mnie. Następne stadium musisz pokonać sam. Mam nadzieję, że choć trochę ci w tym pomogłem. Może jeszcze kiedyś na siebie wpadniemy.

Zegnaj.

Mam nadzieję, że staniesz się psem!

*Włóczęga usiłował podążyć spojrzeniem starych zmęczonych oczu za psem, który pogalopował przez szczerbaty żywopłot na sąsiednie pole. Był to jednak dla niego zbyt duży wysiłek.*

*Jego ciało zwinęło się z bólu i skurczyło w szmatach zastępujących mu ubranie. Przewrócił się na bok, opierając pokryty szczecina policzek na mokrej trawie. Samotna mrówka, znajdująca się nie dalej niż pięć centymetrów od jego oka, przypatrywała mu się obojętnie.*

*Włóczęga próbował ułożyć usta w uśmiech, ból mu jednak na to nie pozwolił. Zbierając resztkę sił, podniósł z wysiłkiem trzęsącą się rękę i spróbował zgnieść palcem drobne ciało stworzonka, które jednak umknęło i ukryło się w przypominającej mu dżunglę trawie. Z piersi włóczęgi wydobyło się ostatnie, urywane westchnienie, z którym opuściło go życie.*

*Umarł. I zaczął czekać.*